

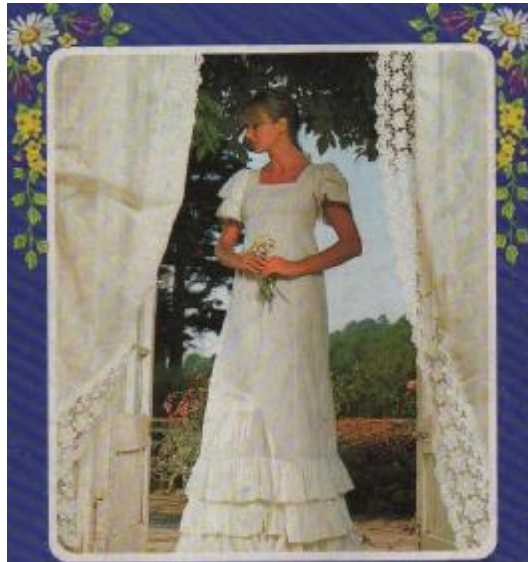


JADWIGA COURTHS-MAHLER

Dziedzictwo Rodenbergów



Tytuł oryginału: Das Erbe der Rodenberg



Wicher wył, wstrząsając drzwiami i oknami willi Rodenberg, jakby chciał się wedrzeć do niej. Mocne, twarde ziarna gradu uderzały o szyby i zewnętrzne parapety, obite cynkową blachą. Wskutek niepogody ciemności zapadły wcześniej, niż zazwyczaj. Wnuczka właściciela huty, Jerzego Rodenberga, Ewa-Maria Dornau drżąc z zimna, otuliła się mocniej czarnym, jedwabnym szalem. Zatraskana, spoglądała raz po raz na łóżko, na którym leżał jej dziadek, ojciec jej matki. Chwilami, gdy wichura przycichała nieco, słychać było głęboki oddech chorego. Jego ostry szlachetny profil odbijając na tle ciemnoczerwonych zasłon na ścianie za łóżkiem jakby był wyciosany z marmuru. Gęste, siwe włosy okalały bladą twarz i rozsypały się w nieładzie na białej poduszce.

Przed Ewą-Marią leżała na stole książka, która jednak nie zdołała przykuć jej uwagi, ponieważ dziewczyna czuła strach i niepokój. Stan ukochanego dziadka poprawił się wprawdzie, spał on mocno i spokojnie już od kilku godzin, lecz Ewa-Maria lękała się o swego, o dwa lata młodszego brata, który podobnie jak ona po śmierci rodziców mieszkał w domu dziadka.

Dziadek był jedynym człowiekiem, który otaczał ich miłością i opieką. Ciotka Melania, młodsza siostra ich matki miała także cieplejsze uczucie dla dwojga osieroconych dzieci, ukrywała to jednak, aby nie dowiedział się o tym jej mąż, pan Artur Mertens, który nienawidził ich, zwłaszcza swego siostrzeńca. Nienawidził go, ponieważ jako syn starszej córki obecnego właściciela huty, miał zostać w przyszłości jego dziedzicem, podczas gdy jego dzieci miały dopiero dalsze widoki na spadek.

Ewa-Maria i jej brat wiedzieli, jakie uczucia żywi dla nich wuj, aczkolwiek ten ukrywał swoją nienawiść pod maską obłudnej życzliwości. Czynił to tak zręcznie, że nawet dziadek nie miał pojęcia o tym fałszu i sądził, że Artur Mer-

tens jest najlepszym, najbardziej oddanym przyjacielem jego osieroconych wnucząt.

Podczas choroby dziadka Ewa-Maria pielęgnowała go sama. Niekiedy tylko pomagała jej ciotka Melania, która mieszkała w niezbyt oddalonej willi. Aczkolwiek doglądanie chorego było bardzo męczące i uciążliwe, to jednak Ewa-Maria czyniła to chętnie, gdyż w ten sposób mogła okazać dziadkowi swoją wdzięczność. Zastępował on bowiem jej oraz bratu zmarłych rodziców, którzy zginęli podczas katastrofy kolejowej. Ewa-Maria zaś ze swej strony starała się swemu bratu zastąpić matkę.

Szalejąca wichura wprawiła Ewę-Marię w niepokój, ponieważ jej brat Janek wyruszył w góry, aby doglądać roboty drwali, którzy rąbali drzewo, potrzebne dla huty. Pracował on już od roku w hucie, aby się przygotować do swego przyszłego zawodu. Miał poznać wszystkie działy pracy, tego żądał dziadek.

Ewa-Maria drgnęła nagle. Usłyszała, jak ktoś zamyka drzwi, a następnie rozległy się czyjeś kroki. Cichutko wymknęła się na szeroki korytarz. Ujrzała wtedy brata, wchodzącego na schody. Miał na sobie całkowicie przemoczony płaszcz, był bez czapki, jego jasne zwichrzone włosy opadły na czoło. Zaśmiał się wesoło do siostry.

—Chwała Bogu, Janku, że jesteś już w domu. Ciężką miałeś drogę w wi-
chrze, deszczu i gradzie? — powiedziała Ewa-Maria, oddychając z ulgą.

—Tak, Ewo-Mario, wichura wytrzęsła mnie porządnie. Spieszyłem się jednak bardzo, bo wyobrażałem sobie twój lęk. Mimo to — było cudownie!

—Więc znajdowałeś się już w drodze powrotnej, gdy rozszalała burza?

—Tak, byłem w pobliżu chat drwali, którzy proponowali mi, abym u nich przenocował. Ja jednak wyśmiałem ich, nie chciałem zawracać.

—Ach, ty szalony chłopaku!

—Czy niepokoiłaś się o mnie?

— Rozumiesz to chyba, Janku. Chwała Bogu, że nie przytrafiło ci się nic złego.

—Tylko czapkę porwał mi wiatr. Moją piękną, nowiuteńką, skórzaną czapkę! Pewno leży gdzieś w wodzie.

—Przebolejemy stratę tej czapki. Jak to dobrze, że dziadek przespał tę nie pogodę! Na pewno byłby także niespokojny o ciebie.

—Jakże się czuje dziadek?

—Doktor Pfalz powiada, że przesilenie minęło i że dziadek jest na drodze do poprawy.

—Dzięki Bogu, Ewo-Mario, że już jesteśmy tak daleko. Przecież dziadek jest nam bardzo potrzebny! Co by to się stało, gdyby u steru stanął wuj Artur! Zwłaszcza, gdyby dziadek umarł, zanim ja dojdę do pełnoletności...

—Ostrożnie, Janku, gdyby to ktoś podsłuchał...

—Dobrze, dobrze, wiem przecież, że wuj ma wszędzie na żołdzie swoich szpiegów. Niech mu więc powtórzą, że pogardzam nim.

—Cicho, Janku! Przecież wiesz, że wuj cieszy się zaufaniem dziadka.

—Tak, bo zdobył je podstępnie, swoją obłudną poczciwością. Dziadek w swojej wielkiej dobroci wierzy mu, bo sam jest człowiekiem bez fałszu. Powinno mu się otworzyć oczy.

—O Janku, czy chciałbyś sprawić mu tak wielki ból? Zgnębiłoby to go ogromnie, gdyby poznał, że darzył swoim zaufaniem człowieka tak niegodnego.

Janek potrząsnął głową.

— Rzecz oczywista, że nie zrobię tego, ale nie wiem, czy dobrze postąpię. Liczę się z dziadkiem, który przeżył w życiu tak wiele. Ciotka Melania jest jego ostatnim dzieckiem. Naszą matkę stracił w tak okropny sposób, a wuj Ludwik...

Ewa-Maria zaczęła trwożnie nadśluchiwać, lecz za drzwiami było zupełnie cicho.

—Włóż suche ubranie, Janku.

—Zaraz to zrobię, Ewo-Mario. A poza tym jestem głodny jak wilk.

—Każ sobie podać coś do jedzenia, ja muszę powrócić do dziadka.

—Ale zawołasz mnie, jak się obudzi?

—Dobrze, Janku.

Rodzeństwo uścisnęło sobie ręce. Ewa-Maria powróciła do pokoju chorego.

Wichura przycichła nieco. Ewa-Maria zaczęła znowu czytać. Teraz szło jakoś lepiej, bo pozbyła się troski o brata. Niedługo jednak mogła czytać, bo chory obudził się.

— Ewo-Mario!

Zrzuciła szybko czarny szal, aby jej nie zawadzał. Z tkliwością spojrzała na dziadka.

— Jakże się czujesz, dziaduniu?

Uśmiechnął się zupełnie przytomnymi oczyma.

—Jestem tak rozbity, jak bym porąbał siedem sążni drzewa—zażartował.

—Musisz jeszcze raz zażyć to lekarstwo, które ci tak służy. Zobaczysz, zaraz będzie ci lepiej, dziadku. Nic dziwnego, że jesteś osłabiony po tylu dniach złośliwej gorączki.

Podawała mu lekarstwo, które posłusznie przełknął. Następnie zaczął nadśluchiwać.

—Oho, jaka dziś wichura na dworze!

—Na szczęście przespaleś najgorszy czas, była okropna niepogoda, deszcz i grad.

—A Janek? — zapytał niespokojnie.

—Powrócił zdrów i cały.

—Chwała Bogu! Ach, Ewo-Mario, miałem taki cudny sen!

—Cieszę się, dziadku, że dobrze i spokojnie spałeś, teraz jesteś już na drodze do wyzdrowienia. Doktor Pfalz powiada, że najgorsze minęło.

—Tak, ale to mnie zmęczyło. Czy wiesz, jaki miałem sen?

—Czy powiesz mi, dziaduniu, co ci się śniło?

—Tak. Śniłem o moim synu Ludwiku.

—Ponieważ powiedziałaś, że sen był piękny, więc powinnam była się domyślić, że śniłeś o wuju Ludwiku.

—Był to dziwny sen, Ewo-Mario. Ludwik stał na szerokiej werandzie jakiegoś egzotycznego domu, wokół którego kwitły jakieś nieznane, wspaniałe, barwne kwiaty. Wszystko tonęło w słońcu. Mój syn miał na sobie ubranie, jakie nosi się w krajach zwrotnikowych. Ramię jego spoczywało na barku młodziutkiej, zgrabnej dziewczynki, była prawie dzieckiem. Miała złote włosy i nazywała syna ojcem. A on uśmiechał się do niej i powiedział: „Gdyby dziadek nas mógł zobaczyć, jakże by się cieszył!” Dziecko zaś odparło: „Dziadek nie może nas przecież zobaczyć z daleka”. Potem oboje zaczęli mi przesyłać ukłony ręką. Dom znikł, zasłoniła go gęsta mgła... Ale tych dwoje wciąż jeszcze uśmiechało się do mnie...

To dziwny sen, dziadku!

Prawda? I wyobraź sobie, że Ludwik wyglądał o wiele starzej i dojrzej, niż wówczas, gdy opuścił mnie na zawsze. Tak wyglądałby może teraz, gdyby żył. Co powiesz o tym śnie, Ewo-Mario?

—Że nawet we śnie myślisz wciąż o wuju Ludwiku i zajmujesz się nim. Przecież bardzo często śnisz o nim.

—Nigdy jednak nie widziałem go przed sobą tak wyraźnie i tak żywo, jak dziś. Nie mówię z nikim o tych snach, z nikim — oprócz ciebie. Inni ludzie wyśmialiby mnie może albo nazwali dziecinnym. Tylko tobie powierzam, że niekiedy miewam uczucie, jakby jeszcze żył... Zdaje mi się, że mógł zostać uratowany, gdy wtedy ten okręt zatonął...

—Drogi dziadku, rozumiem, że twoje ojcowskie serce chwyta się takiej możliwości i wierzy, iż twój syn mógł zostać uratowany. Wiesz jednak dobrze, że ani jeden z pasażerów na tym okręcie nie ocalał, oprócz jakiegoś marynarza i sternika, których wyłowiono na pół martwych z głodu i pragnienia. Oni poświadczyli, że wszyscy zatonęli. Opowiadałeś mi to sam.

Chory opadł, wycieńczony, na poduszki, na twarzy jego pojawił się wyraz cierpienia.

—Tak, tak, Ewo-Mario, wiem o tym, że to nieprawdopodobne. Pozostaw mi jednak tę nikłą nadzieję, która nie szkodzi nikomu.

—Ja na pewno nie będę ci odbierać tej nadziei, dziadku, wiem jak kochałeś wujka Ludwika. Ale — czy rozmowa cię nie męczy?

—Nie, nie. To mi sprawia zawsze wielką ulgę, gdy mogę z tobą mówić o Ludwiku. Inni nie słuchają mnie nigdy, gdy poruszam ten temat, a przy tym mają takie miny, jakby mnie uważali za niepoczytalnego.

Ewa-Maria wiedziała, że dziadek ma słuszność. Nikt nie chciał z nim mówić o jego synu, którego śmierć wstrząsnęła nim do głębi. Tylko Ewa-Maria zawsze słuchała cierpliwie tych zwierzeń.

—Nie powinieneś tak myśleć, dziadku, oni tylko sądzą, że ci to zaszkodzi, gdy będziesz mówił o tej okropnej katastrofie.

—Przeciwnie, to dla mnie dobrodziejstwo, gdy mogę mówić o tym.

Męczę się o wiele bardziej, gdy muszę to zamykać w sobie. Czy mogę ci jeszcze raz opowiedzieć, jak się to stało, że mój Ludwik musiał opuścić ojczyznę, aby w drodze znaleźć śmierć?

Ewa-Maria ruchem, pełnym miłości odgarnęła mu włosy z rozpalonego czoła.

—Posłucham chętnie, dziadku, jeżeli ci na tym zależy i jeżeli cię to opowiadanie nie zmęczy.

—Przeciwnie, to mi sprawia ulgę. A więc posłuchaj: Ludwik studiował na Politechnice w Charlottenburgu i skończył swoje studia. Miał do załatwienia jeszcze kilka formalności i dlatego zatrzymał się przez jakiś czas w Chorlottenburgu. Ponieważ doskonale zdał egzamin, więc pozwoliłem mu w nagrodę za to odbyć wielką podróż za granicę. Miał w różnych krajach zwiedzić rozmaite huty i przyswoić sobie w ten sposób wiadomości praktyczne. Poczytał wszystkie przygotowania do podróży i załatwił wszelkie formalności paszportowe. Oczekiwałem go, miał bowiem jeszcze na kilka dni przyjechać do domu. Po powrocie z tej podróży miał wstąpić do naszej huty. Był moim jedynym synem i widziałem

w nim mego następcę. Wszystko jednak miało się stać inaczej. Wieczorem w przeddzień swego wyjazdu stąd, Ludwik spotkał się z kilkoma kolegami. Musieli zapewne bardzo intensywnie obchodzić uroczystość pożegnania i wyruszyli w drogę powrotną w nieco podochoconym nastroju. Na ulicy spotkali się z kilkoma innymi młodymi ludźmi, również trochę wstawionymi. Zaczęło się od niewinnej wymiany słów, która później zamieniła się w sprzeczkę, a wreszcie doszło do zniewag czynnych. I nagle jeden z przeciwników upadł na ziemię martwy. Wszyscy rozbiegli się przerażeni, przy zabitym pozostał tylko jego przyjaciel. Kto zadał mu ten śmiertelny cios — tego nie można było ustalić. Później tylko skonstatowano, że ktoś uderzył go kastetem. Nazajutrz Ludwik stanął przede mną blady i rozstrojony, opowiedział mi wszystko i wyznał, że nie wie, czy był mordercą tego młodzieńca. W każdym razie on także uderzył kastetem, gdy poczuł, że mu grozi niebezpieczeństwo. Czy on właśnie ugodził zabitego — tego nie wie, nie może jednak z całą pewnością twierdzić, że to nie on, a tym bardziej zaprzysiąc tego. Jak tonący, który szuka ratunku, pochwycił moją rękę i powiedział: „Jeżeli mają osadzić mnie w więzieniu i skazać jako zabójcę, to wolę sam odebrać sobie życie. Muszę uciec, zanim policja znajdzie się na moim tropie. Pomóż mi, ojczy, daj mi większą sumę pieniędzy, abym mógł w ciągu kilku lat utrzymać się za granicą. Później zapomną może o tej sprawie. Nie zniosę, jeżeli mnie zaaresztują i uwiężą. Twój syn nie powinien siedzieć w więzieniu". Wiesz, Ewo-Mario, on był moim jedynakiem, całą moją dumą, toteż nie mogłem mu odmówić, coś załamało się we mnie. Zaopatrzyłem go w dużą sumę i sam zacząłem nalegać, aby jak najprędzej wyjechał, bo przecież u mnie szukaliby go przede wszystkim. Na szczęście miał już paszport w porządku. Powiedział, że zaokrętuje się w Hiszpanii, a stamtąd pojedzie do Ameryki Południowej. Miał mi zadepeszować, jakim okrętem odpłynie. Pożegnanie było strasznie ciężkie, ja miałem wrażenie, że mi serce pęknie a Ludwik był blady i znekany...

W dwa dni później policja zaczęła u mnie poszukiwać Ludwika. Okazało się, że zabity został ugodzony kastetem, czytałem o tym w gazetach. Pisano, że tylko mój syn posiadał kastet, nikt inny... Szargano nazwisko mego biednego chłopca we wszystkich pismach, napiętnowano go jako zabójcę. Na szczęście umknął z rąk policji. Po kilku dniach otrzymałem depezę, gdzie była wymieniona nazwa okrętu, nic poza tym. Z sercem pełnym niepokoju i trwogi, śledziłem w duchu trasę jego podróży. A w kilka tygodni później wszystkie gazety przyniosły wia-

domość, że ów okręt zatonął. W kilka dni później odnaleziono na wybrzeżu marynarza i sternika, którzy zdołali się uratować. Na liście pasażerów było nazwisko Ludwika Rodenberga. Spodziewałem się, że może wyruszył na innym okręcie, lecz ta nadzieja okazała się płonna. Ewo-Mario, wtedy o mało nie postradałem zmysłów. Ach, było to straszne, stracić w ten sposób jedyne syna, moją całą chlubę. Nigdy nie przeboleiałem tej straty. Bóg świadkiem, wolałbym, żeby dostał się do więzienia, wtedy przynajmniej pozostałby przy życiu.

Ewa-Maria łagodnie pogłaskała rękę dziadka.

—Mój drogi, biedny dziadku, znowu się zdenerwowałeś! Robię sobie wyrzuty, że dopuściłam do tego.

—Nie, nie czyń tego. Jestem ci raczej wdzięczny, że mnie wysłuchałaś. Gdybym nie mógł mówić o tym udusiłbym się chyba. Teraz zrzuciłem ciężar z serca, a w dodatku śniłem o moim Ludwiku. Widziałem go, przesyłał mi ukłony ręką, on i ta śliczna dziewczynka, która nazywała go ojcem! Teraz mi lżej na sercu, teraz mogę sobie znowu wyobrazić, że mój syn żyje i w dalekim kraju znalazł ojczyznę.

—Gdyby tak było, dziadku, to dałby przecież choć raz znak życia o sobie!

—Może nie miał odwagi, może obawiał się, że list wpadnie w niepowołane ręce, może chciał uchodzić za zmarłego, aby uniknąć dalszych prześladowań. Może nie chciał mi dać znaku życia, aby nie narazić mnie na konflikt z policją. Nie odbieraj mi tej jedynej nadziei, moje dziecko, to przecież moja pociecha w tym wielkim nieszczęściu!

Na twarzy Ewy-Marii pojawił się wyraz głębokiego współczucia. Pojęła, że nie powinna pozbawiać dziadka tej słabej pociechy. Powiedziała więc:

—No tak, dziadku, niekiedy zdarzają się cuda, nie wiadomo, a może wuj Ludwik żyje! Przecież nikt nie był świadkiem jego śmierci, może jest naprawdę tak, jak sobie to wyobrażasz.

Z ożywieniem uścisnął jej rękę.

—Prawda, Ewo-Mario? Mógł przecież być uratowany, a nikt nie wiedział o tym. I to także jest dziwne, że w moich snach ukazuje się zawsze coraz starszy.

—Zapewne, dziadku. Ale teraz musisz się posilić. Doktor Pfalz nakazał, abyś zjadł kawałek gotowanej kury i wypił trochę rosółu. Kazałam już wszystko przygotować, trzeba, żebyś się pokrzepił.

Uśmiechnął się do niej.

— Będę posłuszny, moja mała samarytanko. A później chciałbym zobaczyć Janka. Musi mi opowiedzieć, jak to było u drwali.

Ewa-Maria zadzwoniła na służącego, a gdy przyszedł wydała mu odpowiednie polecenia. Janek Dornau nadszedł również i opowiedział dziadkowi, jak wykonał swoje poruczenie.

Tymczasem służący przyniósł posiłek dla chorego, a Ewa-Maria zaczęła pozwoli karmić dziadka. Janek siedział obok łóżka, pomagał siostrze, a jednocześnie płatał różne figle, by rozweselić dziadka. Starzec kilka razy spojrzął na niego w zamyśleniu, a wreszcie rzekł:

— Kochany Janku, stajesz się z dnia na dzień coraz bardziej podobny do twego biednego wuja Ludwika. Obyś był szczęśliwszy od niego!

Ewa-Maria szybko zmieniła temat rozmowy. Gdy dziadek zjadł, wyprosiła Janka z pokoju.

Dziadek musi się znowu przespać, Janku.

—Dobrze, Ewo-Mario. A ponieważ pogoda uspokoiła się, więc pójdę zajrzeć do pieców hutniczych.

—Tak, zrób to, Janku, musisz się zawczasu nauczyć wszystkiego — powiedział dziadek.

Po czym ułożył się i usiłował znowu zasnąć.

* *

*

Było to kilka dni później. Ewa-Maria stała przy oknie i spoglądała poprzez drzewa w parku na położoną niżej fabrykę Rodenbergów. Willa pana Rodenberga wznosiła się na wzgórzu, toteż z okien na górnych piętrach miało się widok na całą fabrykę.

Z wysokich kominów unosił się dym, który rozpląwał się w górze, po czym osiadł niby cienka pajęczyna na ścianach oszklonych hal z maszynami, skąd słychać było bezustanny, miarowy turkot. Prócz tego skrzypiały koła, zgrzytały piły, poruszały się hałaśliwie tryby. Była to jakby symfonia pracy.

Ewa-Maria знаła i kochała tę pieśń pracy, była prawdziwą córką rodu Rodenbergów, znała każdego robotnika, każde dziecko. Dalej nieco, naprzeciwko fabryki stały małe czyściutkie domki robotnicze, otoczone maleńkimi ogródkami. Tę kolonię robotniczą kazał wybudować dziadek, aby dać swoim robotnikom możliwe warunki bytu. Stworzył on wspaniałe urządzenia sanitarne, a Ewa-Maria i jej ciotka Melania brały udział we wszystkich dobroczynnych imprezach dla robotników. Zwłaszcza Ewa-Maria poświęcała robotnikom wiele czasu. Przyjmowano ją wszędzie i z radością, bo wiadomo było, że lubi robotników. Dzieci uwielbiały ją, bo nigdy nie przychodziła z pustymi rękami, a cieszyły się jeszcze bardziej, gdy przychodziła z Jankiem, który żartował i bawił się z nimi. W takich razach wszędzie widziało się wesołe twarze.

Robotnicy już dziś uważali Janka Dornau'a za swego przyszłego szefa. Kochali jego i jego piękną siostrę, a szanowali bezgranicznie Jerzego Rodenfejrę. Natomiast większość nienawidziła ich wuja, Artura Mertensa, choć na jego okrągłej różowej twarzy gościł stale uprzejmy, obłudny uśmiech. Robotnicy wiedzieli, że dyrektor Mertens złości się na rozmaite drobne udogodnienia, na jakie zezwolił im Jerzy Rodenberg, że stara się nie dopuszczać do nich. Wiedzieli również, że Mertens korzysta ze swego wielkiego wpływu, aby „wyleczyć z tej słabości” starego pana. Ludzie wyczuwali to instynktownie, zwłaszcza, że większość z nich całe prawie życie spędziła w fabryce. Orientowali się doskonale w stosunkach i wiadomo im było, że Mertens jest skąpym, małodusznym człowiekiem, który chciałby jak najwięcej zagarnąć dla siebie; nie ufali jego „pocziwemu” uśmiechowi, wyczuwali bowiem, że jest sztuczny.

Ewa-Maria wiedziała, że robotnicy uważają wuja Artura za złego ducha fabryki, że byli o nim tego samego zdania, co ona i jej brat Janek.

Jedynie dziadek nie miał o tym pojęcia. Ten doskonały znawca ludzi był głuchy i ślepy, gdy chodziło o Artura Mertensa. Dał się przez niego obalamucić, wierzył w jego uczciwość i sprawiedliwość. Ponieważ Artur Mertens był bezspornie zdolnym i pracowitym kupcem, więc z biegiem czasu stał się niezbędny dla pana Rodenberga. Umiał sobie niepostrzeżenie zaskarbić zaufanie teścia, choć nikt nie wiedział, w jaki sposób mu się to udało. Używał tak mądrze swego wpływu, że pan Rodenberg nie spostrzegał wcale, jak bardzo ulega temu wpływowi.

Mimo to w pewnych sprawach zachował wobec zięcia pewną rezerwę, na przykład we wszystkim, co tyczyło jego syna Ludwika. Wypluwało to z pewnego rodzaju wstydlivosti. Nie chciał, aby Mertens wiedział, że nie wierzy on w śmierć swego syna. Czuł, że pod tym względem Mertens nigdy go nie zrozumie. Nie chciał słyszeć, gdy Mertens zapewniał go z wielką stanowczością, że jego syn nie żyje. Toteż o swoim synu rozmawiał jedynie z Ewą-Marią i Jankiem. Oni nie odbierali mu nigdy nadziei, wiedząc, że to jedyna pociecha dziadka.

Również w pewnej sprawie, mającej z tym związek, pan Rodenberg nie obdarzył zaufaniem swego zięcia. Oto sporządził on testament, lecz nie wspomniał Mertensowi, jaka jest jego treść. Mówił tylko o tym ze swymi wnukami. Wiedzieli oni więc, że uczynił spadkobiercą swego syna Ludwika. Dopiero po upływie dwudziestu lat od chwili owej katastrofy okrętowej — Janek Dornau miał zostać właścicielem fabryki. Minęło już od owej chwili piętnaście lat, powinno było więc minąć jeszcze pięć, zanim Janek mógł się uważać za dziedzica. Dziadek powiedział do niego:

— Powinieneś wiedzieć, Janku, że wciąż jeszcze uważam za możliwe, iż wuj Ludwik da jakiś znak życia. Gdyby powrócił, wówczas obejmie swoje dziedzictwo, o ile nie zastanie mnie już przy życiu. Jeżeli nie wróci, wtedy ty zostaniesz moim spadkobiercą. Do tego czasu będziesz miał dwadzieścia pięć lat.

Tak powiedział do Janka, aby nie budzić w nim fałszywych nadziei. Wszyscy jednak uważali Janka za przyszłego szefa, nikt bowiem nie wierzył w możliwość powrotu Ludwika Rodenberga. Tylko Janek nie myślał o spadku i odpowiedział dziadkowi:

—Życzę tobie i sobie, drogi dziadku, abys dożył dnia, w którym powróci Ludwik.

—Wiem, Janku. Ty oddałbyś mu bez zawiści jego dziedzictwo, chociaż sam straciłbyś wiele. Po moim synu jednego ciebie tylko uważam za godnego dziedzica fabryki. Ty jeden masz te zalety i zdolności, aby zostać moim następcą. Ja mogę lada dzień umrzeć, a ty jesteś zbyt młody i niedojrzały, aby zostać już dziś szefem fabryki. Zarządziłem więc w moim testamencie, że po mojej śmierci wuj Artur zostanie twoim prawnym opiekunem oraz naczelnym dyrektorem fabryki, dopóki ty nie ukończysz dwudziestu pięciu lat. Wtedy minie także ten okres, jaki zarezerwowałem dla wuja Ludwika. Musisz się we wszystkim słuchać wuja Artura. Jest doskonałym kupcem i poprowadzi fabrykę w moim duchu. Stanie się dla ciebie przewodnikiem i doradcą; gdy mnie już nie będzie.

Janek z prawdziwą zgrozą dowiedział się o tym, że wuj Artur ma zostać jego prawnym opiekunem, gdyż wiedział, że Mertens go nienawidzi. Doznawał wrażenia, że Mertens uczyni wszystko, aby mu wydrzeć jego dziedzictwo. Mertens bowiem był nie tylko bardzo chciwy, ale także niezmiernie ambitny i żądny władzy. Gdyby dziadek znał go tak dobrze, jak on i jego siostra, to nie uczyniłby go jego opiekunem. Rodzeństwo nie chciało jednak zachwiać tego zaufania, jakim dziadek darzył Mertensa, aby nie zasmucać pana Rodenberga.

Ucieszyli się więc bardzo, że w stanie zdrowia dziadka zaszła poprawa, że z każdym dniem czuł się lepiej. Przyjmował nawet u siebie niektórych urzędników, którzy przychodzili składać mu raporty, a wuj Artur zjawiał się codziennie przed południem na konferencję. Ewa-Maria uważała jednak bacznie, aby dziadek się nie przemęczał.

Gdy tylko spostrzegła, że jest zmęczony, stawiała energiczne „veto” i odsyłała wszystkich panów do fabryki.

Artur Mertens miał swoje dzieci, syna i córkę. Jerzy Rodenberg nie kochał jednak tych dwojga dzieci swojej młodszej córki tak bardzo, jak Ewę-Marię i Janka. Ich sposób zachowania i charakter sprawiły, że były mu jakby obce. Mimo to, one również mogły się w przyszłości spodziewać bogatego spadku, gdyż Melania miała po jego śmierci otrzymać dwa razy tyle, co Ewa-Maria. Fabryka miała jednak znajdować się w jednym ręku, toteż, gdyby Ludwik nie powrócił,

miała należeć do Janka, jako do syna starszej córki. W takim wypadku miałyby on płacić ciotce Melanii oraz Ewie-Marii pewien procent od czystego dochodu, zaś majątek w gotowiznie zostałby podzielony między wszystkich spadkobierców. Gdyby jednak Ludwik powrócił, wówczas Jankowi przypadłaby taka sama część spadku jak Ewie-Marii.

Artur Mertens nie wiedział, że teść uczynił spadkobiercą swego syna Ludwika. Gdyby jednak wiedział o tym, to i tak uważałby Janka za dziedzica, gdyż nie wierzył, że Ludwik żyje. Z tego powodu całą swoją nienawiść skupił na Janku. Chłopiec ten stanowił jedyną przeszkodę przy uzyskaniu nieograniczonej władzy, gdy Jerzy Rodenberg zamknie kiedyś oczy. Gdyby Jerzy Rodenberg domyślał się, jak bardzo Artur marzy o jego śmierci, wówczas patrzyłby na niego innymi oczyma. Mertens bowiem spodziewał się, że w przyszłości usunie w jakiś sposób Janka ze swej drogi i uczyni go nieszkodliwym dla siebie. Już teraz dniem i nocą łamał sobie głowę, jak to uskutecznić w sposób nie zwracający niczyjej uwagi. Był bardzo rozczarowany, że jego teść przemógł chorobę i pocieszał się tylko nadzieją, że stary pan cierpi na serce i któregoś dnia może nagle umrzeć. Im wcześniej to nastąpi, tym wcześniej będzie miał w ręku władzę, z której zamierzał skorzystać, nie licząc się z niczym.

Rodzeństwo przeczuwało intuicyjnie ciemne zamysły i plany wuja i właśnie to przeczucie wzbudzało w Janku i Ewie-Marii lęk i grozę.

Janek byłby chętnie zrezygnował ze swego dziedzictwa. Wolałby, gdyby wuj Ludwik pozostał przy życiu. Byłby nawet odstąpił swój przywilej pierwszeństwa Melanii i jej synowi Egonowi, lecz dziadek postanowił inaczej.

Gdy po raz pierwszy poruszył z wnukiem tę sprawę, Ewa-Maria zapytała, czy dziadek naprawdę jest zdania, że Janek posiada dostateczne zdolności, aby zostać szefem tak wielkiego przedsiębiorstwa. Przecież był on w szkole zawsze miernym uczniem, podczas gdy Egon przynosi stale doskonałe cenzury.

— Mimo to, drogi Janku — odparł Jerzy Rodenberg — jestem przekonany, że potrafisz dalej prowadzić fabrykę w moim duchu. Jesteś krwią z mojej krwi, posiadasz potrzebny rozmach i impulsywną siłę twórczą. Egon jest średnio uzdolniony, lecz ambitny. Każde zadanie spełni dokładnie i sumiennie, lecz nie ma za grosz inicjatywy. Ty właśnie dlatego byłeś miernym uczniem, bo nie jesteś stwo-

rzony do szablonu. Dlatego ty jeden możesz zostać moim następcą, o ile nie zostanie nim mój syn. Umyślnie umieściłem cię zaraz po maturze w fabryce, abyś poznał doskonale wszystkie działy naszego przedsiębiorstwa. Później można jeszcze studiować kilka lat na politechnice. Nawet gdyby Ludwik miał powrócić, to i tak pragnę, abyś pracował w fabryce. Zaznaczyłem to w moim testamencie. Mógłbyś wtedy pracować razem z nim pod jego kierunkiem. Twój kuzyn Egon może studiować prawo, jak to jest jego życzeniem. Nie oddziedziczył po swoim ojcu jego kupieckiego talentu. A ty, Janku staraj się nabyć jak najwięcej praktycznych wiadomości. Jako prawdziwy Rodenberg, zawsze wywiążesz się dobrze ze swego zadania. Jestem o tym przekonany.

Słowa te napełniły Janka wielką dumą; starał się odtąd z całych sił, by zaufanie, jakie pokładał w nim dziadek, stało się uzasadnione.

O tej rozmowie myślała właśnie Ewa-Maria, stojąc przy oknie i spoglądając na dachy fabrycznych gmachów. Ach, jak to dobrze, że dziadek wyzdrowiał! Gdyby umarł, ona i jej brat pozostałiby sami na świecie. Z Egonem i Jolantą nie łączyły ich serdeczne stosunki. Jedynie ciotka Melania okazywała trochę cieplejszego uczucia dzieciom swojej przedwcześnie zmarłej siostry. Była jednak słaba i bezwolna, znajdowała się całkowicie pod wpływem męża. Ewa-Maria nie mogła pojąć tej zagadki, czemu ta dobra tkliwa kobieta pokochała takiego człowieka, jak wuj Artur i czemu bezapelacyjnie podlegała jego woli.

Ewa-Maria zadrzała. Lękała się go, chociaż zawsze był dla niej uprzejmy, nawet zbyt uprzejmy. On jednak wzbudzał w niej wstręt, wystarczyło już gdy podawał jej rękę; nie mogła się nigdy pozbyć uczucia, że należy wystrzegać się tego człowieka. Zauważyła też nienawistne spojrzenie, jakim obrzucał Janka, gdy mu się zdawało, że nikt tego nie widzi.

Chętnie byłaby się zwierzyła dziadkowi z tego lęku, lecz nie chciała go martwić i denerwować; wiedziała, że każde wzruszenie może mu zaszkodzić, miał bowiem słabe serce.

* *

*

Ewa-Maria stała wciąż zadumana przy oknie, gdy nagle drgnęła. Do uszu jej dobiegł głośny, trochę piskliwy śmiech kobiety. Wychyliła się i ujrzała między drzewami migającą jasną sukienkę. W parku, na drodze prowadzącej pod górę, zjawiała się jej kuzynka Jolanta, zwana w całej rodzinie Jo. Szła obok wysokiego mężczyzny, przy czym podskakiwała tak nieostrożnie, że zachwiała się na nogach. Wydała okrzyk przestachu, toteż jej towarzysz musiał ją objąć, aby uchronić ją od upadku. Jo przytuliła się na chwilę do niego i kokieteryjnie spojrzała mu w oczy. Udawała przy tym, że nie widzi Ewy-Marii. A właśnie dla niej odegrała tę maleńką komedię, chciała bowiem skłonić swego towarzysza, by otoczył ją ramieniem. Miała do tego specjalne powody. Ewa-Maria usłyszała ponownie jej śmiech, a następnie słowa:

—Dziękuję, panie inżynierze, bez pańskiej pomocy upadłabym na pewno. Wielkie to szczęście, że pan był przy mnie.

—Wątpię, czy by pani upadła, ale to rzecz naturalna, że pomogłem pani — odparł ciepły, dźwięczny głos męski.

—Proszę niech pan poda mi ramię, nie chciałabym potknąć się znowu — rzekła Jo z zalotnym uśmiechem.

Ewa-Maria spostrzegła, że młody człowiek wcisnął pod pachę swoją tekę, po czym podał rękę Jo. Ta wzięła go poufale pod rękę, podczas gdy ukradkiem posłała triumfujące spojrzenie w górę, do Ewy-Marii. Stwierdziła z zadowoleniem, że Ewa-Maria drgnęła.

Gdy oboje młodzi ludzie doszli do portalu, młody człowiek puścił rękę Jo, a spostrzegłszy Ewę-Marię ukłonił się jej. Jolanta, udając zmieszanie, zapytała:

— Ach, to ty Ewo-Mario? Czy długo już stoisz przy oknie? Ewa-Maria skinęła w milczeniu głową, bo nie chciała obudzić dziadka.

— Jak się czuje dziadek? — spytała Jolanta.

Ewa-Maria przyłożyła palce do ust, aby dać kuzynce do zrozumienia, że dziadek śpi. Pan Rodenberg jednak obudził się już i zawołał ją.

— Ewo-Mario, czy to nie głos Jo?

—Tak, dziadku, przyszła w towarzystwie inżyniera Bernda, który pragnie pomówić z tobą. A Jo pragnie się zapewne dowiedzieć o twoje zdrowie. Czy mam ją tu wpuścić?

—Dobrze. Czekam na pana Bernda. Jo może pozostać tu kilka minut, potem wyjdiesz z nią. Jest bardzo hałaśliwa, trzeba mieć mocne nerwy, żeby długo znosić jej obecność. A ja nie czuję się jeszcze dość silny, aby słuchać jej „nowoczesnych poglądów”. Gdy już pójdzie, możesz powrócić do mnie, ty nie będziesz nam przeszkadzać.

Ewa-Maria oznajmiła przez okno Jolancie i inżynierowi Berndowi, że mogą wejść. Następnie powróciła do dziadka, poprawiła mu poduszki i podała lekarstwo.

—Moja maleńka samarytanko, wkrótce będę zdrowy, a ty będziesz miała więcej spokoju — powiedział tkliwie.

—Nie pragnę tego wcale, dziaduniu.

—A jednak pielęgnowałaś mnie z takim oddaniem, bo jestem egoistycznym starym człowiekiem i nie potrafię przyzwycząić się do pielęgniarce...

—Sprawiało mi to wielką radość, że mogłam ci się przydać, dziaduniu.

—Moje dobre, kochane dziecko. Stajesz się coraz bardziej podobna do twej pięknej matki. Ona także była taka dobra, nadawała się doskonale na żonę lekarza. I była taka szczęśliwa z twoim ojcem, stanowili idealne małżeństwo. I oboje zginęli tragiczną śmiercią...

—Nie myśli o tym, dziadku, musisz szanować twoje serce, nie denerwuj się...

—Tak, tak, kochanie, pamiętam o tym. Chciałbym jeszcze doczekać powrotu mego Ludwika. Ciągłe ukazuje mi się we śnie, widzę go żywym i zdrowym.

—Musisz także żyć dla mnie i dla Janka. Nie mamy przecież nikogo, prócz ciebie.

—O, Ewo-Mario, macie przecież ciotkę Melanię i wuja Artura.

—Nikt nie zastąpi nam ciebie, nawet ciocia Melania, chociaż jest bardzo dobra. Ma jednak swoje dzieci i męża, którzy wypełniają jej życie.

— Moja poczciwa Mela! Kocha nade wszystko swego męża, bo i on ją tak kocha. Nie była tak piękna jak twoja matka, nie miała takiego powodzenia jak ona. A jednak była dumna ze swojej uroczej siostry. Jestem wdzięczny wujowi Arturowi, bo uczynił ciotkę Melanię szczęśliwą.

Ewa-Maria milczała, bo nie chciała martwić dziadka. Nie wierzyła, że wuj Artur kocha swoją żoną i że ożenił się z nią z miłości. Powiedziała zmieniając temat:

—Przestań się denerwować, dziadku, bo nie wpuszczę wcale inżyniera Bern-
da.

—Wpuść go, kochanie, jego towarzystwo dobrze działa na mnie. Jest nie tylko naszym najlepszym, najzdolniejszym inżynierem, lecz także bardzo sympatycznym człowiekiem. A w jego głosie jest coś wręcz kojącego. Cieszę się, że Janek zaprzyjaźnił się właśnie z panem Berndem. Od niego może wiele nauczyć się. Dlatego zarządziłem, aby pracował pod jego kierunkiem.

Ewa-Maria zarumieniła się, a oczy jej zaślniły zdradziecko. Serce jej głośniejszabiło, dlatego, że dziadek wyrażał się z takim uznaniem o inżynierze Berndzie. W tej samej chwili wszedł cicho służący. Był to stary Herman, kamerdyner pana Rodenberga; służył u niego już przeszło czterdzieści lat.

—Przyszedł pan inżynier Bernd i panna Jolanta. Powiedzieli, że wolno im wejść.

—Tak, Hermanie, proszę wpuścić tych państwa, dziadek pragnie ich przyjąć
— rzekła uprzejmie Ewa-Maria.

Herman otworzył drzwi i wpuścił przybyłych. Jolanta weszła do pokoju, trochę zagniewana, za nią podążył Ralf Bernd.

—Wyobraź sobie, dziadku, że Herman nie chciał mnie wpuścić, powiedzia-
łam mu, że czekasz na mnie. Doprawdy pozwala sobie za wiele.

—Zrobił tak, jak mu kazałem. Dzień dobry Jo!

—Ach, przepraszam, w moim gniewie zapomniałam się przywitać. Mam ci tak wiele do opowiedzenia.

I z ust jej popłynął potok słów. Opowiedziała, że mamusia każe się dziadkowi kłaniać, lecz nie przyjdzie, bo ma migrenę, że Egon zjawi się po południu. Mówiła, że Egon powrócił późno i dlatego ma kwaśną minę, wstał późno i nie mógł jej odprowadzić. Podczas opowiadania kokietowała wciąż inżyniera Bernda, który spokojnie stał na progu pokoju. Ewa-Maria spojrzała na niego i pojęła, że jej obawy są płonne. Ten człowiek nie da się usidlać, kokieteryjne manewry jej kuzynki nie robią na nim wrażenia. Zamieniła z nim kilka uprzejmych słów, on zaś podziękował jej za to ciepłym uśmiechem. Po kilku chwilach powiedziała do Jo:

—Chodźmy, nie przeszkadzajmy panom, dziadek musi pokonferować z panem Berndem. Panie inżynierze, proszę zadzwonić, gdy pan skończy konferencję z dziadkiem, albo też gdy dziadek będzie mnie potrzebował.

—Dobrze, proszę pani.

—I proszę nie denerwować mego pacjenta.

—Wykluczone, mam same dobre nowiny.

Obie panienki wyszły z pokoju, a inżynier Bernd otworzył swoją tekę, aby rozpocząć sprawozdanie.

* *
*

Ewa-Maria wprowadziła kuzynkę do małego saloniku w pobliżu pokoju chorego.

—Usiądź, Jo. Czy napijesz się czegoś? Dziś jest już bardzo ciepło.

—Dziękuję, nie chcę — rzekła Jo i rozparła się na fotelu. Następnie wyjęła z torebki małe lusterko i zaczęła się pudrować i poprawiać swoje czarne, krótko obcięte włosy. Później odezwała się szorstko:

—Wyglądasz okropnie, Ewo-Mario. Twoja słynna cera straciła całą świeżość. Nie wytrzymałabym takiego życia w pokoju chorego. Masz teraz zupełnie ostre

rysy, przekwitniesz przed czasem. Wyglądasz nie na dwadzieścia dwa, lecz na dwadzieścia osiem lat.

Słowa te nie były zgodne z prawdą, bo chociaż Ewa-Maria ostatnio wychodziła mało na świeże powietrze, to jednak wyglądała młodo i zachwycająco. Jolanta Mertens lubiła jednak mówić ludziom przykre rzeczy. Ewa-Maria знаła ją, toteż odparła z uśmiechem:

— Nie mogę ci oddać tego komplementu, bo wyglądasz doskonale. Stanowczo masz dzisiaj swój beau jour!

—Uważasz? Dlatego pan Bernd tak gwałtownie umizgał się do mnie. Porównywał mnie z wiosennym porankiem. W ogóle, prawi mi mnóstwo komplementów.

—Jeżeli powiedział ci coś miłego o twej powierzchowności, to nie były to komplementy, lecz prawda.

—Och, ja wiem o co mu chodzi. Chciałby za wszelką cenę ożenić się z jedną z wnuczek naszego dziadka. Wiadomo, młodzi ludzie ubiegają się o świetną partię. A my przecież jesteśmy dobrymi partiami, prawda?

—Trudno zaprzeczyć Jo.

—A widzisz. Ty traktujesz go zawsze bardzo chłodno, więc zwrócił się do mnie. Interesujący człowiek, trzeba mu to przyznać. Ma takie szare oczy w opalonej twarzy, to doskonały kontrast do moich czarnych. Nie będę dla niego zbyt sroga. Gdy tylko dostanie awans, wysłucham jego prośby. Jest z dobrej rodziny, posiada majątek, a dziadek jest o nim bardzo dobrego zdania. Tatuś tylko nie czuje dla niego sympatii. Mimo to zostanę pewnego dnia żoną Ralfa Bernda. Ralf i Jo — to doskonale pasuje, prawda? Spodziewam się, że nie wchodzę ci w drogę, Ewo-Mario? A może się mylę?

Ewa-Maria spostrzegła złośliwe błyski w oczach Jolanty. Nie zdradziłyby się jednak za nic na świecie, że Ralf Bernd miał dla niej większe znaczenie, niż wszyscy inni mężczyźni, że jego jednego kocha. Nie chciała się okazać słabą.

— Nie, nie mylisz się, Jo, mnie nie wejdiesz w drogę. Człowiek, który stara się o twoją rękę, przestaje być dla mnie interesujący, choćbym się nim dotychczas miała interesować.

Jolanta zaśmiała się z zadowoleniem. Była przekonana, że uraziła boleśnie Ewę-Marię, gdyż od dawna spostrzegła, że Ralf Bernd nie jest obojętny jej kuzynce. Lubiała dokuczać kuzynce, bo zazdrościła jej. Ewa-Maria przebywała wciąż z dziadkiem, który ją wyraźnie wyróżniał. Poza tym posiadała własny majątek po ojcu, mogła nim rozporządzać, kupować sobie za odsetki ładne sukienki i kapelusze, nie pytając nikogo o pozwolenie. Ojciec Jolanty zaś trzymał ją krótko i żałował jej pieniędzy, ona przynajmniej była tego zdania. Dlatego dokuczała Ewie-Marii.

— Doskonale, wobec tego rezerwuję pana Bernda dla siebie, ponieważ na pewno pragnie się ożenić zjedną z wnuczek starego Rodenberga.

Nie utrudnię mu zadania, bo jak ci już mówiłam — to mój typ. Powiedz no, czy mi do twarzy w tym kostiumie?

— Bardzo — odparła Ewa-Maria z pozornym spokojem.

— Powinnaś się trochę uróżwić, bo wyglądasz naprawdę bardzo źle. O dziesięć lat starzej...

— Nie uróżuję się, Jo, choćbym miała wyglądać o dwadzieścia lat starzej.

— Boże, jakaś ty zacofana! Dzisiaj wszystkie się malują, to należy do dobrego tonu. W tej szarej sukni wyglądasz okropnie. Jak zakonnica!

— W pokoju chorego chodzi przede wszystkim o praktyczną i higieniczną suknię.

— Mówisz jak prababcia! Ale teraz pójdę już sobie. Przyszłam jedynie dlatego, bo wiedziałam, że Bernd wybiera się do dziadka. Muszę mu dać sposobność do spotkania mnie, bo mój ojciec nie pomyśli o tym.

Ewa-Maria chciała coś powiedzieć lecz zacisnęła wargi.

— Może chciałaś powiedzieć, że to nie wypada? — spytała Jo.

—Przecież ty nie wzruszyłabyś się tym, gdybym powiedziała, że to nie wypada.

—Racja, ja jestem nowoczesną dziewczyną. Nie mogę czekać, aż się zjawi ten jedyny i wybrany. Muszę sama pokierować moim losem.

—Tak, jesteś nowoczesną dziewczyną, a ja jestem trochę zacofana. Najważniejsze jednak, żeby każda z nas była szczęśliwa na swój sposób. Ja przynajmniej życzę ci tego całym sercem, Jo.

—Już ja się postaram o to. A teraz naprawdę muszę iść. Jeśli migrena mamie minęła, to pojedziemy do miasta po sprawunki. Widziałam kapelusz u pani Bendow — niezwykle szykowny, lecz szalenie drogi. Mamusia zechce mi na pewno wybrać tańszy. Niestety, nie jestem w tak szczęśliwym położeniu jak ty. Ty możesz sobie kupować, co ci się podoba.

Ewa-Maria uśmiechnęła się dobrotliwie do kuzynki.

—Pozwól, Jo, że ofiaruję ci ten kapelusz. Jestem ci winna prezent urodzinowy.

Jolanta zmieszana się ogromnie.

—Ależ nie, Ewo-Mario, nie mogę tego przyjąć od ciebie.

—Dlaczego? Zrobisz mi grzeczność, bo nie będę miała już potrzeby zastanawiać się nad wyborem podarunku dla ciebie.

—A więc dobrze, Ewo-Mario, ale to bardzo kosztowny prezent.

—Nie szkodzi, nie wydałam jeszcze moich całych pieniędzy na toalety. Weź sobie ten kapelusz i każ zapisać na mój rachunek.

Jo uścisnęła gwałtownie kuzynkę.

—Słuchaj, to wspaniale! Najpierw powiem mamie, żeby mi kupiła kapelusz, a potem wezmę sobie ten drugi, na twój rachunek. Żebyś tylko nie żałowała, bo bardzo mi w nim do twarzy!

—Na pewno nie pożałuję, cieszę się, że mogłam spełnić jakieś twoje życzenie.

—A więc do widzenia, Ewo-Mario! Dziękuję ci bardzo!

—Do widzenia, Jo!

Jolanta z ostentacyjną czułością ucałowała policzki kuzynki. Ewa-Maria pozwoliła na to. Nigdy nie gniewała się na kuzynkę za jej liczne złośliwości. Przeciwnie litowała się nad nią z powodu jej usposobienia.

* *

*

Po odejściu Jolanty Ewa-Maria stanęła na środku pokoju z przymkniętymi oczyma i przycisnęła ręce do serca. Słowa kuzynki wzbudziły w niej mimo wszystko lekki niepokój. Znała upór Jolanty, gdy chodziło jej o osiągnięcie jakiegoś celu. A wiedziała, że Jolanta postanowiła stanowczo zostać żoną Berndą. Znała dobrze Jolantę i przeczuwała, iż kuzynka wie o tym, że ona kocha Ralfa Berndę. Ukrywała starannie swoje uczucia, lecz Jolanta miała bystre oczy i nie potrafiła uszanować cudzych tajemnic.

Ewa-Maria kochała Ralfa Berndę całą mocą i głębią swego serca. Nie miała najmniejszej pewności, czy odwzajemni on te uczucia. Niekiedy tylko nieoponowany błysk jego oczu, drżenie głosu — dodawały jej nadziei, że Ralf Bernd kocha ją, jak ona jego. Mimo to niepokoiły ją zamiary Jolanty, która postanowiła zdobyć inżyniera Berndę.

Po chwili jednak potrząsnęła głową i odetchnęła z ulgą. Jeżeli Ralf Bernd jest naprawdę takim człowiekiem, za którego uchodził w jej oczach, w takim razie kokieteria Jolanty nie zrobi na nim wrażenia. Wartościowy, głęboki mężczyzna nie pozwoli na to, aby kobieta zdobywała jego, on sam wybierze sobie żonę idąc za głosem własnego serca. Jolanta myliła się, twierdząc, że zależy mu na tym, by poślubić jedną z wnuczek Jerzego Rodenberga i zrobić dobrą partię. Mężczyzna jak on — sam budował sobie swój los, nie chciał być zależny od bogatej żony. Wiedziała o Ralfie znacznie więcej, niż Jolanta, bo brat opowiadał jej o nim bardzo wiele. Janek całymi godzinami pracował w biurze pod kierunkiem młodego

inżyniera, cenił go ogromnie, odczuwał dla niego młodzieńcze uwielbienie. Opowiadał siostrze każdą drobnostkę, a Ewa-Maria interesowała się wszystkimi wiadomościami z fabryki. Cieszyła się, że brat zaprzyjaźnił się z nim i że dziadek jest o nim tak dobrego zdania.

Otrząsnęła się z przygnębienia, jakie ogarnęło ją po słowach Jolanty. Nieśmiało podeszła do lustra, obrzucając się krytycznym spojrzeniem. Czy Jo miała rację, czy naprawdę wygląda tak okropnie, jak powiedziała?

Z lustra jednak spoglądało na nią wiośniane, urocze zjawisko. Wprawdzie policzki przybladły nieco, wskutek nużącego pielęgnowania dziadka, lecz ciemnoniebieskie oczy błyszczały, a na różowych, pięknie wykrojonych ustach igrał uśmiech. Śmiała się z siebie samej, bawiło ją, że tak krytycznie przyglądała się sobie. Tylko prosta szara suknia przestała się jej nagle podobać. Pośpieszyła do swego pokoju i narzuciła jasnoniebieską letnią sukienkę. Była w niej jeszcze piękniejsza, niż poprzednio i z rumieńcem zadawała sobie pytanie, czy też spodoba się w niej bardziej inżynierowi Berndowi. W tej chwili zabrzmiał głos dzwonka i Ewa Maria pospieszyła do dziadka.

— Czy panowie już skończyli? — spytała, zwracając się z czarującym uśmiechem do inżyniera Bernda.

Ralf Bernd skłonił się, a błysk w jego oczach zdradzał ostatecznie, jak bardzo podoba mu się młoda dziewczyna.

— Tak, skończyliśmy, a pan Rodenberg polecił mi zawezwać panią.

— Twoja rekreacja minęła, a twój wymagający pacjent ma znowu różne życzenia — rzekł dziadek.

— Chętnie je spełnię, drogi dziadku. Czy nie zmęczyłeś się bardzo?

— Nie, pan Bernd opowiedział mi wszystko tak dokładnie, że nie miałem potrzeby się męczyć. A teraz zjem posilne śniadanie.

— Ciesz się, że masz apetyt. Zaraz każę ci przynieść śniadanie.

— Dobrze, dziecko, najpierw jednak pożegnamy się z panem Bern-dem. Do widzenia, drogi panie inżynierze, jutro oczekuję pana o tej samej porze.

— Przybędę punktualnie, panie Rodenberg.

Po wyjściu inżyniera Bernda, pan Rodenberg zjadł śniadanie, a później położył się. Ewa-Maria poprawiła mu poduszki, on zaś powiedział patrząc na nią:

—Jak ładnie ci w tej niebieskiej sukience. Ostatnio ubierałaś się tylko szaro i czarno, co mnie dziś raziło przy jasnej sukience Jo. Ale i w szarej sukni podobasz mi się lepiej, niż ona. Nie podobają mi się te męskie kobiety.

—Och, żeby tylko Jo nie usłyszała takich słów. Powie, że jesteś zacofany i nie idziesz z postępem.

—Jeżeli postęp ma polegać na tym, że kobiety wyglądają jak mężczyźni i odwrotnie, to nie chcę takiego postępu. W każdym razie wyglądasz ślicznie w tej jasnej sukience,

—Jo powiedziała mi właśnie, że wyglądam okropnie i postarzałam się o dziesięć lat.

—Widzę, że Jo nie pożałowała sobie. Wyglądasz jednak naprawdę bardzo mizernie, robię sobie wyrzuty, że z mojej przyczyny przesiadujesz zbyt wiele w pokoju.

—Powetujemy to sobie, dziadku; za kilka dni wstaniesz, wtedy wyjdziemy oboje. A teraz prześpij się, to najlepsze lekarstwo.

Po południu zjawił się u pana Rodenberga Artur Mertens. Panowie omówili ze sobą rozmaite sprawy handlowe. Wreszcie Jerzy Rodenberg powiedział:

— Byłeś mi w ostatnich czasach wielką podporą i pomocą, Arturze, wszystko załatwiłeś jak sobie życzyłem.

Mertens ucałował rękę teścia.

—O, drogi ojcze, gdybyś wiedział jaką radość sprawia mi twoje uznanie. Staram się z całych sił, żeby ci dać dowody mojej wdzięczności.

—Za co miałbyś mi być wdzięczny, drogi Arturze?

—Za to, że pozwoliłeś mi zostać twoim zięciem.

—To masz tylko do zawdzięczenia Melanii i jej wielkiej miłości dla ciebie. Miałem, prawdę mówiąc, inne plany, ona jednak nie chciała się wyrzec ciebie. Dlatego zgodziłem się na wasz związek i nigdy nie żałowałem tego.

—Cieszę się, że nie żałowałeś tego, ojcze.

—Nie, Arturze, bo uszczęśliwiłeś Melanię.

—Tak, ale byłem ubogim człowiekiem, było to wielkie zuchwalstwo, że starałem się o rękę Melanii. Na moje usprawiedliwienie mogę przytoczyć tylko to, że kochałem Melanię.

—Wniosłeś do małżeństwa inne wartości, znalazłem w tobie dzielnego pomocnika. A, że obdarzasz Melanię tak wielką miłością — to szczególnie cenię w tobie.

Artur Mertens wiedział, że nigdy nie kochał swej żony, że starał się o nią, bo pragnął zrobić świetną partię. Dotychczas jednak odgrywał z takim artyzmem rolę kochającego małżonka, że zwiódł wszystkich, nawet swoją żonę. Nikt nie domyślał się, że nie traktował zbyt serio małżeńskiej wierności i zdradzał Melanię. Ukrywał to jednak w głębokiej tajemnicy i pozwalał sobie na to tylko poza domem, gdy wyjeżdżał w interesach. Teraz powiedział z westchnieniem:

—Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby Melania nie została moją żoną. Toteż dlatego chciałem, abyś obarczył mnie najtrudniejszymi zadaniami, drogi ojcze, abym mógł ci choćby w ten sposób dowieść mej wdzięczności.

—Nie zbraknie ci tego, drogi Arturze, nawet po mojej śmierci. Dopóki Janek nie skończy dwudziestu pięciu lat, będziesz musiał być jego doradcą i przewodnikiem. Później on sam ujmie ster w swoje ręce, ale i wtedy możesz mu służyć radą i pomocą.

— Nie potrzebuję cię chyba zapewniać, drogi ojcze, że uczynię to. Stary pan nie wyczuwał, jak Mertensa gryzie zawiść, że to Janek

Dornau, a nie on sam, zostanie szefem fabryki Rodenbergów. Uważał, że jest o wiele bardziej powołany do tego, niż ten niedojrzały chłopiec, którego nienawidził. Nienawidził bowiem wszystkiego, co mu zawadzało na drodze do celu. Nie miał zamiaru odstępować swego stanowiska Jankowi. Przeszedł do porządku dziennego, że jego własny syn nie zostanie głównym spadkobiercą, nie mógł się jednak z tym pogodzić, że jego samego pominięto. Nie po to pochlebiał w ciągu tylu lat starszemu panu, nie po to zadowolił się swoją brzydką żoną, aby teraz dać się odsunąć na bok. Jego ambicja i żądza władzy dążyły do bardzo wysokich

celów, był gotów zapłacić wysoką cenę, aby je osiągnąć. Jeżeli to konieczne — to bodaj najwyższą cenę! Po omówieniu kilku spraw pan Rodenberg powiedział:

— Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć, Arturze. Dotyczy to inżyniera Bernda, naszego najzdolniejszego i najlepszego pracownika. Uczynił on pewien wynalazek, który uważam za bardzo korzystny dla naszej fabryki. Powiedziałem mu, że zamierzam go kupić. Prócz tego chciałbym, żeby awansował. Jeszcze przed moją chorobą myślałem o tym, by mianować go starszym inżynierem. Gdy przyjdę do fabryki, udzieleniu mu awansu.

Jeżeli Artur Mertens nienawidził kogoś oprócz Janka, to był to właśnie Ralf Bernd, który nie uznawał jego zwierzchności i traktował go jak równego sobie. Dumny, szlachetny sposób zachowania, jaki cechował młodego człowieka — drażnił niesłuchanie pana dyrektora.

Oczy jego zabłyśły pod ciemnymi binoklami. Plan teścia nie podobał mu się wcale. Irytował się już bardzo, że Janek ma pracować pod kierunkiem Ralfa Bernda, pragnąłby bowiem, by Janek pozostawał pod wpływem jednego z „jego” ludzi. Już od dawna namyślał się jak usunąć Bernda, ale to się nie udało, a teraz jeszcze teść zamierza go wyróżnić. Starając się opanować, powiedział:

— Tak, pan Bernd dokonał wynalazku? A mnie nie wspominał o tym ani słowa.

— To zrozumiałe, Arturze, ty jesteś przecież kupcem.

—Ale zrosłem się tak z fabryką, że znam się i na tych sprawach. Mógł się przede wszystkim zwrócić do mnie, a nie naprzykrzać się tobie, ojczy, gdy jesteś chory. To w ogóle człowiek bardzo zarozumiały i pewny siebie. Uważam go za aroganta.

—Mylisz się, Arturze, i krzywdzisz go tym sądem. Opowiadał on Jankowi o tym wynalazku, a ja sam poprosiłem go o szczegóły.

—Być może, iż masz słuszość, drogi ojczy. A poza tym chciałem zwrócić uwagę na jeszcze jedno: czy uważasz, że to dobrze, iż ten młody człowiek wywiera tak wielki wpływ na Janka? Są nierozłączni, a Janek go uwielbia.

—Janek może się od niego wiele nauczyć. Bernd jest energicznym, pracowitym i honorowym człowiekiem, który pewnym krokiem dąży do wytkniętego celu.

— Tak, ojcze, a ten cel jest bardzo wysoki, wyższy, niż przypuszczasz. — Co chcesz przez to powiedzieć?

—Mam wrażenie, że inżynier Bernd ma zamiar poślubić jedną z twoich wnuczek, ojcze.

—Skąd ci to przyszło do głowy, Arturze?

—Jo nie tai wcale, że inżynier Bernd stara się o nią. Powiedziała nawet, że zamierza spełnić jego prośbę. Znasz przecież, Jo. Jest ona bardzo uparta. Dlatego sądziłem, że może lepiej będzie usunąć Bernda z fabryki.

Jerzy Rodenberg zamyślił się, po czym rzekł z niedowierzaniem.

— Więc myśli o Jo... A ja...

Urwał, gdyż o mało nie powiedział: „A ja sądziłem, że myśli o Ewie-Marii”. Powstrzymał się jednak i ciągnął dalej:

—Nie widzę w tym nieszczęścia. Czy byłoby ci to przykre, gdyby starał się o rękę twojej córki?

—Ależ, ojcze, to przecież jasne jak na dłoni, że chodzi mu tylko o dobrą partię. Zapewne pragnie w ten sposób umocnić swoje stanowisko w fabryce.

—Arturze, ja także myślałem niegdyś w ten sposób o tobie, gdy starałeś się o Melanię. Czy sądzisz, że inżynierowi Berndowi zależy wyłącznie na zrobieniu świetnej partii?

—Przecież Jo nie jest piękną.

— Twoja żona także nie była piękna, a jednak poślubiłeś ją z miłości. — Och, moja Melania wydaje mi się najpiękniejszą kobietą na świecie!

— Może Jo wydaje się najpiękniejszą na świecie temu młodzieńcowi. Teraz rozumiem, czemu zachowujesz się tak odpychająco w stosunku do Bernda. Pogoździsz się z nim jednak na pewno, gdy zostanie mężem Jolanty.

Mertensa olśniła nagle myśl. Tak, powinien koniecznie zająć w stosunku do Bernda inne stanowisko. Jeżeli ożeni się z jego córką, to tym samym przejdzie na jego stronę. Można będzie mieć wpływ na niego i wyzyskać ten wpływ.

Nie mógł się teraz dalej zajmować tą myślą, spytał jedynie:

—Więc ty ojcze, nie miałbyś nic przeciwko temu?

—Nie, mój drogi. Jolancie potrzeba mocnej ręki. Im prędzej wyjdzie za mąż, tym lepiej.

— Sądziłem, że sprzeciwisz się temu, ale zdjąłeś mi ciężar z serca. Pozostawie więc tej sprawie wolny bieg.

Obydwaj panowie rozstali się w najlepszej zgodzie. Mertens w głębokiej zadumie powrócił do fabryki.

* *

*

Gdy Ewa-Maria pozostała sama z dziadkiem, ten zapytał nagle:

—Powiedz mi, Ewo-Mario, czy zauważyłaś, że inżynier Bernd interesuje się Jo?

—Nie, dziadku, lecz Jo powiedziała mi sama, że Bernd to jej typ, że się jej podoba i że ma zamiar go zdobyć. Nie robiła z tego tajemnicy, nie popełniam więc niedyskrecji, mówiąc o tym.

—Nie jest to niedyskrecja, ponieważ Jo powiedziała to samo swemu ojcu. Więc Jo zamierza go zdobyć? Powiedz mi, Ewo-Mario, czy ty chciałabyś zdobywać mężczyznę?

—Nie, dziadku, ale ja nie jestem nowoczesną dziewczyną, lecz bardzo zacofaną, jak powiada Jo.

—Cieszę się, że przynajmniej jedna z moich wnuczek jest pod tym względem zacofana. Czy sądzisz jednak, że Bernd jest mężczyzną, który pozwoli się „zdobyc”?

—Nie, dziadku — rzekła Ewa-Maria z radosną ufnością — mam wrażenie, że on też jest pod tym względem zacofany. Na pewno sam wybierze sobie żonę.

—Wobec tego, Jo powinna się rozejrzeć za innym mężem. Na pewno nie umrze z żalu po nim, o ile ją znam.

—Jo? Na pewno nie, dziadku, to przecież byłoby niemodne.

— Masz rację. A teraz poczytaj mi, kochanie. I Ewa-Maria zabrała się do czytania gazet.

Następnej niedzieli doktor pozwolił panu Rodenbergowi wstać. W willi zebrała się cała rodzina, aby powinszować mu powrotu do zdrowia. Przez pół godziny siedział na tarasie, później jednak Ewa-Maria zaprowadziła go z powrotem do pokoju. Artur Mertens i jego dzieci wyrażali głośno swoją radość z powodu poprawy w zdrowiu dziadka. Tylko Melania nie brała w tym udziału. Ona w głębi duszy dziękowała Bogu za to, że ojciec wyzdrowiał. Janek nie odzywał się także, a wreszcie Jo zapytała go:

— Cóż to, Janku, nie wyrażasz radości z powodu wyzdrowienia dziadka?

—Odczuwam tak wielką radość, że nie potrafię jej wyrazić słowami.

—Tak? W każdym razie umiesz panować nad swoją radością.

— Ty za to mówisz o niej bardzo wiele. Każde z nas cieszy się po swojemu, Jo.

— Przestańcież się już kłócić — wtrącił Artur Mertens.

Janek zaczął rozmawiać z ciotką Melanią. Po chwili do pokoju weszła Ewa-Maria i oznajmiła, że dziadek zasnął.

— Wobec tego, możemy pojechać do domu — powiedział Mertens. Wszyscy zgodzili się na to i pożegnali się z rodzeństwem.

* *

*

Nazajutrz przed południem Janek pracował w biurze pod kierunkiem inżyniera Bernda. Był zajęty jakimś rysunkiem, podczas gdy Ralf Bernd manipulował przy jakimś aparacie. Nagle do pokoju wszedł Mertens.

—Dzień dobry, Janku, dzień dobry panie inżynierze! Opowiadano mi cuda o pańskim epokowym wynalazku, panie Bernd!

—Dzień dobry, wuju! Tak, zostałeś dobrze poinformowany. Inżynier Bernd dokonał naprawdę wspaniałego wynalazku.

—Jesteś bardzo egzaltowany, drogi Janku, ale to przywilej młodości. Czemu pan nie uważał za stosowne porozumieć się ze mną w tej sprawie?

W głosie jego brzmiało lekkie rozdrażnienie. Bernd odpowiedział spokojnie:

—Ponieważ pan nie jest fachowcem, panie dyrektorze, tylko kupcem. Nie chciałem więc fatygować pana w tej sprawie.

—A ja przyszedłem tu specjalnie, aby usłyszeć coś o tym wynalazku. Wprawdzie mój teść powiedział mi, że chce kupić ten wynalazek, lecz prosił mnie, abym także wypowiedział moje zdanie.

—Łżesz, jak pies — pomyślał Janek, który wiedział, że dziadek ceni Mertensa jako kupca, lecz nie ufa mu w sprawach technicznych. Ralf Bernd pomyślał to samo, lecz odparł grzecznie:

—Jeżeli pan sobie życzy, to mogę panu wszystko wyjaśnić w przystępnej formie, zrozumiałej dla laika.

—Chętnie — odparł Mertens, tłumiąc gniew — nie jestem wprawdzie fachowcem, lecz pracuję już tyle lat w fabryce, że znam się także na kwestiach technicznych. Posiadam w każdym razie tyle znajomości rzeczy, co mój siostrzeniec.

—Czy pragnie pan od razu usłyszeć sprawozdanie?

—Proszę, przyszedłem przecież po to.

Bernd rozłożył przy pomocy Janka plany i przygotował wszystkie dokumenty. Następnie zauważył spokojnie:

—Muszę zaznaczyć, że właśnie pan Janek doskonale rozumie mój wynalazek, ponieważ pomagał mi przy opracowaniu go. Mogę śmiało powiedzieć, że był moim pomocnikiem.

—Ależ, panie inżynierze, nie warto wspominać o mojej pomocy! — zawołał Janek.

—A jednak bez tej pomocy nie skończyłbym tak prędko mej pracy...

—Nie traćmy czasu na wzajemne komplementy — przerwał mu Mertens.

Inżynier Bernd i Janek spojrzeli sobie w oczy. Potem Bernd zaczął objaśniać, o co chodzi. Mertens spoglądał na rysunki i postanowił z góry, że znajdzie jakieś zarzuty przeciw temu wynalazkowi. Gdy Ralf skończył swoje wyjaśnienia, Mertens odezwał się:

—Tak, to wszystko jest bardzo piękne i dobre, ale czy pan pomyślał już o kosztach? Przecież gdyby wprowadzić to urządzenie we wszystkich hutach, to pochłonęłoby majątek.

—Wiem, panie dyrektorze, i sporządziłem dokładną kalkulację, którą przedłożyłem również panu Rodenbergowi.

—Mówię przecież, że nie powinien pan być trudzić mego chorego teścia przed porozumieniem się ze mną. Jako dyrektor handlowy fabryki byłbym panu od razu powiedział, że ta rzecz nie nadaje się z powodu zbyt wysokich kosztów.

Mertens, stawiając te zarzuty, miał dwie rzeczy na celu. Przede wszystkim pragnął onieśmielić inżyniera Bernda i dać mu do zrozumienia, że o ile jego wynalazek zostanie kupiony i zastosowany, będzie to miał wyłącznie jemu do zawdzięczenia. Chciał tym samym zobowiązać Ralfa Bernda. W gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu wynalazkowi. Ponieważ teść zaakceptował go i uznał za dobry, żaden sprzeciw nie zdałby się na nic, wiedział o tym dokładnie. Ralf Bernd jednak miał poznać, jak wielki wpływ ma Mertens, i zrozumieć, że lepiej będzie, gdy zacznie z nim żyć w zgodzie.

—Przecież dziadek postanowił zakupić ten wynalazek, wuju! — zawołał gwałtownie Janek Dornau.

—Jesteś za młody, drogi Janku, żeby zabierać głos w tej sprawie. Twoja przyjaźń z panem inżynierem skłoniła cię do poruszania z dziadkiem tematu tego wynalazku — odparł Mertens.

—Zdanie dziadka jest jednak miarodajne dla wszystkich, nawet dla ciebie, wuju — wybuchnął Janek, zaperzony.

—Panie Janku, niech pan się nie sprzecza z mojego powodu — wtrącił się Ralf. — Poczekam spokojnie aż pański dziadek wyzdrowieje. Uważam, że pan powinien przedstawić panu Rodenbergowi wszystkie swoje zastrzeżenia — zwrócił się do Mertensa.

Mertens pojął, że posunął się za daleko. Jeżeli inżynier Bernd ma się stać jego narzędziem, to musi go przecież przeciągnąć na swoją stronę. Toteż powiedział pojednawczo:

— Nie tak gwałtownie, panie inżynierze. Przecież jestem tylko handlowym dyrektorem w fabryce, więc staram się zaoszczędzić kosztów naszemu przedsiębiorstwu, to mój obowiązek. Niech pan mi przedstawi dokładną kalkulację, zbadam ją sumiennie i spodziewam się, że zakupimy pański wynalazek. Postaram się wpłynąć odpowiednio na mego teścia. Poinformujemy pana wtedy, jak sprawa została rozstrzygnięta. Do widzenia!

I Mertens uklonił się z jowialnym uśmiechem obydwu młodym ludziom, po czym wyszedł z pokoju.

Przez chwilę panowała cisza. Młodzieńcy spoglądali w milczeniu na siebie. Następnie inżynier Bernd zaczął spokojnie składać swoje plany. Janek, zdenerwowany, położył rękę na jego ramieniu:

— Niech pan będzie zupełnie spokojny, panie inżynierze, dziadek na pewno nie zmieni swego postanowienia. Wyrażał się bardzo pochlebnie o pańskim wynalazku. A teraz zdradzę panu pewną tajemnicę, o której miał się pan dowiedzieć później. Otóż gdy dziadek powróci do fabryki, zostanie pan mianowany naczelnym inżynierem. Mówię panu o tym, aby pan zapomniał o tym upokorzeniu, jakiego doznał pan od mego wuja. Ten człowiek „stawia się” jak zwykle...

„Ten człowiek"! Janek po raz pierwszy nazwał tak swego wuja wobec kogoś obcego! Ralf Bernd pojął całe oburzenie chłopca i cały jego bunt przeciw arbitralnemu zachowaniu się wuja. Ujął mocno rękę Janka.

—Niech się pan nie denerwuje, panie Janku! Pański wuj jest trochę urażony, że go pominąłem w tej sprawie. Dał mi to odczuć. Jestem pewien, że mimo swego wpływu nie uda mu się zmienić zdania pańskiego dziadka. A to, co mi pan opowiadał o zamiarach dziadka — o tym nie chcę wcale słyszeć. Zapomniałem o tym. Wiem, że pragnął mnie pan pocieszyć, ja jednak nie chcę aby pan miał przykrości z mego powodu.

—Wuj Artur szykanuje pana po prostu, bo pan jest moim przyjacielem. Nienawidzi mnie, nienawidzi wszystkich, którzy mnie lubią, nienawidzi także mojej siostry.

Inżynier Bernd spojrział na niego z powagą.

—Niech się pan wystrzega podobnych urojeń, panie Janku! Dlaczego wuj miałby nienawidzić pana?

—Dlatego, że mam w przyszłości zostać szefem fabryki, dlatego, że dziadek wyznaczył na to stanowisko mnie, nie zaś jego własnego syna, albo jego. Dlatego mnie nienawidzi, a teraz zacznie także nienawidzić pana, bo pan jest moim przyjacielem.

—Wypowiada pan bardzo ciężkie oskarżenie, panie Janku — rzekł Bernd.

—Och, mógłbym je uzasadnić! Pan nie domyśla się nawet, jak jawnie okazuje mi nieraz swoją nienawiść, chociaż udaje życzliwego. To wszystko fałsz! Poznam jeszcze dotkliwiej tę nienawiść, jeżeli mnie spotka to wielkie nieszczęście i stracę dziadka, zanim ukończę dwadzieścia pięć lat. Bo do tego czasu, on będzie moim prawnym opiekunem, dopóki nie stanę się niezależny. Przeczuwam, co mnie czeka... Nie jestem tchórzem, ale tego człowieka boję się, boję się, ponieważ zawsze czai się w mroku. A pana zacznie teraz szykanować, bo pan jest po mojej stronie. Powinien pan zerwać stosunki ze mną...

Inżynier Bernd położył uspokajająco rękę na ramieniu chłopca, po czym rzekł z serdecznym uśmiechem:

— Chyba nie mówi pan tego na serio, panie Janku. Gdy darzę kogoś przyjaźnią, to na całe życie. A czuję, że moja przyjaźń może panu być potrzebna.

To prawda, panie inżynierze, bo oprócz mojej siostry i dziadka, nie mam nikogo, kto jest po mojej stronie.

Ależ, panie Janku, przecież w całej fabryce nie ma nikogo, kto by nie był po pańskiej stronie.

—Tak, ale pan mi jest najbliższy po siostrze i dziadku. Nie chcę, żeby pan naraził się na nieprzyjemności od mego wuja.

—Niech pan będzie spokojny, panie Janku, spełniam mój obowiązek i nie lękam się nikogo. Niechże pan więc pozostanie nadal moim przyjacielem nie chciałbym tracić tej przyjaźni.

Janek spojrzał na niego.

— Czy panu naprawdę zależy na mnie?

Ralf Bernd pomyślał, że Janek jest bratem Ewy-Marii, że spogląda na niego w tej chwili niebieskimi oczyma siostry i że jest człowiekiem, dla którego warto narazić się na drobne przykrości. Spojrzał serdecznie na chłopca.

—Zależy mi, bardzo mi zależy, proszę mi wierzyć!

—Jestem z tego dumny! — powiedział Janek, starając się stłumić wzruszenie.
— Opowiem Ewie-Marii i dziadkowi, że pan jest moim przyjacielem, oboje ucieszą się z tego.

Ralf zarumienił się lekko, gdy Janek powiedział o Ewie-Marii. Odwrócił się i powiedział, siląc się na spokój:

— A teraz powróćmy do naszej pracy, żeby nie zaniedbywać obowiązków.

Janek usłuchał natychmiast.

Gdy w południe przyszedł do domu, pośpieszył zaraz do dziadka. Zastał u niego Ewę-Marię. Natychmiast wybuchnął potokiem słów i opowiedział, że wuj Artur sprzeciwia się zastosowaniu wynalazku pana Bernda, aby dziadek nie pozwolił przekonać się przez niego. Stary pan słuchał z uśmiechem, Ewa-Maria z

wielkim zainteresowaniem. Gdy Janek skończył, dziadek pogłaskał z uśmiechem jego jasną czuprynę:

— Tylko spokojnie ty zawadiako, wuj Artur był u mnie i przedstawił mi swoje zastrzeżenia. Musisz wziąć pod uwagę, że jest dyrektorem handlowym i że to jego obowiązkiem jest rozpatrywać każdą sprawę z finansowego punktu widzenia. Przekonałem go jednak, że to dobra lokata pieniędzy, które w swoim czasie przyniosą procent. Nie denerwuj się, bo wuj Artur jeszcze dziś po południu powie panu Berndowi, że rozproszyłem jego wszystkie wątpliwości.

Janek odetchnął z ulgą. Uścisnął mocno rękę dziadka. Następnie, promieniejąc z radości, oznajmił, że inżynier Bernd pragnie zostać na zawsze jego przyjacielem. Przemilczał jednak wszystko, co by mogło rzucić jakieś światło na zachowanie Mertensa. Opowiedział to dopiero później swojej siostrze. Słuchała tego z błyszczącymi oczami i cieszyła się, że inżynier Bernd odnosi się tak serdecznie do jej brata.

—Staraj się zawsze być godnym jego przyjaźni, mój drogi Janku — powiedziała.

—Bądź spokojna, Ewo-Mario, możesz polegać na mnie, odparł Janek.

* *

*

Po południu Artur Mertens zjawił się znowu w biurze inżyniera Bernda i rzekł z obłudnym uśmiechem:

— A więc, drogi panie inżynierze, przekonałem się, że koszty zastosowania pańskiego wynalazku nie są tak wysokie, jak się obawiałem. Dlatego też z czystym sumieniem mogłem namówić mego teścia, abyśmy zakupili i zastosowali pański wynalazek. Zgodziliśmy się obydwaj na to.

Ralf Bernd uklonił się. Przeczynał, że sprawa przedstawiała się zapewne trochę inaczej i przypomniał sobie, co mu powiedział Janek. Nie po raz pierwszy

uderzyło go, jak sztuczna jest uprzejmość tego człowieka. Dziwił się, czemu człowiek tak szlachetny i prawy jak Jerzy Rodenberg jest tak wysokiego mniemania o Mertensie.

—Dziękuję, panie dyrektorze! — powiedział.

—Nie ma za co! Wspominałem już panu, że tylko z obowiązku musiałem wyrazić pewne zastrzeżenia w tej sprawie. Przy tej sposobności, chciałem panu jednak dać pewne wskazówki. Zauważyłem, że mój siostrzeniec przywiązał się bardzo do pana. Chciałbym, żeby pan korzystnie używał swego wpływu na tego zapalczywego chłopca. Jest trochę popędliwy, nie zaszkodzi mu więc, jeżeli pan zacznie go krótko trzymać.

Ralf Bernd zamierzał odpowiedzieć odmownie, lecz spostrzegł, że oczy Mertensa spoczywają na nim z dziwnie przyczajonym, wyczekującym wyrazem. To ostrzegło go w porę. Pojął, że Janek ma rację, twierdząc, że wuj nienawidzi go. Pomyślał, że może przysłuży się Jankowi, jeżeli zacznie udawać, że się zgadza. Wtedy dowie się, jakie są prawdziwe zamiary Mertensa w stosunku do Janka.

— Pragnąłbym się dowiedzieć, w jaki sposób mam oddziaływać na tego młodzieńca — odparł spokojnie — rad byłbym otrzymać od pana odpowiednie dyrektywy.

Powiedział to mimo woli tonem bardziej uniżonym, niż zazwyczaj. Mertens pomyślał, że młody inżynier poczuwa się względem niego do wdzięczności, gdyż on rzekomo protegował jego wynalazek. A więc i Ralf jest człowiekiem, którego można przekupić, jeżeli interes się opłaca. Uśmiechnął się chytrze.

— Musimy pomówić o tym, panie inżynierze. Z jednej strony Janek jest wielkim zawadiaką, z drugiej strony zaś wydaje mi się, że... hm... że jest bardziej skromny, niż inni młodzieńcy w jego wieku. Może pan przyjdzie do nas w niedzielę na obiad, a pogadamy o tej sprawie. Będziemy udawali, że chodzi o pański wynalazek. Janek jednak nie powinien wiedzieć o tym. Czy pan rozumie?

Ralf Bernd miał nieprzenikniony wyraz twarzy, lecz okazywał wielką gotowość i gorliwość. Wietrzył w tym jakieś niebezpieczeństwo dla Janka i myślał, że może uda mu się zapobiec temu, jeżeli zacznie udawać, że rezygnuje z jego przyjaźni. Chciał uczynić coś dla Janka, a wiedział, że ludzi fałszywych i obłud-

nych jak Mertens można pobić tylko ich własną bronią. Postanowił więc uciec się do podstępu, i powiedział, udając, że się zgadza:

— Chętnie przyjmę wskazówki od pana, panie dyrektorze. Gdy mi pan powie, w jaki sposób mam wpływać na pana Janka, zastosuję się całkowicie do pańskich życzeń. Przecież pragnę okazać panu wdzięczność.

Mertens z zadowoleniem skinął głową i podał Ralfowi swoją mięsistą rękę, na której połyskiwał ogromny sygnet.

— Dobrze, dobrze, drogi panie inżynierze. Nie będzie pan miał krzywdy, gdy się pan zgodzi na moje życzenia. Mój teść okropnie rozpieszcza tego chłopaka, lecz na wypadek swojej śmierci powierzył mnie jego wychowanie. Janek chciałby już dziś odgrywać rolę pana całej fabryki, dlatego, że później ma zostać jej szefem. Najpierw jednak powinien poznać trochę świat, jest jeszcze zbyt niedoświadczony i niedojrzały, czy pan rozumie?

Ralf wcale nie rozumiał dokąd zmierza Mertens, spostrzegłszy jednak, że dyrektor uśmiecha się chytrze, uśmiechnął się także, niby ze zrozumieniem i odpowiedział oględnie:

— No, jest jeszcze bardzo młody.

— Słusznie. A dziadek rozpieszcza go bardzo, w czym pomaga mu także siostra Janka. Chłopak trzyma się wiecznie jej fartucha. Przecież młody człowiek powinien poznać życie. Moja siostrzenica jest trochę sentymentalna i ma przestarzałe poglądy. Chciałaby Janka trzymać pod kloszem. A młody chłopiec musi się wyszumieć, prawda?

Teraz Ralf Bernd zaczął się domyślać, o co chodzi Mertensowi. Pojął, że zamierza on powierzyć mu dość dziwną misję. Zbudziło się w nim pewne podejrzenie i ucieszył się, że odgrywa tę komedię wobec Mertensa. Należało zdobyć sobie jego zaufanie, aby zdradził się, jakie zamiary żywi wobec Janka.

— Zdaje się, że zrozumiałem, panie dyrektorze. Proszę całkowicie liczyć na mnie. W niedzielę zechce mnie pan dokładniej poinformować, abym nie popełnił jakiegoś błędu. Pragnę bowiem zastosować się do życzeń pana dyrektora.

Mertens triumfował. Nie przypuszczał, że pójdzie mu tak gładko. Tak, wszędzie i zawsze jest to samo. Każdy człowiek ma swoją słabą stronę! Ten inżynier

myśli, że ma zamiar protegować go i ta myśl zmieniła go zupełnie. Może także pragnie się przysłużyć przyszłemu teściowi. Jo, musi być pewna swego, inaczej nie mówiłaby tak pozytywnie o tej sprawie. No, zobaczy się, zresztą!

— A więc dobrze, panie inżynierze, zobaczymy się w niedzielę u mnie! Jadamy o wpół do drugiej, niech pan jednak zarezerwuje sobie dla nas kilka godzin. Moja żona ucieszy się bardzo, a cóż dopiero moja córka!

I powiedziawszy to, skinął poufale głową, uścisnął rękę Ralfa, po czym odszedł.

— Jeżeli ten pan dyrektor sądzi, że będzie mnie mógł wyzyskać do swoich brudnych celów, to się myli. Lepiej jednak, że się dowiem, jakie niebezpieczeństwo grozi memu młodemu przyjacielowi i jego siostrze.

Dlatego opłaca się odgrywać przez jakiś czas rolę intryganta. Zaufanie Dornau'a nie powinno jednak zostać zachwiane. Dlatego też muszę poczynić pewne przygotowania...

W godzinę później zjawił się u niego Janek. Pracował poprzednio w hali maszyn. Promieniując z radości, powtórzył Ralfowi słowa dziadka. Ralf z uśmiechem skinął głową:

—Dyrektor Mertens był już u mnie, aby mi to oznajmić.

—Cieszę się, że musiał się raz ukorzyć. Ralf zaśmiał się.

—Och, bynajmniej nie uczynił tego, opowiedział mi tę sprawę zupełnie inaczej, a mianowicie w ten sposób, że to on użył swego wpływu na moją korzyść, gdyż przekonał się, że koszty nie są tak wielkie, jak mu się zdawało. Był niezwykle uprzejmy.

—W takim razie na pewno coś knuje, nie mam zaufania do jego uprzejmości. A mój dziadek zazwyczaj tak bystry i spostrzegawczy, pozwala sobie zamydlać oczy przez takiego człowieka. Czy pan może to zrozumieć, panie inżynierze?

Ralf wzruszył ramionami.

— Może dlatego, że ceni go, jako dzielnego, sumiennego handlowca.

—Dzielny handlowiec? Być może, ale poza tym chytry lis i zły człowiek, proszę mi wierzyć! Z panem mogę przecież mówić otwarcie, panie inżynierze.

—Tak, panie Janku, ale niech pan z nikim nie mówi o tym — ostrzegł Ralf Bernd.

— Nie, nie! Do nikogo nie mam tak wielkiego zaufania, jak do pana. Ralf wahał się przez chwilę, po czym podszedł do Janka.

— Zaraził mnie pan swoją nieufnością, panie Janku. Pragnę panu dowieść, że jestem naprawdę pańskim przyjacielem. Czy jednak nie odbierze mi pan swego zaufania, gdy pan spostrzeże, że nagle zacznę żyć w wielkiej przyjaźni z pańskim wujem? Jeżeli pan, na przykład usłyszy, że zaprosił mnie w niedzielę na obiad?

Janek prędko podniósł oczy. W spojrzeniu jego było zdumione pytanie.

—Zaprosił pana?

—Tak! Zanim jednak zacznę mówić dalej, musi mi pan przyrzec, że cała ta rozmowa zostanie między nami. Nie wolno panu z nikim mówić o tym, również wspominać pańskiemu dziadkowi.

Janek odgarnął włosy, jakby mu nagle zrobiło się za gorąco.

—Dobrze, daję panu słowo!

—A teraz niech pan posłucha. Pański wuj pragnie mi dać dyrektywy, w jaki sposób mam wpływać na pana. Z początku chciałem oburzony odmówić, później jednak zdecydowałem się zachować inaczej. Przypomniałem sobie pańskie słowa i pomyślałem, że może będzie to bardzo pożyteczne, gdy się dowiem, jakiego wpływu życzy sobie dla pana pański wuj. Postanowiłem wysłuchać, o co mu chodzi i udawać, że gotów jestem zastosować się do jego dyrektywy. Odegrałem przed nim wstrętą komedię, bo powiedziałem sobie, że jeżeli pańskie podejrzewania są uzasadnione, to musimy pobić go jego własną bronią. Pozostawię go w mniemaniu, że znajdzie we mnie chętnie narzędzie dla swoich planów i będę się odpowiednio do tego zachowywał, choć wydaje mi się to wstrętne. Czy pan nie straci do mnie zaufania?

Janek spojrział w jego jasne, uczciwe oczy i podał mu impulsywnie rękę.

—Nigdy, panie inżynierze! Przykro mi tylko, że pan z mego powodu musi się wdawać w takie sprawy! Czy mogę przyjąć taką ofiarę?

—Jesteśmy przecież przyjaciółmi, a przyjaciele powinni sobie nawzajem pomagać. Jak już zaznaczyłem, zaraził mnie pan swoją nieufnością i ogarnęło mnie nagle uczucie, że panu i pańskiej siostrze grozi niebezpieczeństwo. Trzeba więc poznać teraz koniecznie zamiary pana Mertensa. Niech się pan nie dziwi, gdy w przyszłości zrobię lub powiem coś, co wyda się panu niezrozumiałe. Niech się pan nie dziwi, gdy zacznę się zachowywać bardzo uniżenie wobec pańskiego wuja. Będę panu opowiadał wszystko, gdybym jednak przemilczał cośkolwiek, to niech pan nie traci do mnie zaufania!

—W żadnym wypadku, panie inżynierze! Dziękuję panu, że pan chce to wszystko uczynić dla mnie! Lękam się mego wuja, a siostra moja podziela mój lęk! Nieraz przejmuję nas zgroza, gdy patrzy na nas lub podaje nam rękę. Przecież takie uczucie nie może powstać bez przyczyny!

—Tak, panie Janku, toteż nie należy pomijać takich ostrzeżeń. Będziemy więc uważali! Dlatego też uknułem tę intrygę, uczynię to chętnie dla pana i... dla pańskiej siostry...

Janek spojrzał na niego badawczo. Ostatnie słowa brzmiały tak dziwnie ciepło i tkliwie. Zbudziło się w nim nagle pewne przeczucie.

Czyżby inżynier Bernd interesował się specjalnie jego siostrą? A Ewa-Maria? Czy nie dopytywała się zawsze bardzo szczegółowo o wszystko, co dotyczy inżyniera Bernda? Tak, łuski spadły mu nagle z oczu. Uścisnął mocno rękę inżyniera Bernda i spojrzał na niego, rozpromieniony.

— Będę panu ufał i będę milczał, cokolwiek się stanie! — powiedział w podnieceniu. — Wtajemniczę jedynie moją siostrę i mogę ręczyć za to, że i ona zachowa w tej sprawie milczenie!

* *

*

Wieczorem rodzeństwo siedzieli razem w małym saloniku Ewy-Marii. Dziadek zaraz po kolacji udał się na spoczynek. Janek przede wszystkim powtórzył

siostrze swoją rozmowę z inżynierem Berndem. Ewa-Maria słuchała z wypiekami na twarzy. Wreszcie Janek zapytał:

—No, i co powiesz, Ewo-Mario?

—Powiedziałabym, Janku, że postąpiłeś niemądrze, mówiąc z kimś o twoim podejrzeniu w stosunku do wuja Artura. Powiedziałabym tak — gdyby tym człowiekiem nie był właśnie pan inżynier Bernd.

—Wiedziałem, że jemu mogę ufać bez zastrzeżeń.

—Mimo to, powinieneś być ostrożny Janku.

—Czy uważasz, że nie powinienem był mówić o naszym lęku przed wujem? Przecież ty także ufasz inżynierowi Berndowi?

—Tak, z pewnością. Ale pomyśl co by się stało, gdybyś trafił na niewłaściwego człowieka? Wuj Artur dowiedziałby się wtedy, co myślimy o nim.

—To by mu nie zaszkodziło, wiedziałby przynajmniej, że będziemy się bronić.

—Ale powtórzyłyby to dziadkowi, a dziadek zdenerwowałby się bardzo.

—Nie robi tego, on sam nie zechce zachwiać zaufania dziadka. Cieszę się bardzo, że wypowiedziałem się panu Berndowi. Teraz mi tak lekko na sercu. Mam wrażenie, że pozbyłem się tego dręczącego uczucia lęku.

— Czy jednak nie krzywdzimy naszym podejrzeniem wuja Artura?

— Może pragnie tylko, abyśmy ugięli się przed jego mocą? Jest bardzo żądny władzy.

—To samo wystarcza mi w zupełności. Wiem, że jestem jeszcze młody i nie-doświadczony, chętnie przyjmuję rady i nauki od ciebie, dziadka, nawet i od inżyniera Bernda. Od niego jednak nie — trudno, wydaje mi się takim nieszczerym i niebezpiecznym.

—Niestety, ja także nie mam o nim lepszego zdania! Mimo to nie chciałabym nikogo krzywdzić, nawet jego.

—Nie obawiaj się, Ewo-Mario. Dowiemy się, zresztą, przez pana Bernda, jakie ma zamiary. Powiedz, czy to niedobrze, że znaleźliśmy w nim sojusznika? Uczyni dla nas wszystko, tak, dla ciebie także! Sam powiedział: uczynię wszystko dla pana i dla pańskiej siostry!

Twarz dziewczyny oblała się ciemnym rumieńcem, co Janek zauważył z wielką przyjemnością.

— To bardzo pięknie z jego strony, Janku! Przykro mi tylko, że musi dla nas odgrywać tę wstrętną komedię. Nie leży to w jego prawej, uczciwej naturze. Musimy mu być bardzo wdzięczni za to!

Janek postanowił powtórzyć te słowa Ralfowi Berndowi.

Tydzień szybko minął. Jerzy Rodenberg postanowił w poniedziałek pójść po raz pierwszy do fabryki. Ponieważ wyglądał dobrze i poprawił się bardzo, więc Ewa-Maria zgodziła się na to bez zbytej obawy.

W niedzielę spodziewano się w willi „Melanii” inżyniera Bernda. Pani Melania cieszyła się z tego, bo lubiła bardzo młodego inżyniera. Jolanta zaś ucałowała ojca, gdy powiedział jej, kogo zaprosił na obiad.

—To był świetny pomysł, tatusiu!

—Dlaczego? — spytał Mertens.

—Nie udawaj, tatusiu, że nie wiesz o co chodzi! Przecież nie ukrywałam nigdy, że inżynier Bernd ma u mnie szansę. Dziadek od jutra zacznie znowu chodzić do fabryki, więc nie będę miała sposobności spotykać „przypadkiem” inżyniera Bernda.

—Imponujesz mi twoją szczerością Jo. No, mam nadzieję, że osiągniesz twój cel. A jeżeli inżynier Bernd nie zechce cię, co wtedy?

—Chciałabym zobaczyć mężczyznę, który by nie zechciał Jolanty Mertens, wnuczki Jerzego Rodenberga. Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach z bajkami!

Gość zjawił się punktualnie. Przyniósł kwiaty dla pani Melanii, które wręczył jej z wielką uprzejmością. Lubiała go, więc powitała go bardzo serdecznie. Jolanta natomiast zaczęła z nim od razu rozmawiać w bardzo swobodnym tonie, co

sprawiło mu przykrość. Nie czuł najmniejszej sympatii dla Jo. Jego kobiecego ideału wyglądał zupełnie inaczej.

Gdy Jolanta w obecności rodziców zachowywała się z nim tak poufale, antypatia jego spotęgowała się jeszcze. Przypomniawszy sobie zarazem słowa Mertensa, który zapewniał, że jego żona ucieszy się bardzo, a jeszcze bardziej jego córka. Co to miało znaczyć? Czyż rodzice nie mieli nic przeciwko tej poufałości?

Ralf był bardzo zadowolony, gdy wstano od stołu. Jolanta w ciągu obiadu nie spuszczała z niego swoich czarnych, trochę bezczelnych oczu. Dawała mu też wciąż ukradkiem jakieś znaki, chcąc jakby zaznaczyć, że łączy ich jakaś tajemnica.

Po obiedzie Mertens poprosił Ralfa do swego gabinetu. Tutaj przystąpił od razu do sedna sprawy. Ralf odgrywał tak dobrze swoją rolę, iż Mertens był przekonany, że ma do czynienia z człowiekiem, zdolnym do każdej podłości, o ile mu się ta rzecz opłaci. Dał Mertensowi do zrozumienia, że nie bardzo lubi Janka, lecz zajmuje się nim ostatnio bardzo wiele na wyraźne życzenie pana Rodenberga.

Mertens wpadł w tę pułapkę. Mówił wprawdzie bardzo oględnie, lecz można było jasno przejrzeć jego zamiary. Ze słów jego wynikało, że życzy sobie, aby Ralf wprowadził Janka na drogę rozpusty. Zapewne spodziewał, się że rozpustne życie podkopie siły i zdrowie siostrzeńca, osłabi jego energię.

Powiedział, że obawia się, iż Janek wyrośnie na niedołęgę, bo przebywa wciąż pod opieką swojej siostry. Należy go koniecznie wyzwolić spod wpływu Ewy-Marii, inaczej nigdy nie stanie się prawdziwym mężczyzną. Powinien się wyszumieć, poznać życie, nabrać doświadczenia. Pan Rodenberg postanowił, że Janek zostanie szefem fabryki, co, trzeba przyznać, nie było bardzo mądrym pomysłem. Ostatecznie jednak istnieją przecież doświadczeni ludzie, którzy mogliby lepiej sprawować rządy, niż taki młokos.

Ralf pieniał się w duchu ze złości, lecz mimo to przy tej ostatniej aluzji spojrzawszy znacząco na Mertensa, pragnąc mu jakby dać do zrozumienia, że on nadaje się na to stanowisko bardziej, niż ktokolwiek inny. Mertens wzruszony, uścisnął w milczeniu jego rękę. Zdawało mu się, że ten człowiek, któremu w nagrodę za łotrowski postępek chciał oddać swoją córkę — rozumie go w zupełności.

— Może się pan więc przysłużyć przyszłemu szefowi fabryki — zakończył Mertens ze złowrogim uśmiechem — a jednocześnie wyświadczyć grzeczność mnie. Janek musi poznać życie wielkiego miasta, a takie miasto mamy przecież w pobliżu. Powinien pan otworzyć mu oczy i skłonić go, aby zaczął się bawić. Ja, jako człowiek starszy i jego opiekun, nie mogę tego uczynić, pan jednak jest młody, a zapewne posiada pan w mieście rozmaite znajomości. Może go pan uświadomić, wyjaśnić mu rozmaite drażliwe sprawy. Pan przecież był studentem, więc zna się pan na tym. Gdyby to zależało ode mnie to Janek musiałby studiować, ale mój teść lękał się, że jego wybuchowy temperament spleta mu figła, jak to miało miejsce z jego jedynym synem. Zapewne wiadomo panu, że podczas bójki zabił człowieka. No, nie życzę memu siostrzeńcowi takiego nieszczęścia, ale — dobry Boże — gdyby podczas bójki chłopak dostał małą nauczkę, to by mu wcale nie zaszkodziło. Czy pan rozumie? A tymczasem teraz przesiaduje wciąż w fabryce. Może się wprawdzie nauczyć więcej, niż podczas kilku semestrów na politechnice, ale nie tego, czego wymaga życie od każdego mężczyzny. Chłopak powinien się zmienić. Chciałem, żeby mój syn zaopiekował się nim, ale oni nie zgadzają się ze sobą. Do pana jednak jest bardzo przywiązany, pan ma na niego wpływ, za panem pójdzie na oślep. Pan musi wprowadzić go w świat, czy pan rozumie?

O tak, Ralf rozumiał doskonale, rozumiał go tak dobrze, że byłby najchętniej uderzył go w tę tłustą, obleśną twarz. Aczkolwiek Mertens wyrażał się z całą perfidią, to jednak zamiary jego były jasne jak na dłoni. Janek miał być rzucony w bagno rozpusty, miał się zmarnować na ciele i duszy. Cóż ten człowiek sądzi o nim samym, jeżeli śmie występować z taką propozycją? Miał mu pomóc zniszczyć młode życie, miał się starać o to, by Janek grzązł w występku i narażał swoje zdrowie i siły! Miał, doszczętnie zrujnowany fizycznie i moralnie, stać się bezwolnym narzędziem w ręku Mertensa, a może nawet znaleźć w tym swoją zgubę.

— A więc, drogi panie inżynierze, czy mogę na pewno liczyć na pana w tej sprawie? — spytał słodkim głosem Mertens.

—Naturalnie, panie dyrektorze — Ralf wstał, a na twarzy jego malował się wyraz wielkiej stanowczości — dam panu Jankowi szkołę, może pan polegać na mnie. Będzie używał swego życia. Czemu, zresztą, nie miałby tego czynić? Nie

ma naprawdę potrzeby obarczać się ciężkimi obowiązkami, fabryka spoczywa w najlepszych rękach, o tym wszyscy wiemy. Przecież każdy, nawet robotnik, zdaje sobie dokładnie sprawę, że właściwie pan jest duszą całego przedsiębiorstwa. Najlepiej więc będzie, gdy wszystko pozostanie w pańskich rękach.

Mertens znowu dał się wziąć na ten lep. Znowu uścisnął rękę Bernda i spojrział na niego zmrużonymi oczyma.

— Widzę, panie inżynierze, że się rozumiemy. Spodziewam się, że będziemy zawsze szli ręką w rękę. Nie pożałuje pan tego. Ja... ja postaram się, aby pan w najkrótszym czasie otrzymał awans na starszego inżyniera. A jeżeli pan w dalszym ciągu będzie mi wiernie oddany, to postaram się, aby pan otrzymał w fabryce jakieś kierownicze stanowisko. Zostanie pan w oddziale technicznym pierwszą osobą po mnie. Będziemy dla siebie nawzajem podporą. Istnieją przecież jeszcze ściślejsze więzy, które mogłyby nas połączyć. Zapewniam pana, że z mojej strony nie napotka pan żadnej przeszkody — powiedział znacząco, z dziwnym uśmiechem.

Ralf Bernd nadstawił uszu. Co Mertens ma na myśli, mówiąc o „ściślejszych więzach”? Przypomniały mu się wyraźne awanse Jolanty i zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie przy tej aluzji Mertensa.

Przejrzał go teraz na wskroś. Przynęta o awansie nie odniosła jednak skutku. Szczwany lis chciał znowu udawać jego protektora, nie wiedząc, że Janek wspomniał mu już o zamierzonym awansie. Panując z trudem nad sobą, powiedział:

—Dzięki panu, panie dyrektorze, za tak wielkie zaufanie. Znam teraz dokładnie pańskie życzenia — i daję panu słowo, że zastosuję się do nich.

—Doskonale! A teraz powróćmy do pań! Moja córka dąsa się już zapewne, że zajmuję panu tak wiele czasu.

Panowie udali się na taras, gdzie siedziały panie. Jolanta odłożyła książkę i powiedziała:

— Przeszło godzinę trzymałeś inżyniera Bernda w swoim gabinecie. Pójdziemy się teraz trochę przejść, dobrze, panie inżynierze?

Ralf Bernd byłby najchętniej odmówił, lecz nie mógł się okazać niegrzecznym, toteż odpowiedział uprzejmie:

— Bardzo chętnie, panno Jolanto!

Jo wzięła go bez ceremonii pod rękę i pociągnęła go za sobą. Artur Mertens spoglądał z zadowoleniem na młodą parę. Później objął żonę i spytał żartobliwie:

—No, i cóż, Melanio, czy inżynier Bernd podobałby ci się, jako zięć?

—Ach, Arturze, czy sądzisz naprawdę, że ma zamiary względem Jo?

—Owszem, sądzę! Jo jest przecież wnuczką Jerzego Rodenberga.

—Inżynier Bernd nie jest wyrachowanym człowiekiem. Podobny jest do ciebie, mój Arturze.

Mertens odchrząknął, pojawiając, że powiedział głupstwo.

— Chciałem tylko powiedzieć, że Jo ma zamiary wobec niego. Przecież powiedziała nam to sama.

Pani Melania westchnęła.

—Jo jest ogromnie nowoczesna, niekiedy nie pojmuję wcale jej zachowania.

—Daj jej spokój, Melanio, ona wie, czego chce. Dzisiejsza młodzież ma inne zasady, niż my za naszych czasów młodości.

—Dziwi mnie, Arturze, że zupełnie poważnie mówisz o tym związku, z początku byłeś temu bardzo przeciwny i nie lubiłeś, gdy Jo wspominała o tym.

—Nie jestem przecież wyrodnym ojcem, pragnę, aby moje dzieci były szczęśliwe.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

— Ty, mój dobry, kochany, jakże się cieszę, że obejdziesz się bez walki. Ja zawsze lubiłam inżyniera Bernda, ma takie sympatyczne, wytworne obejście. Pragnę, aby Jo, pomimo swoich nowoczesnych poglądów, stała się tak po staroświecku szczęśliwa, jak jej matka.

Artur Mertens był dość zarozumiały, aby uwierzyć, że naprawdę uczynił swoją żonę szczęśliwą. I powiedział z lekkim cynizmem:

— Nie bój się, będzie równie szczęśliwa jak ty, chociaż może w inny sposób.

* *

*

Jo szła obok Ralfa przez cichy las. Z tego miejsca nie widziało się fabryki, zakrywały ją drzewa. Z daleka można było tylko zobaczyć górę ^{ze} wznoszącą się na niej willą pana Rodenberga. Ralf posyłał tęskne spojrzenie w tę stronę. Marzył o tym, by znaleźć się jak najdalej od Jo. Wolałby spacerować po lesie z Ewą-Marią. A teraz musiał słuchać głupiego trajkotania tego niesympatycznego stworzenia.

—Pan jest taki milczący, panie inżynierze? Czy wolno wiedzieć, dokąd biegną pańskie myśli?

—Myślałem o tym, że za kilka godzin skończy się ta piękna niedziela. Człowiek cieszy się przez cały tydzień, a później taka niedziela szybko mija.

—Ach, więc pan cieszył się przynajmniej myślą o tej niedzieli? Nareszcie powiedział mi pan coś miłego.

—Czy poza tym nie mówiłem pani nic miłego?

—Nie!

—W takim razie powinienem się wyłajać, bo młodym panienom trzeba zawsze mówić miłe rzeczy.

—Niech pan wobec tego naprawi swój błąd. Czy pan zawsze jest taki poprawny? Nie cierpię tego.

—Jestem niepokieszony, że naraziłem się na niezadowolenie ze strony pani.

—Niechże pan to naprawi i powie mi prędko coś przyjemnego!

—Na przykład, że ten piękny letni dzień można porównać z młodą dziewczyną!

—Z którą młodą dziewczyną? — spytała zalotnie.

—Przecież tylko jedna jest tu obecna.

—Więc ten komplement przeznaczony jest dla mnie?

—Rzecz oczywista.

—A cóż mamy. wspólnego — ja i ten letni dzień?

—Pani jest taka młoda, jasna i słoneczna jak on.

—Brawo! Czemu należy pana zmuszać do mówienia komplementów, skoro pan potrafi mówić takie miłe słówka?

—Nie wiedziałem, czy pani to lubi. Niektóre panie nie lubią komplementów. A poza tym nie wiedziałem także, czy potrafię...

—Czy nie wypróbował pan tego?

—Skądże? Nie mam tutaj wiele okazji do obcowania z paniami.

—A poprzednio? Zanim pan przybył do Rodenbergu?

—Wtedy uczyłem się pilnie i przebywałem mało w damskim towarzystwie.

—Jak długo pan już jest właściwie w Rodenbergu?

—Przeszło dwa lata.

—Ale wszystkie niedziele i wieczory spędzał pan przecież w mieście?

—Niedziele niekiedy, ale wieczory bardzo rzadko.

—A czy w mieście nie ma ładnych pań, którym może pan prawić komplementy?

—Przeważnie spotykam się tylko z innymi inżynierami.

—Niekiedy jednak przychodzą także i panie? -

—Tak, zapewne!

—Jakież to są panie?

—Takie, o których nie mogę mówić z panią.

—A więc panie półświatka? — zapytała ze śmiechem.

—Przepraszam bardzo, ale o tym nie mogę mówić z kobietą z towarzystwa.

—Och, nie mam w sobie za grosz pruderii, nie biorę mężczyznom za złe, jeżeli przed ożenkiem zabawią się z takimi damulkami. Uważam tylko, że to bardzo niesprawiedliwe, iż nam, kobietom, wzbrania się takiej swobody.

Spojrzał na nią skonsternowany.

—Panno Jolanto, zmieńmy ten temat.

—Dlaczego? Mnie to wcale nie żenuje.

—Ale mnie! — powiedział z powagą.

—Tacy to są wszyscy mężczyźni, zależy im na tym, aby kobiety żyły w nieświadomości, bo to dla nich wygodnie i przyjemnie. Ale minęły już te czasy, nasze pokolenie nauczyło się trzeźwo i jasno zapatrywać na życie. Ja mam zupełnie nowoczesny światopogląd, ze mną może pan mówić o tych wszystkich sprawach.

Ralf jednak nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Skierował rozmowę na inne tory. Jo doszła do wniosku, że inżynier Bernd ma ogromnie przestarzałe poglądy. Mimo to i ona nie poruszała już tego drażliwego tematu, aby Ralfa „nie spłoszyć”. Zaczęła z nim mówić o rozmaitych aktualnych sprawach i pokazała mu się nagle z zupełnie innej strony. Ralf musiał w duchu przyznać, że jest bardzo czytana i inteligentną dziewczyną, z którą można rozmawiać z dużą przyjemnością.

W najlepszej zgodzie przybyli do willi. Tutaj zastali pana Rodenberga, Ewę-Marię i Janka. Jolanta ujrawszy z daleka Ewę-Marię wsunęła rękę pod ramię Bernda.

— Zmęczyłam się, panie inżynierze, proszę mnie poprowadzić — powiedziała.

I przytulona do niego, ruszyła w kierunku tarasu. Ralf drgnął, spostrzegłszy nowych gości. Było mu teraz podwójnie przykro, że prowadzi Jolantę pod rękę.

Zrobiło mu się dopiero lżej na sercu, gdy Ewa-Maria z miłym uśmiechem podała mu rękę. Jerzy Rodenberg powitał go także bardzo uprzejmie. Wreszcie Ralf podszedł do Janka, który stał nieco na uboczu:

—Nie mogliśmy wyperswadować dziadkowi tej wizyty — szepnął Janek — spodziewam się, że nie przeszkodziliśmy panu.

—Proszę się uspokoić, wszystko już załatwione. Jutro powiem więcej w tej sprawie — odparł Ralf, po czym dopiero głośno przywitali się z Jankiem.

Następnie wszyscy zasiedli przy stole, aby wypić herbatę. Jolanta znowu rozmawiała z Ralfem w bardzo swobodnym tonie. Spoglądała przy tym ze złośliwym błyskiem oczu na Ewę-Marię. Bernd jednak zachowywał się bardzo powściągliwie i poprawnie, toteż Jolanta miała niewiele sposobności do triumfowania. Ewa-Maria zauważyła, że reaguje on z wielką rezerwą na poufałość Jolanty.

Gdy po godzinie Jerzy Rodenberg wstał, aby się pożegnać, Ralf Bernd podniósł się także z miejsca.

— Może pan pojechać z nami, panie inżynierze — powiedział pan Rodenberg — odwieziemy pana do gmachu fabryki.

Ralf Bernd mieszkał w domu inżynierskim w pobliżu fabryki. Z podziękowaniem przyjął to zaproszenie. Gdy żegnał się z Mertensem, ten szepnął.

—A więc raz jeszcze proszę o najściślejszą dyskrecję w tej sprawie.

—Naturalnie panie dyrektorze.

—I postąpi pan tak, jak to zostało umówione?

—Nie zapomnę o tym.

Jolanta szła obok Ewy-Marii i zwierzała się jej szeptem:

— Spędziłam rozkoszną niedzielę, Ewo-Mario. Inżynier Bernd jest zachwycający. Nie uwierzysz, jakie komplementy prawił rrii podczas spaceru. Zdaje się, że się zapalił do mnie!

Ewa-Maria wyczuła intencję kuzynki, odparła więc spokojnie:

—Wobec tego musisz bardzo żałować, że go dziadek uprowadza?

—Ach nie, bo przecież nie moglibyśmy teraz i tak swobodnie rozmawiać. Mama obawia się wszystkiego, co nie jest w „dobrym tonie”. Jest ogromnie zafobana. My oboje postaramy się jednak o to, by niekiedy spotykać się sam na sam.

Ralf pomógł panu Rodenbergowi i Ewie-Marii przy wsiadaniu do auta. On sam usiadł obok Janka przy kierownicy. Uważał, że ta krótka przejażdżka samochodem była najmiłą chwilą tego dnia. Gdy wysiadł, Jerzy Rodenberg zwrócił się do niego.

— Spodziewam się, panie inżynierze, że pan i nam poświęci którąś niedzielę. Może od dziś za dwa tygodnie? Ewo-Mario, pozwolisz chyba zaprosić gościa na obiad?

Pan Rodenberg stwierdził z uśmiechem, że przy jego słowach oczy Ralfa i Ewy-Marii zabłysły radośnie.

— Jo może się nie trudzić, jej wysiłek nie odniesie skutku — pomyślał starzec, a Janek pomyślał coś podobnego.

Ralf udał się do swego mieszkania. Nie miał dziś ochoty wychodzić z domu. Przed oczyma jego zamajaczyła złotowłosa głowa Ewy-Marii. Potem przypomniał sobie Jolantę. Rozumiał dobrze, jakie ma zamiary. Aluzja Mertensa o „jeszcze ściślejszych więzach” nie wychodziła mu z głowy. Przyszła mu na myśl propozycja Mertensa, a wówczas zacisnął gniewnie pięści.

— Łajdak! — szepnął do siebie, a oczy jego zapłonęły oburzeniem. Podeszedł do okna, śledząc rozmarzonym spojrzeniem wille na wzgórzu. Serce jego wziębrało tęsknotą.

Ewa-Maria! Słodka urocza Ewa-Maria! Czy kiedykolwiek zdobędę cię? Czy będzie mi przeznaczone tak ogromne szczęście?

Następnego przedpołudnia Ralf Bernd wszedł do swego biura, dokąd powrócił właśnie z gabinetu Jerzego Rodenberga. Zastał tam Janka Dornau'a. Chłopiec był blady i dziwnie wzburzony. Obwiązywał sobie właśnie drobną ranę na ręku.

— Co panu jest, panie Janku? Jak pan wygląda? Co pan robił? spytał Ralf, przestraszony.

— Drobne skaleczenie, panie inżynierze, mogło być znacznie gorzej! Ralf obejrzał ranę na nadgarstku lewej ręki. Wyglądała jak tłuczona rana, jak duży pęcherz, napełniony krwią.

— Jak to się stało? — zapytał.

Janek roześmiał się trochę nieprzytomnie.

— Drzę jeszcze trochę, panie inżynierze, naprawdę przeląknęłam się jak stara panna i nie odzyskałam jeszcze równowagi. Niech pan posłucha. Otóż byłem na tej nowej budowie, gdzie ubijano właśnie kafarem nowe pale. Robotnicy poszli na śniadanie do kantyny. Byłem trochę ciekawy i trochę lekkomyślny, chciałem obejrzeć sobie z bliska na wpół wbity pal, tkwił tak pięknie w żelaznym pierścieniu, aby go baba kafarowa nie mogła uszkodzić. Przyglądam się więc na pół wbitemu palowi i pochylam nad nim głowę, zapominając, że nade mną wisi ciężki kafar i że najłżejszy ruch może go opuścić. Nagle wydaje mi się, że słyszę cichy zgrzyt sprężyny, która puszcza kafar w ruch. Instynktownie odskakuję, lecz ręka pozostaje między palem, a żelaznym pierścieniem. Na szczęście zdążyłem ją wyciągnąć w samą porę. W tej samej niemal chwili ciężki kafar opadł. Sekunda wcześniej — a bitnia byłaby mi zmiażdżyła głowę.

Ralf Bernd pobladł jeszcze bardziej od Janka.

— Na miłość boską, jak się to stało, że kafar opadł? Przecież pan mówił, że robotników nie było?

Janek przyglądał włosy, ręka jego jeszcze trochę drżała.

— Tak, a teraz opowiem panu, co było najdziwniejsze w tej całej historii — powiedział ochryple. Otóż odwracam się i chcę zobaczyć, kto opuścił kafar... Zdawało mi się, że jestem zupełnie sam... Nagle spostrzegłem w odległości kilku kroków... mego wuja Artura... Stoi sobie spokojnie i zapisuje coś w swoim no-

tatniku... Zbliżam się do niego, jeszcze trochę wytrącony z równowagi, i pytam „Któż był poprzednio przy kafarze, wuju?”

Spojrzał na mnie bardzo zdumiony, zauważyłem jednak, że był bardzo blady. Jego ręka, w której trzymał ołówek, mocno drżała.

—Przy kafarze? Nie było tam nikogo, robotnicy są w kantynie.

—Czy nie widziałeś mnie przy bitni?

—Ciebie? Nie, nie odwracałem się wcale, bo musiałem zrobić pewne ważne notatki.

Opowiedziałem mu, co się stało, a wówczas zawołał ochryple: „Jak możesz być takim nieostrożnym?” Mienił się przy tym na twarzy. Pokazałem mu to drobne skaleczenie, mówiąc: Tym razem uszło mi na sucho, ale życie moje wisiało na włosku. Chciałbym mimo wszystko wiedzieć, kto puścił w ruch sprężynę kafara.

— Sama się poruszyła, to rzecz jasna! Przecież przy kafarze nie było żywej duszy! Zapewne robotnicy nie zabezpieczyli należycie sprężyny! Przeklęta hołota, zawsze muszą czegoś zaniedbać! No, aleja im pokażę!

I wymyślając głośno, wuj Artur poszedł do kantyny. A ja zaraz przyszedłem tutaj, żeby obmyć ranę i nałożyć opatrunek. Co pan na to, panie inżynierze?

Inżynier Bernd wstrząśnięty do głębi, położył ręce na barkach młodzieńca. Obydwaj pobledli. Jeden czytał w oczach drugiego straszne podejrzenie. Kurczowo uścisnęli sobie dłonie.

—Chwała Bogu, panie Janku, że widzę pana przed sobą, całego i zdrowego!

—Ach, jakżeby się zmartwiła moja biedna siostra!

I Janek bezsilnie opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Ralf Bernd nalał wody do szklanki i podał ją Jankowi.

— Niech pan się napije, panie Janku! Janek usłuchał.

—To okropne, że się tak rozmazgałem, jak stara baba! Ale pomyślałem o mojej siostrze i o moim dziadku.

—Niech się pan uspokoi. Chwała Bogu, pan przecież żyje, a siostra pańska nie powinna się dowiedzieć, że pan był tak bliski śmierci. Dziadek również! Gdyby przytrafiło się panu nieszczęście, nie przeżyłby tego na pewno. Cierpi przecież na serce.

Znowu spojrzeli sobie w oczy. Wreszcie Janek rzekł:

— Nie, siostra i dziadek nie powinni się o tym dowiedzieć. Ewa-Maria zapyta mnie na pewno, jakim sposobem się skaleczyłem, ale wymyślę już coś, aby jej nie niepokoić. Czy pan przyrzeka mi, że pan będzie milczał?

Tak, panie Janku, ale i pan musi mi dać pewne przyrzeczenie!

—Jakie?

—Że pan będzie w przyszłości bardzo ostrożny.

— Zapewniam pana, że będę ostrożny. W fabryce jest przecież dość takich niebezpiecznych miejsc, gdzie można... zupełnie przypadkowo... narazić życie. Ten nieco dziwny wypadek będzie dla mnie przestrogą.

W tej chwili wszedł do pokoju dyrektor Mertens. Jego otyła twarz była jeszcze bardzo blada, a oczy migotały niespokojnie za szklami binokli.

— No, Janku, czy opatrzyłeś już twoje skaleczenie? Zwymyślałem porządnie robotników. Uciekają od roboty, nie zabezpieczywszy odpowiednio sprężyny przy kafarze! Nie mają za grosz poczucia obowiązku! Mogło cię to kosztować palec!

— A może nawet głowę! — odparł Janek z goryczą. Dyrektor Mertens zaśmiał się ochryple.

— Głupstwo! Nie żartuj w ten sposób, Janku! Chwała Bogu, że skończyło się na małej ranie. Czy pan słyszał, panie inżynierze? Mój siostrzeniec dotknął ręką pala i kafar się opuścił. Ty, Janku, zasługujesz także na wyrzuty. Jak mogłeś być tak nieostrożny? Wychowałeś się w fabryce i powinieneś wiedzieć, że wszędzie może ci grozić niebezpieczeństwo.

—Możesz być pewny, wuju, że w przyszłości będę bardzo ostrożny. Mertens odchodząc, zapytał jeszcze Ralfa:

—Czy pan pamięta o naszej wczorajszej umowie, panie inżynierze?

—Tak, panie dyrektorze! — mruknął Ralf, nie podnosząc oczu. Nie mógł w tej chwili patrzeć na Mertensa.

—A ty, Janku, pamiętaj — ani słówka twojej siostrze, dziadkowi i cioci Melanii. Dziadek jest jeszcze osłabiony, a kobiety mają zawsze niezbyt mocne nerwy

— Nie dowiedzą się na pewno! — odparł zwięźle Janek. Mertens powrócił znowu do szybu, gdzie robotnicy pracowali przy

kafarze. Żaden z robotników nie potafił mu wyjaśnić, kto obluźnił sprężynę bitni. Mertens upewnił się, że nikt go nie widział i uspokoił się. Był naturą tchórzliwą, lękał się, że ktoś mógł go przyłapać na tym zbrodniczym zamierzeniu. On to bowiem wprawił w ruch sprężynę kafaru. Gdyby mu się udało wykonać swój nieczyny zamiar, byłby za jednym zamachem stanął u celu swoich pragnień. Jerzy Rodenberg bowiem nie przeżyłby na pewno śmierci swego wnuka. Teraz przyjdzie mu długo czekać na spełnienie tych życzeń. Tak, trzeba czekać — ale oczekiwanie to rzecz bardzo trudna.

Nie domyślał się, że Janek zaczął go podejrzewać i że inżynier Bernd podziela to podejrzenie.

* *

*

Gdy Janek i Ralf pozostali sami, młody inżynier powiedział:

— Czy pan czuje się już dość silny, panie Janku? Bo mam panu coś do powiedzenia.

— Proszę, może mi pan powiedzieć wszystko.

— Pański wuj polecił mi wczoraj, abym wprowadził pana w świat. Pragnie on, aby pan przebywał w najgorszym towarzystwie, obcował z kobietami lekkich obyczajów, słowem mam pana wtrącić w bagno rozpusty i zepsuć pana...

Janek nie uczynił żadnego ruchu, był jakby sparaliżowany. Spojrzał z przerażeniem na Ralfa, wreszcie odrzekł:

—Nic nie może mnie zdziwić ze strony mego wuja. Ale jak pan się z tego wyplątał, panie inżynierze?

—Zgodziłem się na wszystko, aby ochronić pana przed innymi, niebezpieczniejszymi elementami. Musimy odgrywać wspólną komedię wobec dyrektora Mertensa. Takiego łotra można pobić tylko jego własną bronią.

— Jakże mam podziękować panu?

— Musi mi pan ufać i słuchać mnie bez zastrzeżeń. Dziadkowi lepiej nie wspominać o tym. Dyrektor Mertens gotów bowiem powiedzieć, że go źle zrozumiałem. A to — co stało się dzisiaj — to także mógł być przypadek, prawda?

— Tak, nie mamy żadnych dowodów.

Znowu spojrzeli sobie znacząco w oczy. Później Ralf Bernd powiedział:

—Pańskiego dziadka nie wolno denerwować, bo ma chore serce Siostra pańska także nie powinna wiedzieć zbyt wiele. Trzeba ją jednak wtajemniczyć, musi bowiem rozumieć, czemu pan nagle będzie spędzał noce poza domem.

—Jak to, panie inżynierze?

—Będzie pan od czasu do czasu sypiał u mnie. Mam bardzo wygodną kanapę. Będzie pan musiał ukradkiem wymykać się z domu, aby pański wuj mógł stwierdzić, że pan się naprawdę niesolidnie prowadzi. O ile go znam, to zechce skontrolować, czy dokładnie spełniam jego polecenie. Może zechce także sprawdzić o której pan powraca do domu. I podczas gdy będzie myślał, że jadę z panem do miasta, aby się zabawić — my zostaniemy sobie w moim pokoju, gdzie spędzimy czas w sposób bardziej niewinny.

—Ach, teraz pojmuje! Będziemy udawali, że pan dokładnie spełnia polecenie mego wuja?

—Tak, musimy to zrobić, aby nabrał do mnie jeszcze większego zaufania. Będziemy tak długo prowadzić tę grę, dopóki go nie zdemaskujemy. Knuje on coś ciemnego, zrozumiałem to dziś. Ja jednak postawię na swoim, a pan musi mi pomóc.

—Czy pan wie, że kamień spadł mi z serca? Teraz jestem pewny, że mąż mojej biednej ciotki zasługuje na nieufność i że nie krzywdziłem go moimi podejrzeniami.

—Rozumiem pana, panie Janku. A więc, czy pan mi pomoże?

—Naturalnie, panie inżynierze!

Ralf po cichu objaśnił Jankowi, na czym polega jego plan. Nie przerywali przy tym swojej pracy. Ralf co chwila podchodził do drzwi i sprawdzał, czy ktoś nie podsłuchuje tej rozmowy.

* *

*

W dwa dni później Ralf powiedział do Mertensa:

— Pan Janek dzisiejszą noc spędzi ze mną, jedziemy razem do miasta. Po dziewiątej wymknie się cichaczem z willi. Kazałem mu, żeby dorobił sobie drugi klucz. Mam się z nim spotkać u podnóża góry przy bocznym wyjściu z fabryki.

— Doskonale! Widzę, że pan prędko pozyskał Janka!

—Nie była to trudna sprawa, panie dyrektorze! Już od dawna pragnął użyć życia, lecz nie wiedział jak się zabrać do tego. Powiada, że nie miał okazji ani pieniędzy. Bo takie nocne eskapady są drogie.

—Niech mu pan wyłoży trochę gotówki.

—Tak się z nim właśnie umówiłem.

—Proszę obciążyć tym mój rachunek, panie inżynierze. Niech sobie nie żałuje, młody chłopiec powinien korzystać z życia. Bogaty dziedzic nie powinien oszczędzać grosza.

—I ja tak pomyślałem, panie dyrektorze.

—Jutro opowie mi pan wszystko. Oczekuję pana o dziewiątej w moim gabinecie.

—Stawię się punktualnie, panie dyrektorze!

Wieczorem tego samego dnia, wkrótce po dziewiątej, Janek cichaczem wymknął się z domu. Nie miał nawet potrzeby udawać wielkiej ostrożności, bo za nic w świecie nie chciał, aby dziadek dowiedział się o tym, że wyszedł z domu.

Janek skradał się od drzewa do drzewa. Dopiero gdy oddalił się od domu, nabrał pewności. Na pozór zupełnie spokojnie szedł przed siebie. Mimo to co chwila nadśluchiwał w głębi parku. Niekiedy słyszał szelest lub cichy zgrzyt żwiru pod ciężarem czyichś ostrożnych kroków. Miał więc dowody, że Artur Mertens śledził go. Udawał jednak, że nie zauważył tego.

Janek opowiedział Ewie-Marii o planach Ralfa Bernda. Wiedziała o ohydnej propozycji Artura Mertensa. Wiadomo jej było także, iż Janek spędzi noc w pokoju Ralfa Bernda. Stała teraz w swoim pokoju i ukradkiem śledziła brata wzrokiem. Zauważyła przy tym, że za Jankiem pełza jakiś cień. Serce jej biło z trwogi. Czy Mertens nie wyrządzi Jankowi w tym mroku żadnej krzywdy?

Na pociechę powiedziała sobie, że przecież Ralf Bernd czuwa nad jej bratem i nie pozwoli mu wyrządzić nic złego. Jakże się czuła szczęśliwa, że Ralf Bernd jest przyjacielem Janka, że mu pomoże. Złożyła ręce jak do modlitwy. Błagała Boga o opiekę nad bratem.

Ralf Bernd oczekiwał Janka u podnóża góry.

— Hallo, czy to pan, panie Janku? — zawołał umyślnie bardzo głośno, tak, że czatujący w mroku Mertens musiał to usłyszeć. Ralf nie widział go wprawdzie wśród głębokiej ciemności, lecz był przekonany, że przyszedł śledzić Janka, już choćby dlatego, aby sprawdzić, czy Ralf opowie mu wszystko.

—Tak, to ja, panie inżynierze.

—Czy udało się panu niepostrzeżenie wymknąć się z domu?

—Tak, wszystko poszło gładko, dzięki temu, że mam własny klucz. Była to z pańskiej strony doskonała myśl z tym kluczem.

—Dobrze! Wsiądziemy teraz do samochodu, czeka na nas obok bocznego wejścia fabryki, ukryty w jedlinie. Jest to taksówka z miasta, kazałem szoferowi, żeby dwa razy w tygodniu zajeżdżał tutaj po nas. Doprawdy, już wielki czas, żeby pan rozwinął skrzydła do lotu. Spędzi pan miłą noc, a po niej nastąpi jeszcze wiele innych. Do mnie może pan mieć zupełne zaufanie. Ze mną zabawi się pan doskonale.

—Jestem panu bardzo wdzięczny, że pan zgodził się wprowadzić mnie w świat. Już od dawna pragnąłem uciech wielkiego miasta, ale brakło mi odwagi.

—No tak, każdy początek jest trudny! Zabawi się pan jednak doskonale, a te nocne eskapady przypadną panu do smaku. Na razie będziemy wyjeżdżali dwa razy na tydzień, dopóki się pan nie przyzwyczai do nocnego życia. Później będziemy mogli wyruszać częściej.

—Świetnie, panie inżynierze! Ale to zapewne bardzo droga przyjemność?

—To nie powinno przecież obchodzić przyszłego dziedzica rodenbergowskiej fabryki. Wyłożę panu tyle, ile będzie potrzeba. To przecież pewne pieniądze.

—To bardzo ładnie z pańskiej strony! Dotychczas moje „kieszonkowe” wystarczało mi zupełnie, w przyszłości jednak będę sobie musiał pożyczyć u pana trochę pieniędzy.

—Niech się pan nie krępuje! A teraz marsz, panie Janku! Niech żyje wesołe, szalone, nocne życie!

Mówili to bardzo głośno. Artur Mertens, który skradał się za Jankiem mógł zrozumieć każde słowo i przekonać się, że Ralf Bernd naprawdę wykonał jego zlecenie.

Obydwaj młodzi ludzie podążali teraz do bocznego wejścia fabryki. Rosła tu kępa jodeł. Wśród drzew czekał samochód. Ralf Bernd dał odpowiednie wskazówki szoferowi. Wiedział on, że ma dwa razy w tygodniu czekać w tym samym miejscu. Miał się nie troszczyć o to, czy ktoś wsiądzie, czy nie — lecz na rozkaz odjechać do miasta. Szoferowi było wszystko jedno, czy wiezie pasażera, czy nie. Przejazdżki te stanowiły dla niego dobry interes.

Janek i Ralf podeszli do auta, udając, że wchodzą do wnętrza. Później zatrzasnęli głośno drzwiczki.

— Naprzód! — zawołał Ralf Bernd, a wóz ruszył natychmiast. Zarośla były tak gęste, że w ciemności nikt nie mógł zobaczyć, czy młodzieńcy naprawdę wsiedli.

Ralf i Janek stali bez ruchu, ukryci za drzewami. Okna wozu były na życzenie Ralfa przesłonięte szczelnie firankami. Wóz w szybkim tempie pędził po szosie. I nagle obydwaj młodzieńcy spostrzegli, że po przeciwnej stronie ktoś wysuwa się spomiędzy krzewów. Był to Artur Mertens. Przystanął na środku jezdni, zdjął kapelusz o szerokim rondzie i zaczął ocierać czoło z potu. Jego łysa głowa jaśniała z dala wśród mroku, gdyż postać jego spowijał ciemny płaszcz. Nawet szyję owinał ciemnym szalem, aby nie zdradził go biały gors koszuli. W tej chwili księżyc wypłynął zza chmur i oświetlił jasno jego twarz. Janek zląkł się tej twarzy. Malował się na niej wyraz nienawiści, na ustach ukazał się szatański uśmiech. Ze złośliwym zadowoleniem patrzył na odjeżdżający samochód, po czym włożył znowu kapelusz i wszedł z powrotem do lasu, lecz tym razem podążył w kierunku willi „Melanii”.

Ralf tymczasem udał się z Jankiem do domu inżynierów. Wprowadził chłopca do swego mieszkania i cicho zamknął za sobą drzwi. Obydwaj stanęli naprzeciw siebie, oddychając ciężko.

— Czy pan go poznał? — zapytał Janek.

— O tak. Spodziewałem się, że przyjdzie nas szpiegować i dlatego powiedziałem panu jaka ma być treść naszej rozmowy. Musi nabrać przekonania, że wypełniam jego zlecenie dokładnie, zachowując te wszystkie finezje, o jakich mi napomknął. W ten sposób będzie się zawsze dowiadywał o tym, co będziemy chcieli mu powiedzieć. Zapewne jeszcze kilka razy zechce nas śledzić. A teraz, panie Janku, niech się pan wygodnie rozgości. Nie potrzebuje pan mówić szeptem. Tutaj jesteśmy zupełnie bezpieczni, nikt nie podsłuchuje. Mój pokój znajduje się na końcu domu z prawej strony, nie mam sąsiada, a dalej pokój inżyniera Bode, mego sąsiada. Ten albo wyjeżdża co wieczór do miasta, albo też, jeżeli przypadkiem bywa w domu, to śpi jak suseł. Możemy swobodnie pogadać i zapomnieć o tym, że jesteśmy spiskowcami. Janek zdjął płaszcz i kapelusz.

— Jakie to straszne, panie inżynierze, że pan z mego powodu musi się uciekać do takich podstępów. Ralf uśmiechnął się.

— Wyobrażajmy sobie, że polujemy na jakieś drapieżne zwierzę, na które musimy czatować w ukryciu. Wszystkie środki są dozwolone, jeżeli chodzi o zawiązanie rąk takiemu łotrowi. Czy pan pali? Tutaj są papierosy! Cieszę się, że będziemy mogli spokojnie pogawędzić. Przy pracy brak nam zawsze potrzebnego skupienia.

Usiadł naprzeciw Janka. Obydwaj zapalili papierosy. Następnie Ralf zapytał:

—Czy siostra wie o tym, że pan dzisiaj noc spędza poza domem?

—Tak, musiałem ją częściowo dopuścić do tajemnicy, ktoś musi przecież wiedzieć, gdzie jestem. Moja siostra jest panu co najmniej tak wdzięczna jak ja. Jest do mnie bardzo przywiązana, a gdyby przytrafiło mi się nieszczęście, ona czułaby się podwójnie nieszczęśliwa.

—Wiem o tym.

—Nawet, gdyby mój wuj znalazł godniejszego wykonawcę swoich zamierzeń, to także nie udałoby mu się sprowadzić mnie na złą drogę. Nie chciałbym bowiem martwić dziadka i mojej siostry. Nie wiadomo jednak, jakie są jego dalsze zamysły. Gdyby pan nie zgodził się na jego propozycję, to znalazłby na pewno kogo innego, kto by pomagał mu w jego łotrowskich sprawkach.

—No, ja mu już opiszę w tak żywych barwach pańskie rozwiązłe życie, że będzie na pewno bardzo zadowolony. A poza tym pan musi mi pomóc, panie Janku. Po każdej takiej rzekomej wycieczce nocnej musi pan nazajutrz w fabryce udawać wielkie zmęczenie. Mertens musi spostrzec, że pan sam rujnuje swoje zdrowie, a wtedy przestanie panu grozić niebezpieczeństwo z innej strony.

—O, postaram się sprawić mu dużo radości. Ach, jaka szkoda, że nie mogę o tym pomówić z dziadkiem!

—Musi pan uzbroić się w cierpliwość, panie Janku, spodziewam się, że mnie się uda zdjąć mu z twarzy maskę obłudy. Im większe będzie miał zaufanie, tym łatwiej będzie go zdemaskować. Jemu się przecież zdaje, że ma mnie w ręku. Napomyka mi ciągle o królewskich nagrodach i jest przekonany, że uczynię wszystko i dam się przekupić.

—A jaką nagrodę przyrzeka panu za wykonanie jego łajdackich zamiarów?
— spytał Janek z goryczą.

—Przede wszystkim przyrzekł mi awans na starszego inżyniera.

—Aha — zauważył Janek z pogardą — jest tak skąpy, że obmyśla nagrody, które go nic nie kosztują. Wie równie dobrze, jak ja, że dziadek od dawna postanowił dać panu ten awans. I co jeszcze?

—Napomknął również, że będę w fabryce zajmował drugie miejsce. Była to przynęta, gdyż pragnie, by w ten sposób pomóc mu przy zdobyciu pierwszego miejsca. A wreszcie... hm... mówił o jeszcze ściślejszych więzach, które mają nas połączyć...

Janek zdziwił się ogromnie.

—Ściślejsze więzy? Co miał na myśli?

—Nie chciałbym mówić o tym.

Janek spojrzał na niego badawczo, po czym zerwał się nagle.

— Ach, domyślam się już! Jo nie ukrywała tego wcale przed Ewą-Marią... Ale nie, ja także nie chcę mówić o tym... Nie cierpimy się wprawdzie nawzajem, Jolanta i ja, lecz mimo to jest ona córką ciotki Melanii i kobietą. Wiemy jednak obydwaj, co mają znaczyć te „ściślejsze więzy”. I pan chce się wyrzec tego wszystkiego?

Ralf spojrzał na niego.

—Powinien mnie pan już znać tak dobrze, panie Janku, żeby wiedzieć, że to wszystko nie zdołałoby mnie nakłonić do wykonania łotrostwa. Nawet w tym wypadku, gdyby mnie nagroda nęciła...

—Ale tak nie jest, prawda?

—Nie, z całą pewnością. Nie chciałbym nikomu na świecie zawdzięczać kariery. Jestem mężczyzną i sam potrafię sobie wywalczyć stanowisko.

Janek uściśnął mocno jego rękę. Pomyślał sobie, że musi tę rozmowę powtórzyć Ewie-Marii, ona się na pewno ucieszy. Obserwował kiedyś Ewę-Marię i Ralfa Bernda, i przekonał się, że nie są oni sobie obojętni.

Między młodymi ludźmi nawiązała się poważna rozmowa na inny temat. Ralf przestrzegał po przyjacielsku Janka, zwracał mu uwagę na niebezpieczeństwa,

jakie mogą grozić młodemu, niedoświadczonemu człowiekowi w wielkomięskim grzędawisku.

— Dziadek nie potrafi może poruszać z panem tych spraw, a siostra pańska sama jest niedoświadczona. Nie ma pan ojca, ani żadnego przyjaciela, oprócz mnie. Muszę pana ostrzec, aby pan w nieświadomości nie narażał się na niebezpieczeństwo.

Przemawiał poważnie i serdecznie do młodego chłopca, upominając go, by nie narażał swego zdrowia i nie ztracał się nigdy.

— Wiem, panie Janku, że pan nie zechce zasmucić dziadka ani siostry, muszę panu jednak otworzyć oczy, aby pan był uzbrojony, gdyby mnie kiedyś nie było przy panu.

Janek słuchał go bardzo uważnie. Miał nieograniczone zaufanie do Ralfa Bernda i sam zadawał mu pytania w różnych sprawach, jakie dotychczas stanowiły dla niego misterium życia. Zbliżyli się bardzo do siebie podczas tej godziny poufnej pogawędki.

Wczesnym rankiem Ralf Bernd obudził Janka. Najpierw stał jeszcze chwilę przed śpiącym chłopcem i spoglądał na niego z dobrotliwym, niemal ojcowskim uśmiechem.

Janek ubrał się szybko, a Ralf wypuścił go po cichu z mieszkania. Chłopiec podążył do willi dziadka. Udało mu się niepostrzeżenie dotrzeć do swego pokoju. O zwykłej porze siedział świeży i wypoczęty przy stole i jadł śniadanie z dziadkiem i siostrą.

Poprzednio zdążył jeszcze opowiedzieć Ewie-Marii o swojej wycieczce i rozmowie z Ralfem. Stwierdził z wielką przyjemnością, że Ewa-Maria zarumieniła się, gdy wspomniał jej o tym, z jaką niechęcią Ralf mówił o „ściślejszych więzach", którymi chciał go zwabić Mertens. Janek unikał zřęcznie wszystkiego, czym mógłby wzbudzić niepokój w Ewie-Marii, a także wszystkiego, o czym mężczyźni mówią między sobą. Ewa-Maria słuchała z błyszczącymi oczyma. Wreszcie Janek powiedział:

— Nie znam równie wartościowego człowieka jak inżynier Bernd, powinniśmy mu być bardzo wdzięczni.

—Nie możemy mu wcale być dość wdzięczni — odparła na to cichym głosem Ewa-Maria.

Minęło kilka tygodni. Ralf Bernd już od dawna otrzymał awans. Mertens udawał, że stało się to dzięki jego poparciu. Ralf zachował się tak, jakby w to wierzył i podziękował swemu protektorowi.

Ralf Bernd już kilka razy opowiadał Mertensowi o nocnych wycieczkach jego siostrzeńca Janka, a opowiadania te były bardzo fantastyczne.

Janek także robił swoje, toteż Mertens mógł być zadowolony. Janek zdawał się naprawdę być bardzo znużony i pracował na pozór niechętnie. Pewnego dnia Ralf powiedział do Mertensa:

— Nie potrzebuję już teraz zachęcać pańskiego siostrzeńca, nabrał smaku do tych spraw i najchętniej wyjeżdżałby każdego wieczoru do miasta. Nie posądzałem go o taką żądzę użycia.

Ralf spostrzegł, że oczy Mertensa dziwnie zabłyśły. Powiedział, siląc się na pobłażliwy uśmiech:

—Niech pan mu pozwoli się wyszumieć, panie inżynierze! Niech pan nie stara się powstrzymywać Janka. Młodość ma swoje prawa.

—Żeby tego tylko nie było zbyt wiele. Przecież jego zdrowie musi ucierpieć na tym, już dziś jest zmęczony i bezsilny. Gdyby nie miał takiej końskiej natury, to by już dziś zachorował. Czy nie powinienem ściągnąć krócej cugli? Dziś posiadam jeszcze wpływ na niego, mogę przemówić do jego rozsądku i powiedzieć mu, żeby nie rujnował zdrowia. Nie chciałbym brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności, gdy chłopiec zginie...

—Niechże pana o to głowa nie boli, panie inżynierze. Janek potrafi znieść bardzo wiele, on nie zginie tak prędko.

—A jeżeli pan Rodenberg dowie się, że to ja nakłoniłem go do tego? Przecież w końcu wszyscy zwrócą na to uwagę, że pan Janek jest ostatnio ociężały i leniwy. Nie chciałbym przecież stracić posady, aczkolwiek chętnie służę panu...

—Niech pan nie robi takich ceregieli z tym chłopakiem. Ja biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność. Nie sądzę, żeby jego dziadek miał cośkolwiek za-

uważyć. W jego obecności Janek stara się panować nad zmęczeniem, spostrzegłem to już. Niech sobie chłopak używa młodości, niech mu pan nie przeszkadza. Niech mi pan powie jakie są te kobiety, z którymi Janek tak często przebywa?

—Bardzo lekkich obyczajów rzecz jasna, ale lubi najbardziej takie, które przechodzą z rąk do rąk.

Mertens zachichotał.

—Cóż, chłopak jest przecież w tym wieku, że może sobie wybierać, co mu się podoba.

—Więc mam mu pozwalać na wszystko, panie dyrektorze?

—Naturalnie — odpowiedział Mertens z niesamowitym błyskiem w oczach — naturalnie, martwi mnie ten chłopiec, nie sądziłem, że się tak rozpędzi na całego.

— A czy to nie będzie niebezpieczne dla jego zdrowia?

—Co? Niebezpieczne, gdy się chłopak trochę zabawi? Czy pan nie robił tego za czasów swej młodości?

—Nie w takim stopniu, panie dyrektorze. Mnie taki tryb życia położyłby na obie łopatki.

—Niech pan nie gada głupstw, ten chłopak ma zdrowie jak koń, nic mu nie będzie. Proszę mu nie przeszkadzać w rozrywkach.

—Dobrze, panie dyrektorze! Skoro pan dyrektor powiada, że odpowiedzialność nie spadnie na mnie...

—Daję panu na to słowo. W najgorszym razie, pogadam z nim sam. Nie dziś i nie jutro, ale pomówię z nim na pewno. Przecież chłopak powinien się nareszcie stać prawdziwym mężczyzną!

Ralf poznawał więc coraz dokładniej plany Mertensa. Dziękował Bogu, że Mertens jego właśnie obrał sobie za narzędzie swej podłości. A dyrektor Mertens był bardzo zadowolony. Pozwalał Jolancie dążyć śmiało do swego celu i niekiedy pytał żartobliwie jak daleko posunęła się jej sprawa.

Jo rzeczywiście kilka razy spotykała się z Ralfem. Robiła wszystko, aby z nim pozostać sam na sam. Kilka razy odwiedziła go nawet w biurze i gniewała się bardzo, gdy Janek był obecny. W jego obecności jednak nie starała się również ukrywać swoich zamiarów. Ralf jednak zachowywał się bardzo poprawnie. Jolanta nie zdołała go wytrącić z jego spokoju.

Ralf martwił się bardzo, że widuje Jolantę częściej, niż Ewę-Marię. Gdy jednak spotykał się z nią przypadkiem, to uważał te chwile za największe szczęście.

Przyjął zaproszenie na obiad i spędził całą niedzielę w willi Rodenbergów. Po obiedzie, gdy starszy pan się położył, Ralf pozostał na tarasie z Ewą-Marią i Jankiem. Dziewczyna po raz pierwszy mogła pomówić z Ralfem o sprawie Janka.

— Staliśmy się pańskimi dłużnikami, panie inżynierze, nie wiem doprawdy, czy spłacimy kiedykolwiek ten dług wdzięczności. Już od dawna pragnęłam podziękować panu za to, co pan robi dla mego brata. Nie możemy się, niestety, zwrócić o pomoc do dziadka, bo nie chcemy go denerwować. A mój brat jest jeszcze za młody, aby się mógł skutecznie przeciwstawić wujowi Arturowi. Doznaję uczucia ogromnej ulgi, myśląc o tym, że pan jest naszym sprzymierzeńcem. Mam jednak nadzieję, że nadejdzie taki dzień, gdy będę mogła złożyć dowody rzetelnej wdzięczności.

Ralf przycisnął jej rękę do ust.

— Słowa pani są dla mnie sowitą nagrodą, nie mówiąc już o przywiązaniu, jakim darzy mnie pan Janek. Pragnę zawsze służyć mu radą i pomocą. Spodziewam się, że uda mi się usunąć grożące mu niebezpieczeństwo. Postaram się o takie dowody, które wystarczą, aby wroga uczynić nieszkodliwym.

Po tych słowach oboje spojrzeli sobie tak głęboko, tak tkliwie w oczy, iż Janek nabrał pewności, że Ewa-Maria i Ralf kochają się nawzajem.

Po owej niedzieli Ralf jeszcze dwa razy widział Ewę-Marię. Raz odwiedziła dziadka w fabryce, a Ralf miał szczęście znajdować się wtedy w gabinecie swego szefa. Drugim razem spotkał ją z bratem w lesie. Janek poprosił Ralfa, aby im towarzyszył, na co ten zgodził się z ogromną chęcią. Brat i siostra opowiedzieli mu podczas przechadzki, że dziadek wciąż jeszcze nie czuje się dobrze. Serce daje mu się ciągle we znaki. Lekarz zalecił zupełny odpoczynek, lecz dziadek nie

chce się zgodzić na to, „życie bez pracy nie jest życiem” — tak brzmi jego dewiza.

Stary pan Rodenberg rzeczywiście pracował, żartując sobie z obaw córki i wnuków. Janek i Ewa-Maria zauważyli, że dziadek w ostatnim czasie miewa coraz częściej swoje przypadłości sercowe. Ewa-Maria porozumiała się z lekarzem, który zalecił czterotygodniową kurację w Nauheim. Ewa-Maria miała mu towarzyszyć, a dzień wyjazdu został już oznaczony.

Pewnego wieczoru przybyła do willi Rodenbergów rodzina Mertensa, aby pożegnać się z dziadkiem. Obecny był również i Egon Mertens, który część ferii spędzał w rodzicielskim domu.

Jo zazdrościła Ewie-Marii podróży do Nauheim.

— Tobie się zawsze udaje — powiedziała do kuzynki — zabawisz się na pewno dobrze podczas tej podróży.

Dziadek roześmiał się.

— Mylisz się, Jo, w Nauheim jest mało rozrywek dla młodzieży. Abyś jednak nie czuła się pokrzywdzona pojedziesz na Boże Narodzenie do jakiejś miejscowości kuracyjnej. Będzie to mój prezent gwiazdkowy. Jo rzuciła się dziadkowi na szyję.

—Cudownie, dziadku! Czy będę mogła wyjechać do St. Moritz?

—Jeżeli tylko twoja matka zechce ci tam towarzyszyć.

—Ależ naturalnie! Prawda, mamó, że i ty cieszysz się z tego?

—Muszę się cieszyć, żeby ci nie psuć przyjemności, Jo. Przecież sama nie pojedziesz.

—Ach Boże, mamó, dziś młode dziewczyny podróżują same.

—Na to nie zgodzę się nigdy — odparła pani Melania.

Jo wzruszyła tylko ramionami, lecz pozostała nadal w dobrym humorze, ciesząc się myślą o przyrzeczonej podróży. Rozmawiano jeszcze godzinę. Egon potajemnie naciągnął dziadka na sto marek, ponieważ miał wiecznie kłopoty finansowe. Później Mertensowie wstali, aby się pożegnać. Dziadek zmęczył się,

głośne zachowanie Jolanty i Egona zawsze go nużyło. Odetchnął z ulgą, gdy w domu znowu zapanowała cisza.

— Chwała Bogu, mamy znowu spokój! — Powiedział z uśmiechem, siadając w wygodnym fotelu.

Ewa-Maria spostrzegła natychmiast, że dziadek jest osłabiony. Podsunęła mu poduszkę pod plecy i powiedziała:

— Zdrzemnij się, dziadku, możesz pozostać tutaj, na tarasie jest bardzo ciepło. My z Jankiem będziemy się zachowywali spokojnie.

Uśmiechnął się do wnucząt.

—Owszem, chętnie się zdrzemnę. A wy możecie rozmawiać, nie jesteście tacy głośni jak Egon i Jo.

—Śpij dobrze, dziadku — powiedział Janek, całując go w czoło.

—Dziękuję ci, mój chłopcze. Dziękuję, Ewo-Mario!

Uśmiechnął się do wnuczki, która ucałowała go serdecznie. Rodzeństwo przez chwilę rozmawiało półgłosem. Później spostrzegli oboje, że zasnął, więc zamilkli. Każde z nich wzięło książkę i zaczęło czytać.

Minęła godzina. Nagle pan Rodenberg zerwał się z chrapliwym dźwiękiem z fotela, stanął wyprostowany i wlepił wzrok w schody, prowadzące na taras. Oczy jego płonęły nieziemskim blaskiem, wpatrywał się jakby w jakieś zjawisko.

— Ludwik! Ludwik! Mój Ludwik! — zawołał i wyciągnął ręce, jakby chciał kogoś objąć.

Brat i siostra zerwali się przestraszeni i pośpieszyli do dziadka.

— Dziadku, kochany dziadku! Co ci jest?

Pan Rodenberg spojrział na wnuki nieprzytomnie, jakby się zbudził ze snu. Twarz jego zarumieniła się, malowała się na niej radość.

— Ludwik był tutaj... Był u mnie, uśmiechnął się do mnie... Ludwik żyje! Ludwik żyje! — zawołał, jakby upojony tym wielkim szczęściem.

Zachwiał się na nogach i osunął się na fotel, podtrzymywany przez Janka i Ewę-Marię. Pan Rodenberg umarł.

Przyczyną zgonu, jak stwierdził potem lekarz, był zawał serca. Zapewne musiał znowu śnić o swoim Ludwiku. Budząc się, jeszcze oszołomiony snem, ujrzał go nagle przed sobą i umarł z radości.

Ewa-Maria i Janek nie mogli od razu pojąć, że ukochany dziadek odszedł od nich na zawsze. Zbyt wielka była to strata, która ich dotknęła, stracili przecież drogiego opiekuna, który zastępował im ojca i matkę.

— Dziadku, najdroższy dziadku! — zawołała Ewa-Maria, pochylając się nad zmarłym.

A gdy spojrzała w jego szkliste oczy, krzyknęła:

—Janku, ach, Janku! Dziadek opuścił nas!

—Ewo-Mario! To niemożliwe! To chyba niemożliwe!

Oboje padli na kolana przed zmarłym i zmówili krótką modlitwę. Następnie Ewa-Maria przywołała służbę i oznajmiła o śmierci dziadka. Zaniesiono go do mieszkania. Później Ewa-Maria zatelefonowała do ciotki Melanii.

Mertensowie natychmiast przyjechali. Ewa-Maria opowiedziała ciotce Melanii o ostatnich chwilach dziadka. Pani Melania, wysłuchawszy opowiadania siostrzenicy powiedziała:

—To jednak bardzo dziwne! A może Ludwik naprawdę żyje?

—Jak możesz mówić takie głupstwa, Melanio? Przecież wiemy wszyscy, że twój brat utonął. Nie wmawiaj sobie takich fantastycznych rzeczy, jak twój ojciec. Zmarły wierzył do ostatniej chwili, że jego syn żyje i myślał o nim przed śmiercią. Oto wszystko — powiedział Mertens.

Namaszczony, słodki głos Artura Mertensa wydawał się rodzeństwu wprost nie do zniesienia. Na szczęście wyszedł prędko z pokoju zmarłego, aby załatwić różne formalności. Już teraz *zaczęła* odgrywać w tym domu rolę pana. Gdy po pewnym czasie powrócił znowu obrzucił Janka spojrzeniem pełnym nienawiści i odezwał się:

— No cóż, chłoptysiu, teraz pewno odczuwasz skruchę? Teraz żałujesz, że w ostatnich czasach prowadziłeś hulaszczcze życie, co?

Janek chciał wybuchnąć gniewem, lecz Ewa-Maria uściśniła ukradkiem jego rękę. Wtedy przypomniał sobie obietnicę daną Ralfowi Berndowi i zamilkł. Mertens zwrócił się teraz z jakimś poleceniem do służącego. W chwilę później przybył lekarz, który stwierdził zgon Jerzego Rodenberga.

* *

*

Jerzy Rodenberg został odprowadzony na wieczny spoczynek, a liczne zastępy towarzyszyły jego trumnie. Spoczął on w grobowcu, gdzie poprzednio została pochowana jego żona.

Janek zwierzył się Ralfowi, jak boleśnie odczuwa śmierć dziadka. Ralf wiedział jak serdeczny stosunek łączył pana Rodenberga z wnukami, toteż starał się pocieszyć Janka. Chłopiec powiedział, walcząc ze łzami:

—Niech pan pozostanie naszym przyjacielem, panie inżynierze, nie mamy teraz już nikogo. Odczuwamy boleśnie naszą samotność. Mertens odgrywa już rolę pana i nie przestaje mi dokuczać. Gdy po raz ostatni klęczałem przed śmiertelnym łóżem dziadka, aby się z nim pożegnać, mój wuj odezwał się: „Nie udawaj żalu, ty hultaju, przecież w ciągu ostatnich miesięcy oszukiwałeś twego dziadka. Wiem dobrze, jak się prowadzisz. Pewno triumfujesz, że zostałeś dziedzicem fabryki, ale za wcześnie na to. Przez pięć lat będę twoim opiekunem i nauczę cię moresu”. Jak się to panu podoba?

—To rzeczywiście zbyt mocne! Co pan odpowiedział na to?

—Nie odpowiedziałem mu wcale, tylko spojrzałem mu prosto w oczy. A wuj Artur nie znosi mojego wzroku, zwłaszcza od czasu tej historii z kafarem.

—To dobrze! Trzeba tylko mieć cierpliwość, zdemaskujemy już tego łotra.

—Tak, muszę być bardzo cierpliwy. Powiedział mi już, żeby się przygotować do przeprowadzki, bo zamieszkam w jego willi, a Ewa-Maria także. Tego nie

zniósłbym, panie inżynierze. Wolałbym stąd uciec, chociaż jestem przywiązany do fabryki i chociaż bardzo kocham moją siostrę.

—Ale jaka jest na to rada? — spytał Ralf, zatroskany.

—Chwała Bogu, Artur na próżno nas straszy. Dziadek zarządził w swoim testamencie, że willa ma stanowić własność Ewy-Marii i moją. Mamy w niej mieszkać, jak długo zechcemy. A poza tym Ewa-Maria jest na szczęście pełnoletnia, więc tym samym nie będzie zależna od Mertensa. Moja siostra nie byłaby obowiązana przeprowadzić się do willi Melanii, lecz na pewno nie zechciałaby mnie zostawić samego. Tak, jednak Mertens nie będzie miał nad nią władzy.

—Chwała Bogu, że dziadek powziął takie postanowienie. Pana Mertensa spotka wielki zawód.

—Och, ten cały testament zawiera dla niego wiele niespodzianek. Z panem mogę o tym pomówić zupełnie szczerze. Przecież panu wiadomo, że mój dziadek miał jedynego syna Ludwika, który zginął w katastrofie okrętowej. Dziadek wierzył jednak do ostatniej chwili, że jego syn żyje i dlatego uczynił go spadkobiercą fabryki. O treści testamentu mówił tylko z nami, Mertens nie wie wcale, co go czeka...

I Janek opowiedział przyjacielowi historię Ludwika Rodenberga, oraz powtórzył mu treść testamentu dziadka.

—Jak pan widzi, testament jest bardzo skomplikowany — dodał w końcu. — W każdym jednak razie byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby wuj Ludwik powrócił. Wtedy byłbym nareszcie wolny. Mertens będzie się jednak wściekał, że nawet jako mój opiekun nie będzie miał nade mną nieograniczonej władzy.

—Może uda nam się jeszcze zebrać dowody, a wtedy można będzie Mertensowi odebrać prawo opiekuństwa.

—Och, gdyby się to panu udało! Tak mnie dręczy ta myśl, że jestem zdany na łaskę i niełaskę tego człowieka. Mam niezbite przekonanie, że człowiek ten czyha na moje życie. I jestem pewien, że to jego ręka wprawiła wtedy w ruch sprężynę kafaru.

—I ja podejrzewam go o to, panie Janku. A ponieważ wiemy, że mamy do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem, więc musimy się podwójnie mieć na

baczności. Postaram się zmusić dyrektora Mertensa, aby dobrowolnie zrzekł się swoich obowiązków opiekuna. Przecież nie zależy panu chyba na głośnym skandalu?

— O nie, wolę tego umknąć. Ach, jak to dobrze, że mam pana po swojej stronie, moja siostra jest także bardzo szczęśliwa z tego powodu.

Ralf nie odpowiedział, lecz twarz jego zarumieniła się. Uścisnął mocno i gorąco rękę Janka i spojrzał mu z dobrotliwym uśmiechem w oczy.

W dwa dni po pogrzebie Jerzego Rodenberga miało się odbyć otwarcie testamentu. W wielkiej sali posiedzeń w budynku dyrekcji przygotowano już wszystko do tego uroczystego aktu. Stosownie do życzenia zmarłego zostali zaproszeni oprócz rodziny wszyscy urzędnicy oraz służba. Jerzy Rodenberg bowiem pozostawił rozmaite zarządzenia i legaty.

Artur Mertens sądził, że zna dokładnie treść testamentu, gdyż zmarły nieraz omawiał z nim niektóre punkty, ale nie dotyczyły one jego syna Ludwika. Czuł się już zupełnie jak władca, ponieważ miał być opiekunem przyszłego szefa fabryki. Ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział się teraz, że jego teść uczynił spadkobiercą swego syna Ludwika i że Janek może wtedy dopiero objąć spadek, jeżeli upłynie dwadzieścia lat od chwili zniknięcia Ludwika Rodenberga. Uśmiechnął się pogardliwie, myśląc o tej niemądrej słabostce starca, lecz uśmiech ten znikł, gdy dowiedział się, że w ten sposób władza jego pod wieloma względami zostanie ograniczona. Rozgniewał się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że willa Rodenbergów ma przypaść Ewie-Marii oraz Jankowi i że rodzeństwo ma w niej pozostać. Tym samym wymykał mu się z ręki ważny atut, miał bowiem zamiar wtrącać się do życia prywatnego swoich siostrzeńców i upokarzać ich w miarę możliwości. Cieszył się już myślą, że będzie mógł utrudniać życie Jankowi także poza godzinami biurowymi i że w ten sposób pokaże także swoją moc Ewie-Marii. Ewa-Maria była bowiem pełnoletnia i w inny sposób nie mógł się mieszać do jej spraw. Dzięki ostatniej woli pana Rodenberga, władza Mertensa kończyła się przed murami willi Rodenbergów. To spotęgowało jeszcze złość Mertensa.

Fakt, że Ludwik Rodenberg został formalnie głównym spadkobiercą, nie obchodził go wcale. Ludwik nie żyje, więc nie może być niebezpiecznym. Jedyną

przeszkodę stanowił Janek. Starszy pan zszedł mu z drogi. Trzeba więc tylko usunąć jeszcze Janka.

Zirytował go jeszcze jeden ustęp w testamencie. Oto Jerzy Rodenberg polecił, aby we wszystkich poważnych pismach krajowych i zagranicznych umieścić ogłoszenie o jego śmierci i zawiadomić jego syna Ludwika, że został jego spadkobiercą.

Wywołało to znowu pogardliwy uśmiech na ustach Mertensa. Pomyślał sobie:

— Naturalnie, że nie spełnię tego idiotycznego żądania. Wielkie ogłoszenie w poważniejszych pismach musi kosztować moc pieniędzy. Nie mam ochoty wyrzucać na ulicę takiej sumy z powodu szalonej idei zniedołężniałego starca.

I rzeczywiście nie umieścił ogłoszenia w gazetach, chociaż Janek i Ewa-Maria kilka razy przypominali mu o tym.

Wreszcie Mertens powiedział rodzeństwu, że uczyni to później, bo przecież nie ma pośpiechu. Spodziewał się, że cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Lecz Janek i Ewa-Maria pamiętali, że życzenie dziadka nie zostało spełnione i zwracali uwagę Mertensowi, że należy podać ogłoszenie.

Pewnego dnia Janek w dość energiczny sposób przypomniał o tym wujowi. Wtedy Mertens zawołał z gniewem:

—Przestań, ta komedia jest zupełnie zbyteczna! Wiesz równie dobrze, jak my wszyscy, że Ludwik nie żyje. Udajesz tylko, że zależy ci na tym, aby to dziedzictwo przypadło innemu. Skończ z tymi głupstwami, nie umieszczę tego ogłoszenia.

—Taka była wola dziadka, więc musimy spełnić jego życzenie.

—Dziadek był pod tym względem niepoczytalny.

—Jak możesz mówić coś podobnego, wuju? Dziadek był człowiekiem trzeźwym i mądrym, zdawał sobie jasno sprawę ze wszystkiego.

—Zdaje się, że dowiódł swej niepoczytalności już tym samym, że uczynił swoim spadkobiercą niedoświadczonego młokosa — wykrztusił zjadliwie Mertens.

Janek odważnie wytrzymał jego spojrzenie.

— Na razie postanowił, że wuj Ludwik ma zostać jego spadkobiercą, a jeżeli po nim przyjdzie moja kolej, to dlatego, że moja matka była starszą córką dziadka. To niesłychane z twojej strony, że uważasz dziadka za niepoczytalnego, dlatego że nie mógł do końca uwierzyć w śmierć swego syna. Nie nasza to rzecz krytykować jego polecenia powinniśmy jedynie spełnić jego wolę.

Mertens obrzucił Janka tak straszliwym spojrzeniem, że chłopiec pomimo swej odwagi zbladł.

— Wynoś się stąd, ty hultaju, nie udawaj że jesteś porządnym chłopcem, ja cię już nauczę, poczekaj tylko! Nie wtrącaj się do spraw, które nic cię nie obchodzą. Na razie ja tu jestem jeszcze panem, rozumiano? — zawołał groźnie.

Janek z powagą spojrzał mu w oczy, następnie odwrócił się i wyszedł. Udał się natychmiast do biura inżyniera Bernda i opowiedział mu całe zajście.

—To podłość z jego strony, że nie spełnia życzenia dziadka. Czy nie można go do tego zmusić, panie inżynierze?

—Możliwe, że mogłoby się go zmusić, należałoby pomówić o tym z notariuszem. Nie wiem czy mam radzić panu, aby pan to uczynił?

—Ale niech pan pomyśli, że może wuj Ludwik żyje! Przecież to byłoby zupełnie możliwe. Czemu nie miałby się dowiedzieć, że jego ojciec umarł i uczynił go swoim spadkobiercą?

—Należy wątpić, że jeszcze żyje. A jeżeli pan zmusi Mertensa do czegoś, czego nie chciał zrobić dobrowolnie, wówczas narazi się pan na wielkie przykrości.

—Ach, jakie to nieszczęście, że jestem bezsilny! Moja siostra martwi się także, że życzenie dziadka pozostało niespełnione.

—Zapytam się w każdym razie adwokata, czy można zmusić dyrektora Mertensa do spełnienia woli zmarłego.

Zanim Janek zdążył odpowiedzieć, ktoś otworzył drzwi, a na progu stanęła Ewa-Maria. Nigdy jeszcze nie była w gabinecie inżyniera Bernda. Wydawała się bardzo wzburzona.

— Czy mój brat jest tutaj, panie inżynierze? Ach, jesteś przecież, Janku! Przepraszam-, panie inżynierze, że wtargnęłam do pańskiego biura, lecz muszę natychmiast pomówić z Jankiem, a przypuszczałam, że go tutaj zastanę.

Ralf zarumienił się z radości z powodu tych nieoczekiwanych odwiedzin. Oczy jego zabłyśły. Szybko przysunął krzesło dla Ewy-Marii.

— Proszę, niech pani spocznie. Wielki to zaszczyt dla tego pokoju, że pani weszła. Odejdę natychmiast, aby pani mogła swobodnie pomówić z bratem.

Ewa-Maria zarumieniła się i ruchem pełnym prośby podniosła rękę.

— Nie, proszę niech pan zostanie — rzekła, zajmując miejsce — wolałabym, żeby pan usłyszał to, co mam do powiedzenia memu bratu.

Janek ujął rękę siostry.

— Jesteś tak zdenerwowana Ewo-Mario — spodziewam się, że to nie jest zła nowina...

— Nie, Janku, to bardzo radosna nowina, szkoda tylko, że przybywa za późno, że dziadek nie dożył tej chwili. Wyobraź sobie, przeczytałam w gazecie, że wuj Ludwik był niewinny. To nie on zabił kastetem tego człowieka...

— Skąd wiesz o tym, Ewo-Mario?

Drżącymi rękami otworzyła torebkę i wyjęła złożoną gazetę. Rozpostarła ją i podała bratu, wskazując mu jakiś artykuł, zakreślony czerwonym ołówkiem:

— Przeczytaj to Janku, aby pan Bernd mógł także usłyszeć. Janek zaczął czytać.

PÓŻNA REHABILITACJA

Radca górniczy, doktor Natusius, który 18 sierpnia zmarł po długotrwałej chorobie, złożył na łożu śmierci pewne wyznanie. Oczyszcza ono z podejrzania człowieka niewinnego. Doktor Natusius przed wieloma laty został zamieszany w bójkę na ulicy. Gdy jeden z przeciwników natarł na niego zbyt mocno, Natusius

uderzył go kastetem w skroń, wskutek czego napastnik padł martwy. Podejrzenie skierowało się na inżyniera Ludwika Rodenberga, który wówczas właśnie ukończył swoje studia i znajdował się w towarzystwie Natusiusa. Koledzy twierdzili, że tylko Rodenberg posiadał kastet. Podejrzenie to było nieuzasadnione, lecz inżynier Ludwik Rodenberg zapewne sam nie wiedział o tym. Uciekł on natychmiast za granicę, aby uniknąć aresztowania. Doktor Natusius wyznał na łożu śmierci, że to on zadał przeciwnikowi śmiertelny cios kastetem.

Obawiając się oskarżenia o zabójstwo, wrzucił wtedy kastet do rzeki. Na niego nigdy nie skierowało się podejrzenie. Przypuszczano że Ludwik Rodenberg był mordercą, toteż policja wszczęła za nim pościg. Doktor Natusius walczył ze sobą, zastanawiał się, czy nie powinien oczyścić kolegi z fałszywego posądzenia, nie zdobył się jednak na żadne postanowienie. Po pewnym czasie usłyszał, że Ludwik Rodenberg, uciekając do Ameryki Południowej, utonął. Ponieważ jego przyznanie się do winy, nie mogło się już przydać na nic zmarłemu, przeto zataił tę tajemnicę. Dręczyły go jednak wyrzuty, że w ten sposób nazwisko zmarłego zostało zniesławione. Dopiero na łożu śmierci powróciła mu odwaga i wyznał wszystko, zdejmując swoim wyznaniem hańbiącą plamę z nazwiska Rodenbergów. Jak wiemy, ojciec inżyniera Rodenberga, szef rodenbergowskich fabryk, umarł niedawno. Żałujemy, że nie dożył rehabilitacji syna i uważamy za swój obowiązek podać fakt powyższy do wiadomości publicznej, a tym samym usunąć piętno niesławny z nazwiska inżyniera Ludwika Rodenberga.

—Och, Ewo-Mario, czemu dziadek nie doczekał tej chwili! — zawołał Janek.

—Była to również moja pierwsza myśl, Janku. Dlatego też przyszedłem do ciebie. Jeżeli Ludwik żyje gdzieś daleko, dręczony myślą, że to on jest zabójcą — czy nie należałoby uczynić wszystkiego, aby przesłać mu wiadomość o wykryciu jego niewinności?

—Co pan myśli o tym inżynierze? — spytał Janek. Ralf zwrócił się do Ewy-Marii.

—Rozprawialiśmy właśnie na ten temat. Pan Janek zwrócił się w tej sprawie do dyrektora Mertensa, który nie chce umieścić ogłoszenia, bo uważa, że to zbyt

wielki wydatek. Wierzy on, że Ludwik Rodenberg już nie żyje. Przyszła mi jednak pewna myśl. Oto, państwo oboje, powinniście na własną rękę umieścić w piśmie takie ogłoszenie. W ogłoszeniu tym należy zawiadomić Ludwika Rodenberga, że jego niewinność została wykazana. Niech pani pokaże ten artykuł wujowi, może po tej wiadomości zgodzi się umieścić ogłoszenie. Jeżeli odmówi, wtedy będzie pani mogła działać na własną rękę.

—Ach, tak! Zrobimy to, prawda, Janku?

—Naturalnie! Mertens i tak dowie się o tym, gdy ogłoszenia ukażą się w piśmie.

—Wszystko jedno! Wtedy nie będzie już mógł przeszkodzić temu.

—Słusznie! Ach, tylko skąd weźmiemy pieniądze? Ja nie mogę poprosić Mertensa o pieniądze, bo narażę się na drobiazgowy przesłuchanie. A jak twoja kasa, Ewo-Mario? Ile może kosztować takie ogłoszenie?

—Zapewne kilka tysięcy marek, jeżeli je umieścimy we wszystkich większych piśmie — odpowiedział Bernd.

—Ach, nie dysponuję obecnie taką sumą — westchnęła Ewa-Maria. — Co począć, panie inżynierze?

—To bardzo proste, pożyczysz pani od kogoś potrzebną sumę.

—Ale kto mi pożyczysz tak znaczną kwotę? — spytała Ewa-Maria.

—Tak, kto nam pożyczysz? — powtórzył Janek.

—Jeżeli pani pozwoli, to ja. Zredaguję ogłoszenie i prześlę je pani do przejrzania. Następnie każę je umieścić we wszystkich poważniejszych piśmie krajowych i zagranicznych i wyłożę na nie tymczasem potrzebną kwotę. Niech się pani o nic nie troszczy...

Spojrzała na niego nieśmiało, lecz z wielką wdzięcznością.

—Nasz dług wobec pana zwiększa się wciąż, mimo to przejmujemy tę propozycję. Prawda, Janku?

—Naturalnie, Ewo-Mario! Spodziewam się, że wydusisz później te pieniądze z Mertensa i zapłacisz panu Berndowi dług — mam na myśli tylko dług pieniężny.

—Mertens nie może mi odmówić, skoro pieniądze zostały już wydane. Gdybym go przedtem prosiła o pieniądze na ten cel, odmówiłby mi na pewno. Mogę przynajmniej swobodnie dysponować moją częścią schedy po ojcu, wiesz przecież, że dziadek zarządzał dla nas tym spadkiem. Przykro mi tylko, że wszystko przechodzi przez ręce wuja Artura. A więc, jeżeli pan chce nam dopomóc, panie inżynierze, to chętnie zgodzimy się na to.

—Niech pani całkowicie rozporządza moją osobą.

—Jest pan naprawdę wiernym, oddanym przyjacielem, jesteśmy panu bardzo wdzięczni.

—Stawiam jednak jeden warunek, proszę pani.

—Jaki?

—Pan Mertens nie powinien w żadnym razie wiedzieć, że to ja pomogłem państwu w tej sprawie. Chodzi o to, by nie wiedział! że jestem po stronie Janka. Mam ku temu ważne powody.

—Rozumiem panie inżynierze. Pójdę w porze obiadowej do willi Melanii i pokażę ciotce i wujowi ten artykuł. Postaram się skłonić wuja, aby umieścił ogłoszenie w pismach. Jeżeli się nie zgodzi, wówczas dam panu znać, a pan załatwi nam to wszystko. Ach, jakie to byłoby piękne, gdyby wuj Ludwik żył i powrócił! Prawda, Janku?

—Zbyt piękne, aby się mogło stać prawdą. Takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach.

Ewa-Maria pożegnała się. Pocałowała Janka, co wzbudziło szaloną zazdrość w Ralfie, a młodemu inżynierowi podała rękę.

—Raz jeszcze całym sercem dziękuję panu. W każdym razie zawiadomię pana, co postanowiliśmy w tej sprawie.

—Niech pani nie dziękuje! To ja dziękuję za dowód tak wielkiego zaufania. Jestem taki szczęśliwy — szepnął Bernd.

Zarumieniła się zdradziecko, a Janek raz jeszcze stwierdził z przyjemnością, że jego siostra i inżynier Bernd na pewno nie są sobie obojętni.

* *

*

Ewa-Maria udała się natychmiast do willi Melanii. Ciotka przyjęła ją bardzo serdecznie. Następnie napomknęła jej o tym, że Janek prowadzi się bardzo niesolidnie. Dziewczyna chcąc uspokoić ciotkę, powiedziała:

— Pomówię w tej sprawie z Jankiem, droga ciotciu.

— Na miłość boską, nie róbcie z Janka baby! Młody człowiek powinien używać życia! — wtrąciła Jo, zapalając papierosa.

— Jestem pewna, że Janek nie robi nic złego, chociaż jest trochę lekkomyślny — rzekła Ewa-Maria. — Przyszłam dziś jednak do cioci w innej sprawie. Przeczytałam w pewnej gazecie berlińskiej artykuł, który na pewno ucieszy ciotkę, tak jak ucieszył mnie i Janka.

Wyjęła z torebki gazetę i podała ją ciotce.

— Co mi przynosisz, Ewo-Mario? — spytała pani Melania.

— Rehabilitację twego brata. Wuj Ludwik był niewinny, to nie on zabił katem tego młodego człowieka. Za cudze winy dziadek stracił swego jedyne go syna. Pani Melania zbladła i zaczęła czytać artykuł. Łzy polały się z jej oczu.

— Mój biedny brat! Mój biedny ojciec — zawołała.

— Mamo, nie przejmuj się tak!

— Przecież to okropne, Jo!

— Twój brat został zrehabilitowany, to przecież nie jest wcale okropne!

—Tak, ale pomyśl tylko, że życie mego brata zostało zniszczone dlatego, że musiał uciekać, chociaż był bez winy. A jak bardzo cierpiał nad tym mój biedny ojciec! Gdyby przynajmniej dożył tego dnia...

—I ja myślałam o tym, droga ciociu! Przypominają mi się wciąż ostatnie słowa dziadka: „Ludwik żyje”. Czasami wydaje mi się to możliwe.

—Wyobraź sobie moje dziecko, że od czasu śmierci mego ojca, ja myślę o tym samym. Jestem bardzo niespokojna.

—Nie wmawiajcie sobie takich fantastycznych rzeczy. Żeby to ojciec usłyszał! Byłby zły i miałby rację!

—Spodziewam się jednak, ciociu, że pomożesz mi nakłonić wuja, aby teraz przynajmniej umieścił w gazetach to ogłoszenie, stosownie do woli dziadka. Może wuj Ludwik żyje, a chce uchodzić za zmarłego, bo czuje się winny zabójstwa. Należałoby mu zdjąć ten ciężar z serca. Czy pomożesz mi ciociu?

—To ci się nie uda, Ewo-Mario, ojciec mówi, że takie ogłoszenie jest bardzo drogie. Ma rację, szkoda pieniędzy na takie głupstwa. A swoją drogą dziwna z ciebie dziewczyna! Udajesz, że kochasz twego brata, a chcesz zrobić wszystko, aby go pozbawić spadku!

—Janek pierwszy powitałby z radością wuja Ludwika.

—Ja w każdym razie nie ruszę palcem w tej sprawie, bo wiem z góry, że jest beznadziejna — powiedziała Jo, wzruszając ramionami.

—Ale ty pomożesz mi, ciociu?

—Nie wiem, Ewo-Mario... Wuj Artur na pewno będzie się gniewać, jest praktycznym kupcem i...

Nie zdążyła dokończyć, bo w tej chwili wszedł do pokoju Artur Mertens. Żona rzuciła mu się na szyję i opowiedziała pośpiesznie o rehabilitacji brata. Wysłuchał jej z lekkim zniecierpliwieniem, po czym z obłudną uprzejmością powitał Ewę-Marię. Przeczytał artykuł w gazecie, a skończywszy, powiedział spokojnie:

— No, to bardzo ładnie, że okazało się, iż twój brat nie był zabójcą. Możemy się cieszyć, że na nazwisku nie ciąży już piętno niesławy. Nie zmienia to jednak faktu, że twój brat nie żyje.

Ewę-Marię zirytował ton Mertensa. Opanowała się jednak i poprosiła wuja, aby umieścił ogłoszenie w pismach. Mertens odmówił zdecydowanie.

—Ani mi się śni, moja droga! Byłbym złym kupcem, gdybym się zgodził na to. Przecież to może kosztować około dziesięciu tysięcy marek! Zarządzam waszym majątkiem i nie pozwolę go trwonić na głupstwa.

—Przecież dziadek tego chciał, a wszystko co mamy, odziedziczyliśmy po dziadku — rzekła Ewa-Maria.

—Daj mi wreszcie spokój, nie zgodzę się i basta! Powiedziałem to już dziś twemu milutkiemu braciszкови!

—Czemu wyrażasz się w taki sposób o Janku? Przecież on będzie w przyszłości szefem w fabryce, o ile wujek Ludwik nie powróci.

—Jest hultajem, niegodnym tego stanowiska! Włóczy się w okropnym towarzystwie, chociaż udaje ostentacyjnie wielki żal po stracie dziadka! — zawołał Mertens z nienawiścią.

—Gdy twój syn Egon robił to samo, mawiałeś zawsze, że młodość musi się wyszumieć. Czemu więc masz za złe Jankowi to, co wybaczałeś Egonowi?

—Egon robił głupstwa, lecz nie pozwalał sobie na takie wybryki jak twój brat. Powinno mu się po prostu dać w skórę.

—Nie radzę ci tego wuju — zawołała Ewa-Maria z błyszczącymi oczyma.

—Jesteś może zbyt surowy dla Janka — wmieszała się teraz pani Melania.

Mertens pojął, że posunął się za daleko. Uśmiechnął się słodko i powiedział tonem, który miał brzmieć żartobliwie:

—Teraz jeszcze tylko Jo powinna stanąć w obronie Janka.

—Uczynię to na pewno, ojcze! Chłopak powinien się bawić, żeby się stać prawdziwym mężczyzną, a nie fajtlapą.

Ewa-Maria uspokoiła się trochę i spytała raz jeszcze:

—Więc jak będzie z tym ogłoszeniem, wuju?

—Nie dam go i kwita! Jeżeli potrzeba ci pieniędzy na co innego, na przykład na ładną sukienkę, to chętnie ci służyć.

—Za moje suknie płacę sama — odparła z dumą Ewa-Maria.

—Ach prawda, jesteś pełnoletnia. Pamiętaj jednak, że wszystkie większe wydatki musisz omawiać ze mną. Takie było życzenie dziadka.

—Nie sprawiam sobie tak kosztownych sukien. A teraz nie będą wam przeszkadzać, do widzenia!

I Ewa-Maria oddaliła się prędko.

W domu opowiedziała Jankowi treść swojej rozmowy z ciotką i wujem.

— A więc nie udało się! Domyślałem się tego! Poprosimy więc inżyniera Bernda, aby załatwił nam tę sprawę — powiedział Janek. — A teraz chodźmy do stołu, bo jestem głodny jak wilk.

W jadalni podczas obiadu rozmawiali bardzo ostrożnie, ze względu na młodego służącego Fryderyka. Stary Herman powiedział rodzeństwu, żeby się wystrzegali Fryderyka, który spełniał szpiegowskie usługi dla pana Mertensa. Herman zauważył, że Fryderyk wciąż podsłuchuje i że zapisuje sobie każde słowo w notatniku. Widział go także raz w parku z dyrektorem Mertensem i spostrzegł, że czyta mu swoje zapiski.

Kamerdyner Herman nigdy nie miał dobrego zdania o dyrektorze Mertensie. Służył swemu panu czterdzieści lat i widział w jak obłudny sposób Mertens starał się pozyskać zaufanie teścia. Natomiast był ogromnie przywiązany do rodzeństwa. Ponieważ dzięki swemu stanowisku mógł sobie pozwolić niekiedy na poufałe słówko, przeto ostrzegł raz rodzeństwo:

— Fryderyk jest przekupiony przez dyrektora Mertensa. Trzeba się go wystrzegać, nie powinien nic widzieć ani słyszeć, co miałyby jakieś znaczenie dla pana Mertensa.

Brat i siostra stosowali się ściśle do tej wskazówki.

Znowu minęło kilka tygodni. Mertensowi znudziło się w końcu obserwować wciąż nocne eskapady Janka. Nie śledził go sam, lecz posyłał do kryjówki w zarosłach Fryderyka. Wypytywał poza tym Ralfa Bernda i był bardzo zadowolony,

że sprawozdania inżyniera zgadzają się z tym, co donosił mu Fryderyk. Żałował tylko, że niesolidne życie wpływa tak mało na zdrowie Janka.

Mertens coraz częściej zapraszał Ralfa do siebie. Pewnej niedzieli młody inżynier ku swemu utrapieniu został znowu zaproszony na obiad. Po obiedzie pan domu przeszedł z gościem do swego gabinetu. Ralf powiedział tym razem:

—Zdaje się, że pański siostrzeniec przestał mi ufać. Ostatnio pojechał kilka razy do miasta beze mnie. Szofer powiedział mi o tym. Jak pan sądzi, panie dyrektorze, czy nie należałoby przemówić mu do rozsądku? Takie wyprawy mogą przecież stać się niebezpieczne?

—Nie, nie, proszę mu nie przeszkadzać, panie inżynierze.

—Ale przecież pan Janek mówił mi, że pan dyrektor robi mu wyrzuty z tego powodu?

—Och, robię to tylko dlatego, żeby wiedział, że mnie nie można zamydląć oczu. A poza tym zakazane owoce są smaczniejsze.

—Więc pan to robi dlatego, aby te zakazane wycieczki wydawały mu się jeszcze miłsze?

—Ma się rozumieć! Więc pan powiada, że ostatnio przestał panu ufać? Ale szofer opowiada panu zawsze, gdy Janek sam udaje się do miasta?

Przy tych słowach w oczach Mertensa pojawił się niesamowity błysk, który dał Ralfowi wiele do myślenia.

—Tak, wiem o tym zawsze — odpowiedział Mertensowi.

—Niech pan zawsze zawiadamia mnie o tym, gdy Janek będzie miał zamiar pojechać bez pana, to mnie bardzo interesuje.

—Dobrze, panie dyrektorze — odparł Ralf na pozór spokojnie, lecz w duchu powiedział: — Do diabła, zdaje się, że ten łotr znowu knuje coś złego, trzeba się mieć na baczności.

I postanowił pilnie uważać na Janka.

Nazajutrz Ralf Bernd powtórzył tę rozmowę Jankowi. Chłopiec zbladł.

— To bardzo nieprzyjemne uczucie, gdy się wie, że ktoś czyha na nasze życie. Gdy patrzę tylko na Mertensa, ogarnia mnie zawsze strach. Naturalnie, że będę się miał na baczności. A teraz muszę panu podziękować w imieniu własnym i siostry. Dziś przeczytaliśmy ogłoszenie w jednej z berlińskich gazet.

— Była nieco skomplikowana sprawa z tym ogłoszeniem, chodziło mi bowiem o to, by Mertens nie wiedział, że przyłożyłem do tego rękę. Napisałem więc do mego przyjaciela, który jest adwokatem i mieszka we Frankfurcie, aby on się tym zajął. Jeżeli Mertens zapyta w biurze ogłoszeń, kto kazał umieścić w pismach zawiadomienie, otrzyma odpowiedź, że uczynił to doktor Corell. Gdyby Mertens zwrócił się z tym pytaniem do pana lub do siostry, to należy mu odpowiedzieć, że zwróciliście się państwo do adwokata Corella. Mój przyjaciel wie o wszystkim.

— Dziękuję panu bardzo. Moja siostra ureguluje ten dług w tych dniach.

— Dobrze, panie Janku. Nie była to zresztą tak droga przyjemność, jak sądziłem. Siostra pańska będzie mogła pieniądze przekazać wprost do adwokata Corella. Oto jego rachunek.

Janek schował rachunek do kieszeni.

— Musi pan także mojej siostrze dać okazję do podziękowania panu. Czy nie mógłby pan dziś wieczorem zjeść z nami kolacji? Bylibyśmy w ogóle bardzo radowi, gdyby pan nas odwiedzał od czasu do czasu.

— Obawiam się, że dyrektor Mertens dowie się o tym, iż byłem u państwa. Fryderyk doniesie mu o tym.

— To prawda i z tego też powodu nigdy nie zapraszałem pana. Mógłby pan jednak powiedzieć Mertensowi, że pan odwiedzi nas w jego własnym interesie i że pan ma zamiar bywać u nas. Nie chciałbym bowiem poprzestać na tej jednej wizycie.

— Doskonale! Powiem, że pan mnie zaprosił i zapytam, czy mam przyjąć to zaproszenie. Jemu przecież zależy na tym, żeby pan darzył mnie zaufaniem. Powiedziałem mu, że pan zaczyna mnie podejrzewać. Uczyniłem to umyślnie, aby przestał panu robić wyrzuty.

—Aha i dlatego powiedział mi dziś, że właściciel pewnego lokalu opowiadał mu o moich skandalicznych sprawkach.

—To dobrze. Mertens pomyśli, że pan się przekonał, że to nie ja opowiadam o pańskim hulaszczym żywocie. Dlatego też pan zaprosił mnie do siebie.

Mertens zgodził się rzeczywiście na to, by Ralf Bernd przyjął zaproszenie.

— Niech pan idzie — powiedział — zależy mi na tym, by pan wywierał wpływ na mego siostrzeńca. Pragnę przecież tylko jego dobra! Wyobrażam sobie już dziś, jak będzie wyglądała fabryka, gdy on stanie na jej czele.

— A czy nie można by tego zmienić, panie dyrektorze?—spytał Ralf.

— Trzeba mieć cierpliwość! — powiedział Mertens słodko, lecz oczy jego zapłonęły dzikim blaskiem.

Słowa te stały się jakby sygnałem ostrzegawczym dla Ralfa. Ogarnął go jakiś dziwny niepokój. Powrócił do swego biura, pogrążony w głębokiej zadumie. Janka tu nie było. Ralf z okien swego gabinetu obserwował portal gmachu dyrekcji, gdzie znajdowało się biuro Mertensa. Ralf usiadł w ten sposób, aby móc go śledzić. Dziś był szczególnie zaniepokojony, czuł bowiem, że Jankowi grozi niebezpieczeństwo.

Janek pracował dziś w wielkiej hali maszyn, a Ralf wiedział, że to bardzo niebezpieczny teren. Uspokoił się dopiero, gdy Janek powrócił do jego biura. Powtórzył mu swoją rozmowę z Mertensem, nie wspominając jednak o swoich obawach. Nie chciał denerwować Janka.

* *

*

Po obiedzie Janek musiał raz jeszcze pójść do hali maszyn, aby wykonać jakieś polecenie Ralfa Bernda. Wykończył właśnie pewien rysunek, a Ralf pochwalił go za dokładną i czystą robotę. Janek zarumienił się z zakłopotania, po

czym szybko pożegnał się z Ralfem. Wprost z hali maszyn miał powrócić do domu.

—Do widzenia, panie inżynierze, zobaczymy się wieczorem.

—Do widzenia, panie Janku, przyjdę punktualnie.

Ralf stał chwilę przy-oknie i śledził wzrokiem smukłą, silną postać Janka. Następnie pochylił się znowu nad deską kreślarską siedząc w ten sposób, by móc obserwować portal dyrekcji. I nagle drgnął niespokojnie, ujrzał bowiem Mertensa wychodzącego z gmachu dyrekcji.

Mertens zobaczył przez okno Janka, zmierzającego do hali maszyn. Zbudziły się w nim znowu zbrodnicze instynkty. Powiedział wprawdzie, że „trzeba mieć cierpliwość”, lecz miał jej mniej, niż kiedykolwiek. Wszystko popychało go do tego, by zniszczyć młode życie Janka i osiągnąć swój cel. Wszedł ze swego biura, gnany jakby przez jakąś niewidzialną potęgę, po czym podążył za Jankiem.

Skradał się za nim jak drapieżne zwierzę. Ralf zauważył zaniepokojony, że Mertens zmierza do hali maszyn. Wreszcie znikł w głębi budynku.

Ralf poczuł, że i jego jakaś niewidzialna moc zmusza, aby podążył za Mertensem. Wybiegł z biura i przybył do hali maszyn o kilka sekund później od Mertensa. W hali panował straszliwy zgiełk i hałas.

Ralf zaczął się niespokojnie rozglądać wokoło i spostrzegł wreszcie Janka, który stał przed jedną z wielkich maszyn. Przyglądał się obracającym się kołom, trybom i tarczom. Nie widział i nie słyszał nikogo.

Artur Mertens zaraz po wejściu do maszynowni spostrzegł swego siostrzeńca. Oczy jego zabłyśły jak u drapieżnego zwierzęcia. Teraz był już tak bliski celu swoich zbrodniczych pragnień. Mógł nieznacznie pchnąć Janka — nikogo przecież nie ma w pobliżu — a wtedy chłopiec dostanie się między tryby i zostanie zmiażdżony! Będzie to po prostu wypadek! Nieszczęśliwy wypadek, spowodowany własną nieostrożnością! Nadarzała się znowu sposobność, jak wtedy — przy kafarze. Nie będzie miał żadnego świadka swego czynu! A chłopiec nic nie widzi i nie słyszy!

W tej chwili Ralf Bernd spostrzegł Mertensa, który skradał się za Jankiem. Teraz stanął już za nim, wyciągnął rękę... Oczy jego świeciły żądzą morderstwa... Za chwilę pchnie swoją ofiarę. Janek zginie straszliwą śmiercią...

Serce zamarło na chwilę w piersi Ralfa. Widząc, że Mertens wyciąga ramię, pobiegł do niego i z całej siły pociągnął go ku sobie, tak że Mertens musiał się cofnąć. Dyrektor zbladł śmiertelnie, zachwiał się na nogach i byłby jeszcze w ostatniej chwili pchnął siostrzeńca, gdyby Ralf drugą ręką nie pociągnął także i Janka.

Otoczył chłopca mocno ramieniem i przycisnął go do siebie, jakby chciał się przekonać, że naprawdę żyje i że nic mu się nie stało.

Janek obejrzał się przestraszony, ujrzał bladą twarz Ralfa, a za nim pobladała twarz wuja, który opierał się o jakiś słup. Myśli Ralfa Bernda pracowały gorączkowo. Czy posiada teraz dostateczne dowody przeciw Mertensowi? Czy może go oskarżyć o usiłowanie morderstwa? Nie! Mertens mógł przecież powiedzieć, że wyciągnął rękę, aby uratować Janka. Nie można mu dowieść, że chciał popełnić zbrodnię. Jeżeli powie mu teraz, co myśli o nim, wówczas Mertens gotów mu wymówić posadę, a Janek zostanie wtedy sam, bezbronny, bez opieki. Toteż Ralf, siląc się na spokój, powiedział:

— Przepraszam, panie dyrektorze, że pozwoliłem sobie odciągnąć pana od maszyny. Jakiś robotnik na dole zwrócił mi uwagę na niebezpieczną sytuację pana i pana Janka.

Mertens przeląkł się jeszcze bardziej. Jakiś robotnik go widział? Nie spodziewał się tego. Rzecz oczywista, że Ralf zmyślił naprędce tę historię z robotnikiem, aby usprawiedliwić swoje przybycie.

Ralf pchnął teraz Janka w kierunku schodów. Janek pojął, że znowu był o włos od śmierci. Spojrzenie rzucone na bladą wykrzywioną twarz wuja zdradziło mu wszystko. Usłuchał teraz Ralfa i zszedł na dół. Wtedy Ralf wziął troskliwie Mertensa pod rękę i sprowadził go ostrożnie ze schodów. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, zwrócił się do niego:

— Chwała Bogu, że się panu nic nie stało, panie dyrektorze! Właśnie wchodziłem do hali maszyn, gdy jakiś robotnik wskazał mi w milczeniu pana Janka, zapewne, aby zwrócić uwagę na to niebezpieczne miejsce, gdzie stał. Wchodząc,

ujrzałem i pana, panie dyrektorze, i doznałem wrażenia, że pan się ślania. Przeląknęłam się, że może pan dostać zawrotu głowy, wpaść między tryby i pociągnąć za sobą pana Janka. Dlatego pobiegłem za panem i odciągnąłem pana od maszyny. Zdaje się, że należałoby w tym miejscu zainstalować kratę ochronną.

Mertens opanował się. Obrzucił badawczym spojrzeniem twarz Ralfa, lecz wyczytał w niej tylko troskę i zaniepokojenie. Doszedł do wniosku, że Ralf uchronił go przed popełnieniem głupstwa, którego nie mógłby naprawić.

— Tak, mój siostrzeniec jest bardzo nieostrożny. Pochyliłem się nad nim, żeby go ostrzec przed niebezpieczeństwem... Byłem bardzo zdenerwowany, więc może naprawdę ślaniałem się trochę... Ja sam nie spostrzegłem tego... Więc to jakiś robotnik zwrócił panu uwagę?

— Tak, robotnik obserwował panów i oddalił się dopiero wtedy, gdy zobaczył, że ja wchodzę na górę.

Teraz dopiero Mertens odetchnął z ulgą.

— Dziękuję panu za troskliwość, panie inżynierze.

— Nie ma za co, panie dyrektorze. Cieszę się, że nie stało się nic złego.

— A to wszystko twoja wina, Janku! Jak mogłeś w tak niebezpiecznym miejscu pochylać się nad maszyną w ruchu? Wiecznie się ma z tobą kłopoty!

Gdy Mertens wypowiedział te słowa, Janka ogarnęła taka wściekłość, że byłby najchętniej rzucił się na wuja i zdusił go własnymi rękami. Aby nie wybuchnąć gniewem odwrócił się szybko i odszedł.

— Widzi pan, panie inżynierze, taki smarkacz nie podziękuje nawet, żeśmy go odciągnęli z tego niebezpiecznego miejsca. A ja się tak przeląknęłam, że mi się aż słabo zrobiło. Chodźmy do kantyny, napijemy się koniaku!

Obydwaj panowie udali się do kantyny. Każdy wypił po dużym kieliszku koniaku. Następnie pożegnali się. Mertens udał się do swego biura, a Ralf do swego gabinetu.

Zastał tam Janka, pochylonego nad deską kreślarską. Chłopiec wstał i uściskał mocno rękę Ralfa.

—Wiem, że zawdzięczam panu życie, panie inżynierze, choć nie rozumiem tej całej sprawy... — wykrztusił ochryple, drżąc cały z podniecenia.

—Chwała Bogu, panie Janku, że pan jest zdrowy i cały. Obiecał mi pan jednak wielką ostrożność, a czy to było ostrożne, że pan stanął w tak niebezpiecznym miejscu?

—Sądziłem, że jestem sam. Nie wiedziałem, że Mertens poszedł za mną.

—Zobaczyłem na szczęście, że podąża za panem do hali maszyn. Wtedy pośpieszyłem za nim... Człowiek miewa niekiedy taką intuicję.

— A co się stało potem?

—Ujrzałem Mertensa, który stał za panem. Przyszedłem właśnie w tej chwili, gdy wyciągał ramię, aby... Nie chcę tego wypowiedzieć...

—Drogi panie inżynierze, niechże się pan uspokoi! Nigdy jeszcze nie widziałem pana w takim stanie!

—Nic dziwnego, przeżyłem straszne chwile, panie Janku. Mertens powiedział mi naturalnie, że chciał pana powstrzymać i dlatego wyciągnął rękę.

— Powstrzymać? Przecież pan sam nie wierzy temu, panie inżynierze.

— Niestety, nie mam jednak dowodów, że było inaczej, panie Janku. Nie mogłem czekać tak długo, aż... aż popchnie pana do zguby.

Janek rzucił się nagle w objęcia Ralfa i przytulił się do niego. Młody inżynier pogłaskał z uśmiechem jego jasną czuprynę.

—Spokojnie, spokojnie panie Janku! Przecież wszystko skończyło się dobrze!

—Dzięki panu zostałem ocalony! Ale proszę mnie już nigdy nie nazywać panem Jankiem, lecz mówić mi po imieniu, przynajmniej gdy będziemy sami. Zawdzięczam panu życie, a poza tym jesteśmy przecież przyjaciółmi.

—Tak, na całe życie, mój drogi chłopcze. Ale i ty przestań mnie wobec tego nazywać panem inżynierem. Nazywam się po prostu Ralf.

—Uważam to za wielki zaszczyt, kochany Ralfie. Od dawna już chciałem cię prosić o to, lecz brakło mi odwagi.

—Ja także pragnąłem tego, lecz nie śmiałem, zwrócić się z taką propozycją do przyszłego szefa rodenbergowskich fabryk. Dziś jednak zdobyłem sobie prawo, poczułem jak jesteś mi bliski, gdy ujrzałem cię w niebezpieczeństwie. Po dzisiejszym zajściu jednak raz jeszcze proszę cię, Janku: bądź ostrożny! I nie wspominaj o tym twojej siostrze.

—Dobrze, nie powiem jej nic. Muszę jej tylko powiedzieć, że się tykamy. Ewa-Maria ucieszy się z tego.

Ralf odetchnął z ulgą. Nagle jednak drgnął, gdyż zobaczył przez okno Mertensa.

— Mertens nadchodzi, Janku. Może przyjdzie do nas. Zabierz się do roboty.

Janek usłuchał Ralfa. Obydwaj udawali, że są zajęci swoją sprawą. W chwilę potem na schodach dały się słyszeć ciche kroki. Potem ktoś otworzył drzwi. Ralf i Janek podnieśli głowy i spojrzeli ze zdziwieniem na twarz Mertensa, promieniącą słodyczą i miłością. Dyrektor podszedł do Janka i położył rękę na jego głowie:

—Ach, ty smarkaczu, dziś dopiero przekonałem się, jak bardzo jestem przywiązany do ciebie! Zrobiło mi się słabo ze strachu, gdy cię zobaczyłem pochyłego nad maszyną — powiedział słodkim głosem.

—Zbyteczna troskliwość, nie cierpię na zawroty głowy. Na pewno bym nie upadł — odparł sucho Janek.

—Młódzież nigdy nie wierzy w niebezpieczeństwo, mój drogi Janku. Czemu to odszedłeś przedtem, zapominając podziękować panu Berndowi?

—Powetowałem to później — rzekł Janek.

—A w przyszłości bądź ostrożniejszy! — powiedział czule wuj.

—Zdaje się, że Bóg czuwa nade mną. Już wtedy z tym kafarem groziło mi niebezpieczeństwo. Zdaje mi się, że mam jakiegoś Anioła-Stróża — zauważył Janek beztrósco.

—Nie bądź tak frywolny, podziękuj lepiej Bogu za ocalenie — rzekł Mertens. Pogłaskał raz jeszcze włosy Janka, następnie pożegnał się z Ralfem i wyszedł.

—Wiesz, Janku, gdy Mertens jest taki słodki, wówczas wydaje mi się po-
dwójnie niebezpieczny — odezwał się Janek.

— Mnie również. A pozdrów ode mnie twoją siostrę, Janku.
Pożegnali się mocnym uściskiem dłoni.

* *

*

Ewa-Maria udała się osobiście do jadalni, żeby się przekonać czy okrągły
stół, który nakryto dla trzech osób, wyglądał dosyć ładnie. Pragnęła, aby Ralf
Bernd poczuł, że pragnie się go uczyć jako szczególnie miłego gościa.

Ewa-Maria w przeciwieństwie do swej kuzynki Jolanty była bardzo skryta.
Nawet sobie samej nie chciała się przyznać, że kocha Ralfa Bernda. Mimo to w
oczach jej pojawił się wyraz tęsknego rozmarzenia, gdy myślała o nim, spogląda-
jąc co chwila na zegarek.

Weszła do sąsiedniego pokoju i przejrzała się w lustrze. Miała na sobie czarną
suknię z miękkiej, cienkiej tkaniny na czarnym jedwabnym spodzie, przybraną
koronkami Chantilly. Jej jasne włosy wydawały się jeszcze bardziej złote, cera
jeszcze delikatniejsza i bardziej przejrzysta na tle tej czerni. Była z siebie zado-
wolona, a ponieważ czuła, że ładnie wygląda, więc zarumieniła się lekko.

Wkrótce nadszedł Janek. Ucałował siostrę, która natychmiast spostrzegła, że
Janek jest blady i wzburzony. Spojrzała na niego zatroskana:

— Co ci jest Janku? Czy stało ci się coś złego?

— Nie, Ewo-Mario! Dzięki Bogu i pomocy Ralfa Bernda stoję przed tobą
zdrowszy i cały! — wyrwało się niebacznie Jankowi.

— Janku!

— Oj, teraz mi się to wyrwało, a miałem przecież nie wspominać o tym Tak,
moja droga, Ralf uratował mi życie, powinnaś mu być bardzo wdzięczna. Będzie
na mnie bardzo zły, bo prosił mnie, bym ciebie oszczędzał, lecz naprawdę żyję

dzięki niemu. Jest moim Aniołem Stróżem. Uchronił mnie dziś przed niebezpiecznym upadkiem w hali maszyn.

— Jak to było? Opowiedz! — rzekła drżącym głosem. Janek udawał, że nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.

— Jestem wielkim głuptasem, że wspomniałem o tym. Więc mówię ci, że o mały włos nie upadłem, ale Ralf przytrzymał mnie. Zawarliśmy później przyjaźń na całe życie i mówimy sobie teraz po imieniu. Powinnaś być dla niego bardzo dobra, bo zasługuje na to.

— A czy naprawdę nie zrobiłeś sobie nic złego? Janek fiknął koziołka na dywanie.

— Widzisz, że jestem zdrowiusieńki. Jeżeli nie wierzysz, to wejdę zaraz na szafę, żeby cię przekonać.

Oboje zaczęli się śmiać i zrobiło im się lżej na duszy.

— A teraz idź się przebrać i uczesać, Janku, żebyś przy stole wyglądał przyzwoicie.

— Pan Berd jest zawsze ubrany bez zarzutu.

— Ach, jemu jest łatwo porządnie wyglądać, on jest taki przystojny i eleganci. Powiedz mi, czy ci się Ralf podoba?

— Naturalnie — odparła Ewa-Maria z rumieńcem — ale i ty mógłbyś być przystojnym chłopcem, gdybyś bardziej dbał o swoją powierzchowność.

— To nastąpi w przyszłości, moja droga, gdy już w moim życiu zaczną odgrywać pewną rolę kobiety. Jak sądzisz, czy będę miał szczęście do kobiet?

— Miej tylko szczęście u jednej, to ważniejsze niż podobać się wielu. Ale teraz pośpiesz się, mój kochany.

— Janek jednak nie śpieszył się wcale, toteż gdy pół godziny później zjawił się Ralf — Ewa-Maria przyjęła go sama.

— Przepraszam, panie inżynierze, Janek nie jest jeszcze gotowy. Wspominał mi, że pan ocalił go przed poważnym niebezpieczeństwem.

— Jakże mam podziękować panu! — powiedziała głosem drżącym ze wzruszenia.

—Czemu Janek mówił z panią o tym? Jak mógł przestraszyć panią? Umówiliśmy się, że oszczędzi pani tego niepokoju.

—Nie mówił mi o co chodzi, powiedział tylko, że pan uratował mu życie. Janek nie przesadza w takich sprawach, musiało to naprawdę być coś poważnego. O jakże bym chciała odwdzińczyć się panu!

Obrzucił ją spojrzeniem tak tkliwym, że zadrżała.

— Och, gdyby pani wiedziała, jaki jestem szczęśliwy, mogąc pani służyć — szepnął głosem stłumionym z nadmiaru uczucia.

Spojrzała mu w oczy. Nie byłaby chyba kobietą, gdyby nie wyczuła w tej chwili, jak droga jest sercu Ralfa. A choć zazwyczaj była skryta i powściągliwa, to jednak tym razem oczy jej zdradziły Ralfowi, co dziewczyna odczuwa dla niego. Głęboko wzruszony przycisnął jej rękę do ust. Po raz pierwszy nabrał radostnej pewności, że Ewa-Maria go kocha.

Wkrótce nadszedł Janek, a Ewa-Maria poprosiła panów do stołu. Po kolacji wszyscy troje przeszli do małego saloniku Ewy-Marii. Ralf był po raz pierwszy w tym pokoju. Herman podał tutaj kawę. Rozmawiano z wielkim ożywieniem. Mówiono o Jerzym Rodenbergu, o jego wielkiej dobroci i szlachetnej prostocie, Janek opowiedział, jak bardzo dziadek kochał swego zaginionego syna i jak wierzył do ostatniej chwili, że Ludwik żyje. Później przyniósł z sąsiedniego pokoju fotografię Ludwika i pokazał ją Ralfowi, który zawołał ze zdziwieniem:

—Jakiś ty do niego podobny, Janku! W jego wieku, będziesz wyglądał tak samo.

—Dziadek był również tego zdania. Jest to ostatnia fotografia wuja Ludwika, miał wtedy dwadzieścia osiem lat.

—Zdaje się, że to bardzo dobra fotografia. Widać nawet, że miał pod prawym okiem bliznę.

—Tak, podobno to dobre zdjęcie.

—Ile czasu upłynęło właściwie od zniknięcia, czy też od śmierci wuja?

—Okolo piętnastu lat. Gdyby żył, miałby teraz czterdzieści kilka lat.

—Nie dziwię się, że twój dziadek tak bardzo kochał swego syna. Ma tak szlachetną twarz i sprawia wrażenie człowieka pełnego radości życia.

Zapewne jesteś do niego podobny także z charakteru, nie tylko z powierzchowności.

—Dziadek utrzymywał to bardzo często. Czy uważasz, że było to dziwactwo ze strony dziadka, że nie chciał uwierzyć w śmierć swego syna?

—Bynajmniej.

—A Mertens zawsze mówi, że to dziwactwo i słabostka!

—Proszę cię nie wymieniaj tego nazwiska w tym pokoju — rzekł Ralf ze zmarszczonym czołem.

—Masz rację! — odparł Janek, po czym odniósł fotografię do pokoju dziadka. Ewa-Maria i Ralf pozostali chwilę sami.

—Czy ten pokój podoba się panu? — spytała dziewczyna.

—Ogromnie! Czuje się tu ducha osoby, która go zamieszkuje — odparł Ralf.

—Dziadek pozwolił mi w dniu, gdy skończyłam dwadzieścia lat, urządzić ten pokój według mego własnego gustu. Byłam mu za to bardzo wdzięczna. Od tego czasu minęło już przeszło dwa lata...

—Jak to dobrze, że przynajmniej pani była już pełnoletnia, gdy dziadek umarł.

—Tak, chwała Bogu. Nie jestem w zupełnej zależności od mego wuja Mertensa. Zupełnie niezależna będę jednak dopiero wtedy, gdy wyjdę za mąż.

Spojrzeni sobie głęboko w oczy, a Ewa-Maria zarumieniła się. Przestali rozmawiać, lecz milczenie ich było bardziej wymowne od słów. Wreszcie nadszedł Janek.

—Mogłabyś nam zaśpiewać jakąś piosenkę, Ewo-Mario! — zwrócił się do siostry. Ralf przyłączył się do tej prośby.

—Czy zechcesz mi akompaniować, Janku? — spytała Ewa-Maria.

—Bardzo chętnie.

Janek zagrał przygrywkę. Ralf zdziwił się słysząc jego miękkie, niezwykle muzyczne uderzenie. Głos Ewy-Marii nie był silny, lecz niezwykle czysty i melodyjny. Tępy płynęły z jej ust jak perełki. Wybrała przypadkiem pieśń jego ulubionego kompozytora, a mianowicie „Pieśń Solveigh” Griega. Ralf słuchał z zachwytem, nie spuszczać przy tym oczu z jej czarującej twarzy.

Gdy śpiew umilkł, Ralf siedział długą chwilę, nie mogąc wymówić ani słowa. Później dopiero powstał i podziękował Ewie-Marii za tę wielką rozkosz, jaką mu sprawiła swoim śpiewem.

—Pan mnie zawstydzą, panie inżynierze — szepnęła dziewczyna.

—Ach, nie potrafię pani wyrazić mojej wdzięczności za ten piękny śpiew. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby pani zechciała zaśpiewać jeszcze jedną piosenkę.

—Wobec tego, musimy spełnić życzenie naszego gościa. Chodź, Janku!

Janek podszedł znowu do fortepianu i zaczął wybierać nuty.

— Tym razem ja wybiorę ci coś odpowiedniego, Ewo-Mario. O, ta piosenka Griega nadaje się bardzo dobrze na twój głos, to musisz zaśpiewać.

Ewa-Maria spojrzała na wybrane nuty, a twarz jej spłonęła tajemniczym rumieńcem. Chciała się sprzeciwić, lecz Janek rozpoczął przygrywkę, więc nieśmiało zawtórowała:

Kocham cię, kocham jak nic na tej ziemi

Kocham cię dzisiaj i po wieczny czas...

Ralf wsparł głowę na dłoni i zakrył oczy. Pił z rozkoszą te słodkie tony, jakby były wyznaniem, jakby te słowa zostały przeznaczone wyłącznie dla niego.

Kocham cię dzisiaj i po wieczny czas...

Te słowa pragnął jej powiedzieć. Gdy Ewa-Maria skończyła i powróciła na swoje dawne miejsce, Janek zagrał jeszcze jeden utwór. Zauważył zmieszanie siostry, gdy musiała zaśpiewać tę właśnie piosenkę. Pragnął, aby zakochani mieli czas odzyskać równowagę. Janek był wprawdzie porywczy i roztrzepany, potrafił jednak być także bardzo subtelny. Po chwili przestał grać i zapytał ze śmiechem:

— No i cóż Ralfie? Jak ci się podobają nasze popisy?

— Jestem mile zaskoczony i głęboko wzruszony. O śpiewie panny Ewy-Marii nie powiem ani słowa — pani podarowała mi rozkoszną godzinę — więcej nic nie mogę powiedzieć o tym. Nie sądziłem jednak, że ty grasz tak świetnie na fortepianie. Podziwiam cię, nie przypuszczałem, że jesteś taki muzykalny.

—Widzisz, człowiek niekiedy ukrywa swoje światło pod korcem Ewa-Maria opanowała się już.

—Prawda, że Janek ma piękne uderzenia i doskonale akompaniuje?

—Tak, proszę pani, powiedziałem już, że podziwiam go.

—Nie ma się czemu dziwić, Ralfie. Uczyłem się muzyki przez trzy lata, a później sam ćwiczyłem na fortepianie, aby nie wyjść z wprawy. Gdy obydwaj z dziadkiem odkryliśmy głos Ewy-Marii, zacząłem jej akompaniować i poszło bardzo dobrze. Dziadek lubił bardzo śpiew Ewy-Marii.

—Rozumiem to — rzekł Ralf, patrząc z zachwytem na dziewczynę.

—Ewa-Maria ma cudny, słodki głosik, mógłbym słuchać całymi godzinami jej śpiewu — powiedział Janek.

—Ja także! — szepnął Ralf, lecz Ewa-Maria mimo to usłyszała te słowa i zarumieniła się. Ralf spoglądał zachwycony, jak dziewczyna mieni się na twarzy. Kobieta, która nie potrafiła się rumienić, nie była dla niego prawdziwą kobietą. Jolanta Mertens nie rumieniła się nigdy, uważała to za dowód zacofania i przestarzałych zapatrywań. Ralf jednak uważał to za brak kobiecości, gdy kobieta nie umiała się zarumienić.

Rozmawiano jeszcze godzinę, wreszcie Ralf wstał, żeby się pożegnać. Podziękował rodzeństwu serdecznie za ten wieczór.

—Powtórzmy to wkrótce, Ralfie, przecież wytłumaczyłeś Merten-sowi, że powinieneś niekiedy bywać u nas. Najlepiej będzie, gdy obierzemy sobie na stałe jakieś dwa wieczory w tygodniu. Pomówimy o tym jeszcze Ralfie.

—A czy pani zgodzi się na to? — zwrócił się Ralf do Ewy-Marii.

—Nie powinien pan pytać o to. Zawsze będę rada z pańskich odwiedzin.

Pocałował ją w rękę:

— Dziękuję pani całym sercem, a i tobie, mój drogi Janku.

Ralf wyszedł, a rodzeństwo śledziło go jeszcze przez okno. Ewa-Maria kazała, żeby zajechał jej mały samochód, który miał odwieźć go do domu. Zanim wsiadł, ukłonił się jej jeszcze raz z daleka. Później oparł się na poduszkach, z których unosiła się woń perfum Ewy-Marii. Zdawało mu się, że siedzi obok mej i słyszy jej słodki głos:

Kocham cię dzisiaj i po wieczny czas...

— Ewo-Mario! Słodka Ewo-Mario! — szeptał do siebie. Rodzeństwo po pewnej chwili odeszli od okna.

— Wieczór był naprawdę przyjemny, czy nie tak Ewo-Mario? Czy nie uważasz, że Ralf to wspaniały człowiek?

— Tak, można mu ufać bez zastrzeżeń.

— O, bez wątpienia. Czy cieszysz się, że zaczniesz u nas częściej bywać?

— Bardzo! Żeby tylko wuj Artur nie popsuł nam szyków.

— Ralf postara się jakoś umotywować swoje odwiedziny. Mam nadzieję, że ta komedia nie potrwa zbyt długo!

Po tych ostatnich słowach nastąpiło głębokie westchnienie.

Następnego ranka Artur Mertens siedział przy śniadaniu w towarzystwie żony i córki. Był w bardzo złym humorze. Dzięki ponownemu nieudanemu zamachowi na życie siostrzeńca miał bardzo przykrą noc. Pani Melania spoglądała zaniepokojona na męża. Jolanta nic sobie nie robiła ze złego humoru ojca. Spokojnie zapaliła papierosa.

—Czy musisz już wczesnym rankiem palić papierosy, Jo?

—Przecież ty także palisz, ojcze. Czy cię razi dym z mojego papierosa?

—Mnie nie, ale może mamę. Mogłaś przynajmniej spytać o pozwolenie. -

—Ty również nie pytałeś mamy o pozwolenie.

—Nie bądź taka zuchwała!

—Ależ Jo, jak możesz takim tonem mówić do ojca — strofowała pani Melania.

Jolanta wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

— Źle wychowałeś swoje dzieci, Melanio! — zwrócił się pan Artur do żony.

— Jesteś zbyt pobłażliwa! Na pewno dałaś potajemnie pieniądze Egonowi?

— Tylko trochę, Arturze!

Mertens zaczął znowu czytać gazetę. Nagle drgnął i spojrzał niedowierzająco na wielkie ogłoszenie, w którym uderzyło go nazwisko Ludwika Rodenberga. Uderzył pięścią w stół i krzyknął:

— To niesłychane! To bezczelność ignorować w ten sposób moją opinię!

— Na miłość boską, co się stało, Arturze? Pokazał jej gazetę.

—Zobacz! Oto jest ogłoszenie! Zawiadomienie o rehabilitacji Ludwika Rodenberga, zapewnienie o jego niewinności i doniesienie, że ojciec umarł, a on został spadkobiercą. Przecież wyraźnie zabroniłem tego! Kto umieścił w pismach

to ogłoszenie? Zapewne jest umieszczone, prócz tego, w wielu innych. Niesłychane! Może i ty należysz do spisku?

—Ależ nie, Arturze, wiesz przecież, że nigdy nie sprzeciwiam się twojej woli.

—To jest sprawka tych dwojga z willi Rodenberga, twego milutkiego siostrzeńca i Ewy-Marii! Uczynili to wbrew mojej woli. Zmarnowali tyle pieniędzy! Kazali to wydrukować najgrubszymi literami! To skandal, żeby tak trwonić grosz!

—Ależ uspokój się, Arturze! Ja także nie rozumiem, jak mogli zrobić coś podobnego! Nie gniewaj się jednak na nich. Pragnęli przecież uszanować wolę ojca.

—Co? Bronisz ich jeszcze?

—Nie, ale nie chcę, żebyś się denerwował, Arturze!

—Zrobili to tylko mnie na złość. No, ale ja im dam nauczkę!

I Artur Mertens wyszedł wściekły z domu. Kazał się natychmiast zawieźć do willi Rodenberga. Janka nie było już w domu, zastał tylko Ewę-Marię. Z gniewem pokazał jej gazetę.

—Co to jest takiego?

—Przecież widzisz, wuju — odparła spokojnie Ewa-Maria — to ogłoszenie, o jakie prosił dziadek w swoim testamencie, a jednocześnie wyjaśnienie, że wuj Ludwik był niewinny.

— Przecież zakazałem wam wyraźnie nie umieszczać tego ogłoszenia.

— Życzenie dziadka było dla mnie bardziej miarodajne, niż twój nakaz.

—A skąd wzięłaś pieniądze, żeby zapłacić za to ogłoszenie?

—Nie zostało jeszcze zapłacone. Właśnie chciałam cię prosić wuju o przekazanie tej należności.

—Ani mi się śni!

—Pragnę zapłacić za to z własnej kieszeni, nie możesz mi odmówić, wuju!

—Co? Chcesz sama ponieść wielkie koszty?

—Tak, proszę cię, każ przekazać pieniądze z mego konta.

—Niestety, nie można już tego cofnąć.

—Chwała Bogu, nie można, dlatego też nie uprzedziłam cię, wuju. Nie możesz mi odmówić wypłacenia pieniędzy, ponieważ spełniłam tylko wyraźne życzenie dziadka.

—Należałoby oddać cię pod kuratelę, bo trwonisz pieniądze.

—Nie masz do tego prawa, wuju. Spełniłam prośbę dziadka, a poza tym jestem zupełnie normalna i nie marnuję ani grosza.

—Dowiodłaś tym postępkim, że jest przeciwnie. Zresztą, sama zapłacisz za to. Z fabryki nie dostaniesz pieniędzy, nie będę krzywdził innych spadkobierców.

—Powiedziałam już, że zapłacę. Bądź łaskaw przekazać pieniądze adwokatowi Corellowi we Frankfurcie.

—Skąd znasz tego adwokata?

—Przeczytałam w gazecie jego ogłoszenie, a że nie miałam nikogo, kto by się zajął tą sprawą, więc zwróciłam się do niego.

—Jeszcze i koszty adwokackie! Wystarczyłoby zwrócić się wprost do biura ogłoszeń! A wszystko za moimi plecami!

—Nie pozostało mi nic innego po twojej kategorycznej odmowie. Musiałam spełnić życzenie dziadka, mniejsza o to, czy było to celowe, czy nie.

—Naturalnie, że to pomysł twego miłego braciszka. Doprawdy, że niełatwo być jego opiekunem. Powinienem mu dać porządne cięgi.

—Powiedziałam już raz wuju, że lepiej będzie zaniechać tego. Nie przebaczyłabym ci nigdy, gdybyś uderzył mego brata.

Mertens usłyszawszy te słowa, drgnął. Przypomniała mu się wczorajsza scena w hali maszyn. Jednocześnie wpadło mu na myśl, że powinien ukrywać swoją nienawiść do Janka, aby nigdy nie padło na niego podejrzenie, w razie gdyby udało mu się pozbyć w jakiś sposób chłopca. Zmusił się do uśmiechu.

— No, nie denerwuj się, człowiek czasem w gniewie mówi głupstwa. Rozumiesz sama, że nie zbiję Janka, przecież kocham tego chłopca. Dopiero wczoraj powiedziałem mu, że jestem do niego przywiązany jak do własnego syna. Wczoraj przeżyłem wielki strach z jego powodu. Stał w hali maszyn pochylony nad maszyną, jeden nieostrożny ruch wystarczyłby, aby się stało nieszczęście. Nikogo nie było w pobliżu. Na szczęście przyszedł inżynier Bernd i odciągnęliśmy Janka wspólnymi siłami...

— Co mówisz, wuju? Co się stało?

— Opowiadam ci przecież. Janek o mały włos nie wpadł między tryby maszyny. Chciałem właśnie pochwycić jego ramię, lecz wyprzedził mnie inżynier Bernd.

Ewa-Maria osłupiała z przerażenia. Czemu Ralf i Janek zataili przed nią obecność Artura Mertensa w hali maszyn? Dreszcz wstrząsnął jej postacią, gdy spoglądała na fałszywą, obłudną twarz tego człowieka. Czemu nagle wyraża się o Janku w inny sposób, niż zwykle? Czemu podkreślił, że kocha go jak syna? Czują, że bratu grozi z jego strony jakieś niebezpieczeństwo. Właśnie ta nadmierna życzliwość wydała się jej niebezpieczną.

—Więc ty także byłeś przy tym, wuju?

—Tak, czy Janek nie mówił ci o tym?

— Janek wspomniał mi tylko, że zachował się nieostrożnie i że inżynier Bernd uchronił go od wypadku. O tobie nie mówił wcale.

Mertens dowiedział się o tym z wielkim zadowoleniem. Świadczyło to, że Janek nie powziął żadnego podejrzenia, inaczej wspomniałby przecież o nim.

—Wiesz sama, jaki jest ten chłopak. Nie wspomina o tym ani słowa, a ja tak niepokoiłem się o niego. Jest zły, że czasami postępuję z nim trochę surowo, jak nakazuje mi mój obowiązek opiekuna. A przecież pragnę tylko jego dobra.

—Nie powinieneś być zbyt surowy dla Janka, przecież on nie robi nic złego.

—Och, jestem raczej zbyt pobłażliwy. Nie wiesz, co ten chłopak wyprawia. Muszę od czasu do czasu zganić jego wybryki.

— Janek na pewno nabierze z czasem rozsądku.

— Miejmy nadzieję. A teraz daj mi ten rachunek za ogłoszenie, trzeba go uregulować. Obciążę tą sumą twój rachunek, nie mogę przecież uszczuplać majątku ciotki.

— Tego nie żądam wcale, wuju! Zaraz przyniosę ten rachunek. Ewa-Maria poszła do sąsiedniego pokoju i przyniosła rachunek.

Mertens pozostał jeszcze chwilę. Po jego wyjściu Ewę-Marię ogarnął wielki niepokój. Łamała sobie głowę dlaczego Janek i Bernd nie wspomnieli jej, że Mertens był wczoraj w hali maszyn. Jankowi grozi jakieś niebezpieczeństwo, to rzecz pewna. Czemu jednak nie powiedział jej o tym?

Oczekiwała niecierpliwie powrotu Janka. Gdy Janek zjawił się wreszcie, siostra zapytała:

— Janku, co się wczoraj właściwie stało? Czemu ani ty, ani pan Bernd nie wspominaliście mi wczoraj, że Mertens był także w hali maszyn?

— Skąd wiesz o tym?

—Od Mertensa. Był tutaj w sprawie ogłoszenia. Opowiedział mi wczorajsze zajście, twierdząc, że nie posiadał się z trwogi, gdy zobaczył ciebie, pochylonego tak nieostrożnie nad maszyną. Udawał wielką życzliwość dla ciebie, zapewniał mnie o swoim przywiązaniu. Jestem pewna, że się za tym coś kryje...

—Przede mną również odgrywał wczoraj tę komedię. Nędzny łotr! Nie mówmy już o tej sprawie, Ewo-Mario. Nigdy już nie będę taki nieostrożny.

—Nie będę pytała, choć widzę, że ukrywasz coś przede mną, Janku.

—To tylko dlatego, że obiecałem Ralfowi. Przynależem mu, że nie będę cię niepokoić. Nie wolno mi łamać słowa. Ale ty nie lękaj się, Ralf czuwa nade mną!

Janek powtórzył Ralfowi całą swoją rozmowę z Ewą-Marią. Ralf przestraszył się, a oczy jego zabłyśły gniewnie.

— Musiał jeszcze zmartwić twoją siostrę! Wiem, czemu to zrobił! Chce pokazać, że jest wprawdzie surowym opiekunem, ale że cię kocha. Może także chciał wybadać twoją siostrę, żeby się dowiedzieć, czy go nie podejrzewasz. Uspokoił się na pewno, dowiedziawszy się, że nie wspominaliśmy o jego obecności.

—W każdym razie moja siostra jest bardzo przygnębiona, czuje, że ukrywam coś przed nią. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. I myślę, czy nie lepiej, żebyśmy powiedzieli jej prawdę. Co sądzisz o tym?

—Tak, masz słuszość. Lepiej wyjaśnić wszystko. Po co ma się dręczyć ciąglą niepewnością?

—To prawda. Dziś wieczorem zabiorę cię do nas. We dwójkę uda nam się na pewno uspokoić Ewę-Marię.

Wieczorem Ralf towarzyszył Jankowi do domu.

—Przyprowadziłem inżyniera Bernda, Ewo-Mario. Chciałby ci coś powiedzieć w mojej sprawie.

—Proszę, niech pan przede mną nic nie ukrywa! Wejdźmy do gabinetu dziadka, tam są podwójne drzwi obite materacem. Nikt nie ułszy naszej rozmowy.

Wszyscy troje weszli do tego pokoju i tutaj Ewa-Maria dowiedziała się całej prawdy. Najpierw Janek opowiedział jej o „wypadku” z kafa-rem, następnie o swoich podejrzeniach. Później Ralf powtórzył rozmowę z Mertensem i jego niecną propozycję. Opisał jej także dokładnie wczorajsze zajście w hali maszyn.

Ewa-Maria blada i drżąca słuchała tego wszystkiego.

—Jakie to straszne, jakie to straszne! Cóż to za człowiek! — zawołała.

—Bardzo zły człowiek, panno Ewo-Mario! Dwa razy godził na życie Janka, lecz dwa razy nie powiodło mu się. Zapewne czeka teraz na trzecią okazję. Jednakże niebezpieczeństwo, jakie znamy, przestaje być niebezpieczeństwem.

—Tak, siostrzyczko, uspokój się — dodał Janek — nic mi się przecież nie stało, a Ralf będzie i nadal czuwać nade mną.

—Och tak! Zaklinam pana, niech pan czuwa nad Jankiem!

—Może pani być spokojna. Nie spocznę, póki nie przyłapię Mertensa na gorącym uczynku. Muszę raz na zawsze zabezpieczyć Janka przed jego zbrodniami zamierzeniami.

Ralf pożegnał się po chwili, nie chciał pozostać dłużej. Nazajutrz opowiedział Mertensowi, że Janek pożyczył od niego jakąś książkę, lecz nie oddawał jej tak długo, iż on sam musiał wstąpić do niego, by odebrać. Mertens uśmiechnął się słodko i powiedział:

— Naturalnie, ten smarkacz zapomniał o tym, pochłaniają go wciąż rozrywki. Prawdopodobnie nie miał nawet czasu, żeby zajrzeć do tej książki. Młodość ma jednak swoje prawa, niech pan nie gniewa się na Janka. Nie można się wcale gniewać na tego chłopaka! Ralf zadawał sobie pytanie:

— Co to ma znaczyć? Czemu Mertens przestał udawać surowego opiekuna i udaje czułego i pobłażliwego? To mi daje wiele do myślenia!

I postanowił, że będzie się jeszcze bardziej mieć na baczności.

* * *

*

Przez szerokie stopy brazylijskie pędziła na koniu młoda dziewczyna. Miała na sobie spodnie i długi zakiet do jazdy konnej. Głowę ocieniał kapelusz o dużym rondzie, spięty rzemykiem. Koń biegł w kierunku hacjendy, położonej pośród łąk i otoczonej pięknym ogrodem. W ogrodzie tym rosły egzotyczne, barwne kwiaty, drzewa uginały się od szlachetnego owocu.

Tło w głębi stanowiły zalesione góry, wśród których widać było grupę nagich, stromych skał. U podnóża tych skał znajdowała się wielka kopalnia srebra. Została ona założona przed czternastu laty przez młodego niemieckiego inżyniera, który poślubił właścicielkę tych rozległych włości, młodą wdowę Helenę Vanzita. Ani ona, ani jej pierwszy mąż nie podejrzewali, że w skałach znajdują się bogate złoża srebra. Odkrył je dopiero drugi mąż Heleny i namówił Helenę, aby założyć tu kopalnię. Przedsięwzięcie to przyniosło bogate plony, w skałach bowiem spoczywały bezcenne skarby.

Po śmierci Heleny cały jej majątek stał się własnością jej córki z pierwszego małżeństwa. Dolores Vanzita liczyła obecnie piętnaście lat. Ona to właśnie pędziła teraz na ognistym ogierze, zmierzając w stronę domu.

Na werandzie tego domu siedział wysoki mężczyzna w białym, płóciennym ubraniu, i zapisywał coś w notesiku. Ujrzawszy dziewczynę, wstał natychmiast i wszedł na schody, prowadzące z werandy do ogrodu.

— Halo, ty pędziwiatrze! Nie śpiesz się tak! — zawołał. Dolores ściągnęła cugle i zeskoczyła z siodła. Po chwili nadszedł stajenny i odprowadził konia. Dziewczyna zerwała teraz kapelusz z głowy, aż wkoło jej ślicznej twarzyczki rozsypały się kasztanowe loki, lśniące jak czerwone złoto.

— Halo, Luteczku! Przywiozłam pocztę! Jest mnóstwo listów i gazet! Czy się cieszysz z tego?

— A ja szukałem cię w całym domu!

— Wiesz przecież, że dziś przywożą pocztę, a Pedro nie mógł jechać, bo zwichnął sobie nogę. A ja wiem przecież z jakim utęsknieniem czekasz zawsze na pocztę i niemieckie gazety. Dlatego pojechałam.

— Więc po to, abym ja nie czekał na pocztę pojechałaś konno w taki upał? Czemu przynajmniej nie wzięłaś auta?

— Przecież zrobiłam to dla ciebie! Miałam zresztą ochotę na przejażdżkę konną. A poza tym nudziłam się. A teraz przyjechałam i jestem strasznie głodna.

— Wyobrażam sobie!

— Oto listy, Luteczku! Przybiore się szybko, a ty możesz tymczasem przejrzeć pobieżnie to, co nadeszło. Po obiedzie przeczytasz sobie gazety, a ja będę siedziała cicho jak myszka, żeby ci nie przeszkadzać.

Podawała mu torbę z pocztą, skinęła mu głową i weszła w głąb domu. Stanąwszy w przestronnym hallu, klasnęła w ręce. Natychmiast zjawily się dwie czarne służące, starsza i młodsza. Matka była piastunką Dolores, córka jej pokojówką. Matka nazywała się Boni, a córka Joni. Te imiona nadała im sama Dolores.

— Prędko, prędko! Joni, Boni! Kąpiel i moje suknie!

— Wszystko już gotowe, mała pani! — powiedziała Boni. Dolores przeszła do swej ubieralni. Służące pomagały jej przy kąpieli i ubieraniu. W pół godziny później Dolores była już ubrana. Miała na sobie białą sukienkę z pajęczko cienkiej

tkaniny, białe jedwabne pończoszki i białe pantofelki. Boni i Joni uśmiechały się, zadowolone ze swego dzieła.

Dolores wyszła na szeroką werandę, która ciągnęła się wokoło całego domu.

— Jestem, Luteczku, chodź do stołu!

Spojrzał z uśmiechem na urocze zjawisko, a jego poważna twarz, którą rozświecały błękitne oczy o smętnym trochę spojrzeniu — rozjaśniła się.

—Prędko poszło, Dolores!

—Wiem przecież, że jesteś także głodny. Czy były dobre wiadomości, Luteczku?

— Przejrzałem listy bardzo pobieżnie, jest ich mnóstwo.

— Zauważyłam to, bo torba była bardzo ciężka. Ojczym podał jej uprzejmie ramię i poprowadził ją do stołu.

— Nie znam mężczyzny bardziej rycerskiego od ciebie, Luteczku.

— Przecież jesteś już młodą panną, Dolo.

Rozmawiali najczęściej po niemiecku. Dolores nauczyła się tego języka od matki i ojczyma. Matka Dolores była Niemką, ojciec zaś Portugalczykiem. Mówiła po niemiecku płynnie, aczkolwiek z lekkim akcentem cudzoziemskim.

— Tak, papo, jesteś najelegantszym mężczyzną, jakiego znam — rzekła Dolo.

— No, nie znasz przecież tak wielu mężczyzn, Dolo.

— Osobiście nie, ale dałeś mi przecież do czytania tyle książek, w których występują eleganccy mężczyźni. Z tobą jednak nikt nie może wytrzymać porównania. Rozumiem moją biedną mamusię, że chciała wyjść tylko za ciebie. Pojmuję, jak trudno jej było rozstać się z tobą. Gdybym kiedyś miała męża, podobnego do ciebie, to nie chciałabym umierać tak młodo, jak mamusia.

Oczy jego zapłonęły, spojrzał z bólem przed siebie.

—Nie mów o niej, Dolo, bolesna rana, jaką zadała mi jej śmierć, krwawi jeszcze zbyt mocno.

—Ach, to przecież cudowne, taka miłość! Kochaliście się tak bardzo, ty i mamusia! Wasz los wydaje mi się podobny do jakiejś nadzwyczajnej powieści. Wiesz, Luteczku, jeżeli wyjdę za mąż, to chciałabym z moim mężem być tak szczęśliwa, jak mamusia z tobą.

— Masz jeszcze czas, Dolo, jesteś za młoda do małżeństwa.

—Oho, Luteczku, przecież tutaj kobiety wychodzą za mąż, będąc niekiedy w moim wieku.

—No tak, kobiety portugalskie czystej krwi. Ty jednak jesteś na pół Niemką. W Niemczech kobiety wychodzą znacznie później za mąż.

—Ja się też czuję bardziej Niemką. Mamusia także była Niemką. A ciebie uważam za prawdziwego ojca, chociaż jesteś moim ojczymem. Nie znałam przecież wcale mojego ojca.

— Nic dziwnego, miałaś przecież zaledwie rok, gdy umarł.

—A zaledwie dwa lata, gdy ty zostałeś moim drugim ojcem. Wiesz, mamusia wcale nie była szczęśliwa z moim ojcem, dopiero z tobą poznała co to szczęście.

—Nie powinnaś tak myśleć, Dolo.

—Przecież nie jestem dzieciakiem, Luteczku. A poza tym Boni opowiadała mi, że ojciec był o wiele starszy od mamusi. Wyszła za niego za mąż, bo jej rodzice, którzy tu przyjechali jako niemieccy osadnicy, stracili życie i mienie podczas jakichś zamieszek. A mamusia została na świecie zupełnie sama, nie miała ani rodziców, ani majątku, ani domu. A mój ojciec był dla niej bardzo dobry, wziął ją do siebie i kochał ją bardzo. Miała wtedy osiemnaście lat, a ojciec był o trzydzieści lat starszy od niej. Wyszła za niego, bo się nią zaopiekował i pomagał jej. A ojciec kochał szalenie moją piękną matkę, jej złote włosy i delikatną twarz i był bardzo szczęśliwy, gdy zgodziła się zostać jego żoną. Gdy po upływie trzech lat ja się urodziłam, mamusia pogodziła się ze swoim losem. Wiesz, że mnie bardzo kochała. Później ojciec umarł, a ona została jego spadkobierczynią. Postanowił tylko, że w razie jej śmierci majątek ma przejść na mnie. Mamusia bardzo żałowała ojca — ale z tobą dopiero stała się szczęśliwa i dlatego ja cię tak bardzo kocham, Luteczku.

—I to wszystko opowiadała ci Boni, ta gaduła?

—Tak, Luteczku. Przecież to wszystko prawda.

—Tak, Dolo, a ostatecznie jesteś już w tym wieku, że można z tobą mówić o tym.

—O tak! Toteż mógłbyś mi raz nareszcie opowiedzieć, gdzie poznałeś i jak pokochałeś mamusię. Wiem tylko, że mamusia popłynęła kiedyś żaglówką, że przywiozła cię do domu i byłeś bardzo chory. Boni nie potrafiła mi powiedzieć o tym nic więcej.

—Wolę, abyś w przyszłości zwracała się raczej do mnie niż do Boni. Boni posiada bujną fantazję.

—Wiem o tym, Luteczku. Ja także wolę, żebyś ty mi opowiedział tę historię. Prawda, że w owym czasie mateczka mieszkała w naszej rezydencji letniej nad morzem?

—Tak, Dolo. My przecież także mieszkaliśmy nieraz latem w tej willi nad morzem. Pamiętasz, że mamusia nie znosiła tego gorącego klimatu i nieraz całe dni spędzała na morzu, na swoim jachcie żaglowym...

— A my z nią razem... Ach Boże, jakie to były piękne czasy ! Ale... chciałeś przecież opowiadać!

— Po obiedzie, kochanie! Teraz trzeba jeść!

Zaśmiała się i zabrała się do jedzenia, przekomarzając się od czasu do czasu ze służbą, która podawała potrawy. W domu była tylko kolorowa służba; wszyscy darzyli Dolores ogromnym przywiązaniem. Dozór nad wszystkimi służącymi miał stary Pedro, mąż Boni. Ludwik chciał po śmierci swej małżonki przyjąć jakąś damę do towarzystwa, lecz Dolores zaprotestowała.

— Po co nam taka pani, Luteczku? Będzie nam tylko zawadą. Mnie cała służba słucha na skinienie.

I „Luteczek” — bo tak od dzieciństwa nazywała ojczyzna — zgodził się na to. Próbował wprawdzie oponować, lecz Dolores odparła jego zarzuty.

— Nie chcę mieć w domu obcej osoby. Jeżeli będę się nudzić, to zaproszę sobie Angelę Frasquita, albo Inez Hermado.

Obie te panienki były przyjaciółkami Dolores. Mieszkały wprawdzie dość daleko od siebie, lecz widywały się często i zawsze bawiły się doskonale ze sobą.

Toteż do „Armady” — tak nazywała się hacjenda, której właścicielką była Dolores — nie zaangażowano damy do towarzystwa.

Dolores odziedziczyła wielki majątek po ojcu, a Ludwik Rodenberg — on bowiem był jej ojczymem — sam stał się także bardzo bogatym człowiekiem, gdyż partycypował w zyskach z kopalni.

Po obiedzie ojczym i pasierbica usiedli w wygodnych fotelach na cienistej werandzie. Służący przyniósł kawę i oddalił się.

—A teraz opowiadaj, Luteczku — rzekła Dolores. — Mamusia opowiedziała mi raz, że wyłowiła cię z morza. Ale to chyba tylko żart, prawda?

—Nie, Dolo, to prawda. Wiesz przecież, że jestem niemieckim inżynierem i że musiałem uciekać z ojczyzny, bo podczas bójki zabiłem człowieka.

—Tak, opowiadałeś mi o tym. Nie powinieneś się tym jednak przejmować, bo wystąpiłeś we własnej obronie. A zresztą był twoim wrogiem.

—Znasz tylko tutejsze dzikie obyczaje, u nas jest inaczej. Każde zabójstwo uważa się za zbrodnię. Gdybym wtedy nie uciekł z kraju, osadzono by mnie w więzieniu. Mój ojciec nie przeżyłby tego. Dlatego pomógł mi uciec. Pożegnaliśmy się ze sobą, żeby się już nigdy nie ujrzeć. Mój ojciec jest pewny, że nie żyję od dawna, bo okręt na którym wyruszyłem z Hiszpanii zatonął, a wszyscy zginęli.

—Czemu właściwie nie zawiadomiłeś twego ojca, że żyjesz?

—Pozwól mi opowiadać dalej, wtedy zrozumiesz mnie, Dolo — rzekł z westchnieniem.

—A więc okręt zatonął pewnej burzliwej nocy. Ja uczepiłem się jakiejś belki, którą fale pędziły przed siebie. Udało mi się z trudem dostać na tę belkę i płynąłem, usiłując się ratować. Potem siły opuściły mnie i zemdlałem. Cudem tylko trzymałem się belki. Dziwię się, że fale nie splukały mnie z niej. Nie wiem jak długo płynąłem, zapewne jednak bardzo długo. Słońce świeciło już jasno, gdy spostrzegli mnie ludzie, którzy płynęli na jachcie. Jacht ten był własnością twojej

matki, Dolo. Morze uciszyło się już zupełnie. Twoja matka wybrała się na przejażdżkę jachtem, która tym razem trwała dłużej niż zazwyczaj. Mieszkała wtedy, jak zwykle latem, w małej willi nad morzem. Załoga jachtu zauważyła człowieka uczepionego do belki. Twoja matka kazała im dopłynąć do mnie i w ten sposób zostałem ocalony. Wciągnięto mnie na pokład jachtu, chociaż wszyscy sądzili, że już nie żyję. Twoja matka zauważyła jednak, że jest we mnie jeszcze trochę życia i starała się przywrócić mi przytomność. Przewieziono mnie do willi. Leżałem tam długie tygodnie, nieprzytomny, walcząc ze śmiercią. Miałem silną gorączkę, a w malignie zdradziłem twojej matce, że jestem jej rodakiem i dlatego musiałem wyruszyć w świat. Zanim odzyskałem przytomność, wiedziała już co mi ciąży na duszy. Nie wiedziała tylko skąd się wzięłem na pełnym morzu. Nasza willa jest położona samotnie, więc nie dotarła tam wieść o tym, że w pobliżu brazylijskiego wybrzeża zatonął hiszpański okręt.

Pedro, który już wówczas służył u twojej matki i posiadał pewne wiadomości w zakresie medycznym, pomógł mi wyzdrowieć. Boni pielęgnowała mnie również. Gdy po wielu tygodniach po raz pierwszy przytomnie otworzyłem oczy, ujrzałem nad sobą pochyloną anielską twarz twojej matki. Uśmiechała się do mnie, a na rękę trzymała maleńkie dziecko, które gaworzyło. Wydawała mi się podobna do Madonny, a twój zabawny szczebiot wywołał na moich ustach pierwszy uśmiech.

Oczy twojej matki spoglądały na mnie tak dobrotliwie, z takim współczuciem, iż wydawało mi się, że jestem w raj. Poza tym jednak nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, dopiero po kilku tygodniach odzyskałem pamięć. Gdy przyszedłem do siebie, twoja matka oddała mi moje papiery i pieniądze. Nosilem je na piersi w szczelnym woreczku z gumy. W ten sposób znalazłem się przynajmniej w posiadaniu moich dokumentów oraz znacznej kwoty, otrzymanej na drogę od ojca. Matka twoja opowiedziała mi, że upłynęło już dwa miesiące od chwili, gdy wyłowiła mnie z morza. Wtedy przypomniałem sobie wszystko. Z gazet dowiedziałem się później, że okręt zatonął i że oprócz jednego marynarza i sternika nikt nie zdołał się uratować. O moim ocaleniu nie wiedziała żywa dusza. Domyśliłem się, że od dwóch miesięcy już ojciec mój uważa mnie za umarłego. Wtedy zaczęło mi się wydawać, że powinienem odpokutować moje przewinienie w ten sposób, żeby raz na zawsze uchodzić za zmarłego. Powiedziałem sobie, że ojciec na pewno pogodził się już z myślą o mojej śmierci, że może woli nawet, iż nie żyję, niż żebym się jako zabójca tułał samotnie po świecie. Słowem, nałożyłem sobie sam tę pokutę. Kto wie, gdybym nie był wówczas tak bezsilny i wyczerpany, może nie złożyłbym podobnego ślubowania. Później jednak dotrzymałem słowa, chociaż nieraz przychodziło mi to z wielkim trudem...

Mój ojciec jest to dumny, prawy człowiek. Kochał mnie bardzo i tylko dlatego postąpił wówczas niezgodnie z prawem. Przeczytałem później w pismach niemieckich, że umorzono moją sprawę, ponieważ nadeszła wiadomość o mej śmierci. To utwierdziło mnie jeszcze w moim postanowieniu. Mój ojciec mógł znowu śmiało podnieść czoło. On, szef wielkiej fabryki, nie potrzebował się już obawiać, że jego synowi grozi więzienie. Sądziłem wtedy, że takim postanowieniem wyświadczę dobrodziejstwo memu ojcu. Później ogarniały mnie niekiedy wątpliwości, lecz nie złamałem przysięgi. Zabiłem człowieka, postanowiłem więc uchodzić za umarłego. Wiedziałem, że ojciec nie jest sam. Straciłem wprawdzie podczas katastrofy kolejowej moją starszą, ukochaną siostrę, lecz jej dwoje dzieci wychowywało się w domu mego ojca. Poza tym mam jeszcze drugą zamężną siostrę, która również ma dwoje dzieci. Pocieszałem się myślą, że syn mojej starszej siostry zastąpi mnie memu ojcu.

Opowiedziałem wszystko twojej matce, która знаła już jednak moje dzieje, gdyż mówiłem o tym podczas maligny. Okazała mi wiele współczucia i zrozu-

mienia. zaproponowała mi, żebym udał się na jej hacjendę, gdzie znajdzie się dla mnie jakaś lekka praca.

Ponieważ już wówczas kochałem twoją matkę, więc zgodziłem się na to. Rozłąka z nią byłaby dla mnie zbyt bolesna. I tak przybyłem do Armady. Po pewnym czasie mogłem twojej matce złożyć dowody mojej bezgranicznej wdzięczności. Byłem inżynierem i poznałem od razu, że owe skały w posiadłości twojej matki zawierają wielkie bogactwa. Odkryłem tam żyły srebra. Twoja matka bez wahania włożyła w eksploatację kopalni część swojego majątku. Wspaniałomyślna, jak zazwyczaj, wymogła na mnie, abym został dyrektorem przedsiębiorstwa i zapewniła mi udział w zyskach. Ja włożyłem do tego również mój kapitał i w ten sposób zdobyłem duży majątek, co cieszyło mnie bardzo, bo w ten sposób stałem się niezależny od twojej matki. Prawdziwy mężczyzna bowiem nie lubi zawdzięczać wszystkiego kobiecie.

Miłość twojej matki uważałem za niezasłużony dar niebios. Pobraliśmy się i byłem z moją żoną niezmiernie szczęśliwy...

Zamilkł na chwilę, wstrząśnięty do głębi. Dolores milczała i spoglądała na niego z miłością i współczuciem. Później położyła rękę na jego ramieniu:

—Luteczku! — szepnęła.

—Tak, moja maleńka Dolo, ty także przyczyniłaś się w dużej mierze do tego, że w życiu moim znowu zaświeciło słońce. Stałaś się moim ukochanym dzieckiem. Gdy trzymałem cię na ręku, a ty mówiłaś: „Kocham Luteczka!", wtedy zapomniałem o moich smutkach. A gdy po wielu szczęśliwych latach śmierć zabrała mi ukochaną Helenę, wówczas znalazłem także pociechę w tobie. Dziękuję ci, moja mała Dolo!

—Dziękuję Ci, Luteczku. Byłeś dla mnie zawsze dobrym, czułym ojcem!

—Kochamy się przecież wzajemnie, moje drogie dziecko. Wkrótce po moim ocaleniu zaczęła się wojna światowa. Chciałem przedostać się do kraju, wiedziałem jednak, że mnie nie puszczą przez granicę. Zatrzymała mnie tutaj zresztą miłość twojej matki. Powiedziałem sobie wówczas na pociechę, że gdybym pozostał w kraju, to mój ojciec straciłby mnie na wojnie.

— Więc twój ojciec przypuszcza wciąż, że zatonął podczas katastrofy? Czy nigdy nic nie słyszałeś o nim?

TLR

—Bezpośrednio — nigdy. Czytałem jednak nieraz wzmianki o naszej fabryce, która świetnie prosperuje pod kierunkiem mego ojca. Niekiedy dowiadywałem się za pośrednictwem agencji wywiadowczej o moją rodzinę. Wiem, że moja młodsza siostra Melania żyje, że mieszka wraz z mężem w pobliżu fabryki. Jej mąż pracuje tam jako dyrektor handlowy. Nie lubiłem go jednak, uważałem go za człowieka obłudnego i fałszywego. Dzieci mojej ukochanej starszej siostry są wciąż jeszcze przy ojcu. Jej syn uchodzi za przyszłego szefa fabryki. Chwała Bogu, mój ojciec nie jest sam, otaczają go kochający ludzie. Zapewne przeboleał już moją rzekomą śmierć, choć nie zapomni mnie nigdy, wiem o tym. Czasami tęsknię szalenie za ojcem, lecz nie chcę złamać przysięgi...

—Mój biedny Luteczku! Muszę ci zastąpić wszystko, co straciłeś i kochać cię jeszcze bardziej...

—Tak, Dolo, jesteś mi wielką pociechą. Dostyc jednak tej pogawędki, muszę jeszcze być w kopalni.

—A twoje gazety?

—Przeczytam je wieczorem.

—Poczekaj na mnie, pojedę z tobą.

—Dobrze, ale pośpiesz się, Dolo.

Dola przebrała się szybko. Zeszli oboje z ganku. Przed domem czekały już osiodłane konie. Szybko wskoczyli na koń i popędzili przed siebie.

W kopalni wrzała praca. Zatrudnieni byli tu przeważnie kolorowi robotnicy.

Wszyscy lubili Dolores i szanowali ogromnie Ludwika Rodenberga.

Ludwik Rodenberg wyglądał bardzo imponująco, chociaż jego jasne włosy przyprószyła na skroniach siwizna. Mógł uchodzić za ojca Janka Dornau'a, tak bardzo był podobny do niego. Miał te same niebieskie oczy, pięknie sklepione czoło i rysy. Ludwik liczył teraz czterdzieści trzy lata, sprawiał jednak wrażenie starszego, gdyż ciężkie przeżycia wyryły ślady na jego obliczu.

Przybyli oboje do kopalni, gdzie Ludwik załatwił rozmaite sprawy. Później oboje wskoczyli na siodła i powrócili do domu. /

* *

TLR

Po kolacji Ludwik Rodenberg usiadł ze swoją pasierbicą w jasnym białym umeblowanym saloniku. Dola zaczęła czytać książkę, a jej ojczym zabrał się do gazet. Abonował stale wielką ilość niemieckich gazet, które przynosiły mu wieści z kraju.

Dolores od czasu do czasu podnosiła wzrok z nad książki i spoglądała na Ludwika. I oto spostrzegła nagle, że zadrżał i kurczowo ścisnął gazetę w rękę. Twarz jego wykrzywiła się bólem i pobladła, oczy tępo spoglądały przed siebie. Zerwała się przestraszona i położyła rękę na jego ramieniu.

—Co ci jest, Luteczku?

—Dolo... Mój ojciec... nie żyje...

—Mój biedny Luteczku... Przecież właściwie straciłeś go od wielu lat...

—Ale wiedziałem, że żyje. Rozmawiałem z nim w duchu, to mnie pocieszało. Zawsze widziałem go przed sobą... Teraz nie ujrzę go już nigdy... Czy rozumiesz, Dolo?

—Naturalnie, Luteczku. Odczuwałam to samo, gdy mamusia umarła. Kiedy twój ojciec umarł?

—Nie wiem, Dolo. Nie przeczytałem do końca tego ogłoszenia. Dowiedziałem się tylko, że ojciec umarł, a mnie mianował swoim spadkobiercą. Jakie to dziwne, Dolo, że umieszczono takie ogłoszenie. Piszą, żeby Ludwik Rodenberg, o ile żyje — zgłosił się. Widocznie liczone się jednak z taką możliwością... Poczekał, Dolo, muszę przeczytać do końca... Patrz, moje nazwisko zostało wydrukowane grubymi literami, od razu też wpadło mi w oczy...

Pochylił się nad gazetą, żeby przeczytać ogłoszenie. I nagle Ludwik krzyknął, a gazeta wypadła mu z rąk. Przeczytał, że jego niewinność została ujawniona, że to nie on był zabójcą, lecz radca Natusis i że ten ostatni przyznał się do tego na łożu śmierci.

Ludwik zbladł i z głuchym jękiem osunął się na fotel. Więc to jego kolega Natusis zadał ów zabójczy cios. Wiedział o tym przez całe lata, a jednak pozostawił go w nieświadomości, dręczonego okropnymi wyrzutami sumienia!

Co prawda Natusis, podobnie jak wszyscy, sądził, że Ludwik nie żyje.

Dolores także przeczytała całe ogłoszenie. Objęła mocno ojczyrna, jakby czując, że potrzeba mu w tej chwili pomocy i podpory.

TLR

— Luteczku, mój najdroższy Luteczku, powinieneś się przecież cieszyć. Czemu jesteś taki blady i rozstrojony? Ciesz się, że okazałeś się niewinnym, że to nie ty stałeś się przyczyną śmierci tamtego człowieka.

Ludwik zacisnął zęby, niby w kurczu. Potem ujął ramiona Dolores i potrząsnął nią lekko.

— Zrozum, moje dziecko — to wszystko było na próżno! Niepotrzebne udreki, wyrzuty sumienia, rozłąka z moim ojcem, jego boleść... Gdyby sprawca miał odwagę przyznać się do swego czynu, ja nie potrzebowałbym udawać umarłego — wykrztusił.

Pogłaskała czule jego włosy.

—O, rozumiem cię dobrze, Luteczku. Pomyślałam jednak — i niechaj to ci będzie pociechą — że gdyby tak było, to nigdy nie poznałbyś mamusi, nigdy nie zaznalibyście tej miłości i tego szczęścia. Czy to cię wcale nie pociesza?

—Ach, że też mamusia nie dożyła tej chwili! Dzieliła mój smutek i niedolę, czemu nie doczekała mego wyzwolenia? Gdyż mimo wszystko odczuwam to, jako wyzwolenie. Dolo, przeczytaj mi jeszcze raz głośno tę notatkę. Pragnę oswoić się z tą myślą, pragnę pojąć, że nie byłem winny, a także... że mój ojciec już nie żyje...

—Tak, Luteczku, zbyt wiele spadło na ciebie naraz. Usiądź sobie wygodnie, oprzyj się dobrze, a ja przeczytam ci powoli i wyraźnie to ogłoszenie.

Usadowił się wygodnie w fotelu, ona zaś zaczęła czytać swoim dźwięcznym czystym głosem treść ogłoszenia:

LUDWIK RODENBERG

f . ■ :

Niech przyjmie do wiadomości, że ojciec jego zmarł i ustanowił go spadkobiercą fabryki Rodenbergów, o ile powróci po dwudziestu latach od chwili zniknięcia. Ludwik Rodenberg może bez obawy powrócić do kraju, ponieważ jest niewinny. Radca górniczy Natusius wyznał na łożu śmierci, że posiadał kastet i

popęłnił zabójstwo. Uprasza się Ludwika Rodenberga o jak najszybsze zgłoszenie się. <> Jerzy Rodenberg zmarł dnia 23 sierpnia b.r.

TLR

Gdy skończyła, siedzieli oboje przez długą chwilę w milczeniu Dolores czuła, że ojciec musi odzyskać równowagę. Siedział naprzeciw niej z zamkniętymi oczyma, a myśli jego biegły do ojczyzny. Rozmawiał w duchu ze swoim zmarłym ojcem. Pierś jego unosiła się ciężko, a mięśnie na twarzy drgały, jak gdyby w kurczu. Dolores spoglądała na niego z troską i współczuciem. Wreszcie nie mogła już wytrzymać tego długiego milczenia:

— Luteczku, to przecież cud, o którym zawsze potajemnie marzyłeś. Teraz dusza twoja wolna jest od winy. Cieszę się z tego.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Powoli wyprostował się i rzekł:

—Tak, kochanie, to cud. Szkoda tylko, że nastąpił zbyt późno dla mego ojca. I dlatego zastanawiam się, czy dobrze uczyniłem, składając to ślubowanie i pozostawiając mego ojca w przeświadczeniu, że umarłem.

—Luteczku, nie dręcz się teraz nowym poczuciem winy, skoro dopiero pozbyłeś się dawnych wyrzutów sumienia. Chciałeś przecież jak najlepiej, wzięłeś na siebie tak wielką karę, choć nie zasłużyłeś na nią. My ludzie nic nie wiemy, tylko Bóg jest wszechwiedzący. A On zgodził się na to, więc widocznie tak trzeba było. Poniosłeś nadludzką ofiarę, pokutując za nie popełnione winy. Jak było naprawdę — o tym wiedział tylko Bóg oraz ów radca Natusius. Musiałeś tak postąpić, jak postąpiłeś, masz już taką naturę. Nie zasługujesz na żadne wyrzuty. Szkoda tylko, że ty i twój ojciec musieliście tak strasznie cierpieć za cudzą winę. Czy nie mam racji?

—Moja malutka pocieszycielko, tak, masz rację. Muszę się pogodzić z myślą, że nie ujrzę już nigdy mego ojca. Ale — mogę teraz powrócić do kraju, mogę zobaczyć moich krewnych. Ta przysięga obecnie już nie ma znaczenia.

Dolores spojrzała na niego zaskoczona. * x '

— Chcesz pojechać do Niemiec, Luteczku? Westchnął głęboko, a oczy jego zabłyśły.

— Czy wątpiałś w to, Dolores? Czy nie możesz zrozumieć jak bardzo tęsknię za ojczyzną? Pragnę przynajmniej pomodlić się przy grobie mego ojca i matki.

Zbladła, odpowiedziała jednak odważnie:

— Tak, o tak... Rozumiem to dobrze... Ale powrócisz potem, Luteczku? Nie zostawisz mnie przecież samej?

TLR

Przytulił ją do siebie.

— To przecież jasne, moja maleńka Dolo, ty i ja nie rozłączymy się nigdy. Wziąłbym cię zaraz ze sobą, wolałbym jednak najpierw pojechać sam i zbadać, jak się przedstawiają sprawy w Rodenberg. Mąż mojej młodszej siostry jest dyrektorem handlowym, a syn najstarszej siostry ma zostać w przyszłości szefem fabryki. Takie otrzymałem wiadomości. Zapewne umieszczono to ogłoszenie tylko dlatego, aby spełnić ostatnie życzenie mego ojca. Może ojciec do ostatniej chwili żył nadzieją, że zostałem uratowany? On — tak, on zrozumiał na pewno, że pragnąłem uchościć za umarłego, aby odpokutować winę. Teraz umarł i nie dowiedział się, że byłem niewinny. Może to lepiej, że się nie dowiedział... Bolałoby go to okropnie, że moja ofiara była daremna. W każdym razie pragnę powrócić do kraju i zorientować się w tamtejszych stosunkach. Pojadę potajemnie, incognito, do mojej ojczyzny. Jeżeli mój powrót sprawi radość, wtedy zmartwychwstanę dla mojej rodziny. Jeżeli nie, wówczas odjadę nie rozpoznany. Nie mogę cię wobec tego zabrać, Dolo. Poproszę matkę twojej przyjaciółki Angeli, aby podczas mojej nieobecności zajęła się tobą. Jestem pewien, że spędzi ona bardzo chętnie wraz z córką kilka miesięcy w Armadzie. Co sądzisz o tym?

Dola skinęła główką, lecz ze smutkiem spojrzała na Ludwika.

—Więc rozstaniemy się na tak długi czas, Luteczku? Chcesz wyjechać na całe miesiące?

—Nie będę mógł tego załatwić w krótkim czasie, pomyśl tylko, że podróż jest bardzo daleka. Będiesz moją dzielną dziewczynką, prawda?

Dola westchnęła.

—Trudno, jeżeli tak być musi. A jeżeli twoja rodzina nie zechce cię już puścić?

—Wówczas przyjadę po ciebie. Rzecz jasna, że będziesz zawsze mieszkać ze mną. A zresztą twoja matka pragnęła, abyś odbyła podróż do Europy, a szczególnie do Niemiec. Nie wiem, jak się warunki ułożą, lecz my nie rozstaniemy się nigdy. Czas rozłąki przeminie prędzej niż przypuszczasz.

Rzuciła mu się w objęcia.

— Byłabym strasznie samotna bez ciebie, wiesz przecież o tym. I nie zapomnisz o mnie, prawda?

TLR

— Ja także czułbym się samotny bez ciebie, Dolo. Nie, nasza rozłąka nie potrwa długo, kochanie.

— Kilka miesięcy — to przecież nie jest krótki okres.

— Postaram się go skrócić. A poza tym będziemy często pisywać do siebie. Zobacysz, czas minie ci prędko. Angela i Inez będą ci dotrzymywać towarzysztwa. Bądź mężna, moja Dolo.

Skinęła z uśmiechem głową. Ponieważ nie można było tego zmienić, więc nie chciała martwić ojczyma swoim smutkiem.

Zacząli teraz mówić o podróży Ludwika. Naradzali się wspólnie, a Dolores pokonała swój lęk przed rozłąką. Była odważna i przywykła do tego, by godzić się z losem.

Dolores mogła śmiało pozostać sama, nie było w tym najmniejszego ryzyka. Służba i robotnicy ubóstwiali ją, nikt nie pozwoliłby jej wyrządzić krzywdy. Poza tym na miejscu znajdowali się portugalscy urzędnicy, którzy podczas nieobecności Ludwika będą pilnowali porządku.

Omówili wszystko, po czym udali się na spoczynek.

Nazajutrz rano Ludwik omówił wszystko ze swymi urzędnikami, po czym wraz z Dolores pojechali do pani Frasquity i poprosili ją, by przeniosła się na kilka miesięcy do Armady. Angelika krzyknęła z radości, gdy się dowiedziała, że ma spędzić całe miesiące z przyjaciółką w uroczej Armadzie. Było to dla niej wielkie święto. Seniora Frasquita również przystała bez wahania na tę propozycję. Stanowiła ona dla niej okazję do miłego wypoczynku. Mąż miał do niej przyjeżdżać co niedzielę. Gospodarstwo będzie mu prowadzić stara wierna służąca.

Dola poczęła się powoli oswajać z myślą o rozłące. Wesoła przyjaciółka przedstawiła jej wszystko w najświetniejszych barwach. Będą się wspaniale bawić, zwłaszcza, że Inez przyjedzie także na kilka tygodni. Dola pocieszyła się więc trochę i pogodziła z myślą o podróży ojczyma.

Nie chciała jeszcze myśleć o pożegnaniu, bo ta myśl była bardzo bolesna. Ukrywała jednak swój smutek, aby nie martwić Luteczka. Wszakże i jemu to pożegnanie przyjdzie z wielkim trudem — Dolores wiedziała o tym.

■ ■ - r

* * †

TLR

Ralf Bernd pomimo swej czujności nie zdołał wykryć nic takiego, dzięki czemu mógłby zdemaskować Mertensa. Ten ostatni okazywał Jankowi ogromną życzliwość. To zmienione zachowanie sprawiło jednak, że Ralf ze zdwojoną uwagą obserwował Mertensa. Nie oznaczało to na pewno nic dobrego. Mertens w dalszym ciągu myślał o tym, by zostać jedynym panem i władcą fabryki — wynikało to z rozmaitych uwag, jakie wypowiadał niekiedy w obecności „swego sojusznika”.

Ralfa zapraszano wciąż do willi Melanii, a Jolanta coraz mniej ukrywała, że uważa go za swego przyszłego małżonka. Okazywała mu coraz wyraźniej swoje względy, a Ralf z wielkim trudem starał się uwolnić z zastawianych na niego siodeł. Nie reagował na zalotność Jolanty, serce jego należało do Ewy-Marii, wiedział i czuł, że ona także oddała mu swoje. Jakże mogła mu się wobec tego podobać Jolanta? Dwa razy w tygodniu bywał teraz w willi Rodenberg i to za zgodą Mertensa. Nazajutrz opowiadał Mertensowi wszystko, o czym tam mówiono, naturalnie tylko to, co usłyszał służący Fryderyk. W ten sposób Mertens otrzymywał raporty z dwóch stron i był przekonany, że zawsze dowiaduje się prawdy.

Ralf zaprzyjaźnił się jeszcze bardziej z Jankiem, a jego stosunek do Ewy-Marii pogłębił się i nabrał jeszcze większej tkliwości. Janek sprzyjał młodej parze. Pozostawiał ich często samych i zauważył, że przestali niemal ukrywać swoją miłość. Dla obojga zakochanych był to okres pełen tajemnego szczęścia. Ralf na razie nie wyznał kochanej swoich uczuć. Z jednej strony chciał uszanować okres żałoby po dziadku, z drugiej zaś pragnął nareszcie zakończyć porachunki z Mertensem. Marzył o tym, by Ewa-Maria odzyskała spokój. Wiedział, jak bardzo lęka się o losy brata.

Jolanta dowiedziała się, że Ralf bywa u jej kuzynów. Nie podobało się jej to wcale. Dopiero, gdy ojciec zrobił aluzję, że te wizyty odbywają się na jego życzenie, uspokoiła się zupełnie. Nie miała wcale ochoty ustąpić miejsca Ewie-Marii. Czuła, że i kuzynce Ralf wydaje się godny miłości i dlatego z uporem dążyła do urzeczywistnienia swoich planów. Pragnęła zdobyć Ralfa dla siebie. Aby zaszkodzić kuzynce, mówiła z Ralfem bardzo wiele o Ewie-Marii, starając się ją ośmieszyć w jego oczach i nazywając ją nudną i cnotliwą gąską. Nie domyślała się, że

wyrażając się ujemnie o kuzynce, wydawała się Ralfowi wstrętna. Nienawidził jej po prostu, gdy obgadywała Ewę-Marię.

Wreszcie Jolanta doszła do wniosku, że cała sprawa pozostaje zbyt długo w zawieszeniu i postanowiła energiczniej dążyć do celu.

Pewnej niedzieli Ralf został znowu zaproszony do Mertensów. Pani Melania cieszyła się zawsze z jego odwiedzin. Lubiła go bardzo, lecz swobodne obejście córki nappełniło ją zawsze obawą. Nie mogła sobie wyobrazić, że takie zachowanie może się podobać takiemu mężczyźnie, jak Ralf Bernd.

Po obiedzie Jolanta, jak zwykle, poprosiła Ralfa, aby poszedł z nią na przechadzkę do lasu. Ralf zauważył, że zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z ojcem. Nie mógł odmówić Jolancie, aby nie uchodzić za człowieka źle wychowanego. Okazywał jej jeszcze większą rezerwę, niż zazwyczaj, starając się mówić na tematy ogólne. Jolanta miała na sobie futrzany płaszczyk i czapkę. Ścieżki w lesie były zasypane śniegiem, więc znowu wzięła Ralfa pod rękę i przytuliła się do niego. Patrząc mu figlarnie w oczy, stuliła usta w ciup, czekając na to, by ją pocałował.

On jednak nie reagował na te wyraźne awanse i zachowywał się poprawnie, a nawet trochę sztywno. Jolanta jednak nie chciała tego znosić dłużej. Była „nowoczesną” dziewczyną i postanowiła działać. Puściła nagle jego ramię, stanęła przed nim i zapytała:

— Niech mi pan powie, panie inżynierze, jak długo ma trwać ten stan?

Wyczuł natychmiast do czego zmierzała. Chciała, aby wyrzekł decydujące słowo. Było mu bardzo przykro, że sprawi jej zawód, na razie więc zaczął udawać, że nie rozumie właściwie, o co jej chodzi.

— Jaki stan, panno Jolanto?

—O Boże, niechże pan nie będzie niepojętny! A poza tym niech pan nie nazywa mnie panną Jolantą. Nazywam się Jo!

—Wiem, że cała rodzina nazywa panią w ten sposób. Krewni mają do tego prawo.

—O, Boże, niechże pan nareszcie zrozumie, że pańska rezerwa jest zbyt duża. Przede mną nie potrzebuje pan odgrywać komedii. Wiem dobrze, jak bardzo zależy panu na tym, by zdobyć sobie jedną z wnuczek Jerzego Rodenberga. Niech pan wreszcie zdobędzie się na odwagę, nudzi mnie to ciche uwielbienie. Jestem zbyt nowoczesną dziewczyną,

TLR

aby skazywać pana na tę dręczącą niepewność. Mężczyzna taki, jak pan, nie potrzebuje naprawdę być nieśmiałym.

Mówiła to na pół żartobliwie, na pół wyzywająco. Ralf zrozumiał, że jeżeli teraz nie da jej wyraźnej odprawy, to za chwilę Jolanta rzuci mu się na szyję. Było mu bardzo przykro, że będzie musiał zachować się nierycersko wobec kobiety. Przy tym jednak zachowanie Jolanty wydawało mu się tak odrażające i niekobiece, iż dziękował Bogu, że serce jego uczyniło inny wybór. Nie należał do mężczyzn, których można zdobywać w taki sposób.

Cofnął się o krok i wtedy wpadła mu myśl, jak złagodzić tę niemiłą sytuację.

— Panno Jolanto, wiem dobrze, że pani sobie żartuje. Nie myśli pani na serio o tym, by oddać mi swoją rękę. Ja nigdy nie ośmieliłbym się prosić o rękę pani, nawet gdyby moje serce było wolne. Wiem, że pani jest bardzo wesoła. Prowokuje mnie pani, aby później pośmiać się trochę. Ja jednak nie lubię, gdy się ze mnie ktoś wyśmiewa, nawet gdyby to była najbardziej urocza panienka.

Jolanta zrozumiała z tej dyplomatycznej przemowy tylko jedno: że serca Ralfa nie jest wolne. Była na niego tak wściekła, że z chęcią wymierzyłaby mu policzek. Przypuszczała, że dość będzie jednego słowa zachęty, aby doprowadzić go do oświadczeń. Tymczasem Ralf Bernd okazał się człowiekiem nie dającym się przekupić, nie zależało mu wcale na wnuczce Jerzego Rodenberga. Postanowiła więc ratować sytuację i, śmiejąc się głośno, powiedziała:

— No, nareszcie wyciągnęłam z pana to wyznanie, panie inżynierze! Pan jest bardzo mądrym człowiekiem, pojął pan od razu, że żartowałam. Chciałam się bowiem koniecznie dowiedzieć, czy pańskie serce jest wolne, czy zajęte. Teraz wreszcie przyznał się pan i musi pan powiedzieć, kto zdobył pańskie serce. Czy to może moja kuzynka, Ewa-Maria?

Zauważył w jej oczach niebezpieczny złośliwy błysk i pomyślał, że nie powie nic o swojej miłości. Gdyby się zdradził, Jolanta może się stać niebezpieczną nieprzyjaciółką dla Ewy-Marii. Toteż zaśmiał się na pozór rozbawiony.

— Domyśliłem się od razu, że chodzi o żart. A ponieważ wygadałem się, więc powiem pani, że serce moje było już zajęte, zanim objąłem posadę w fabryce. Ten samym odpowiedziałem już na drugie pytanie.

Byłoby mi przykro, gdyby imię kuzynki pani zostało wymienione w tej sprawie. Nie chcę słyszeć o tym. Jolanta zaśmiała się zgrzytliwie.

—Niech się pan nie martwi, ta sprawa nie powinna panu wcale być przykrą. Ten żart uknułyśmy do spółki z moją kuzynką. Rozmawiałyśmy niedawno o tym, czy pan jest już zaręczony. Ja mówiłam, że tak, moja kuzynka twierdziła, że nie. Założyłyśmy się o bombonierkę — no i ja wygrałam zakład.

—Załatwiła to pani bardzo dyplomatycznie — rzekł Ralf ze śmiechem, udając, że jej wierzy. Wiedział jednak, że Ewa-Maria nie ma pojęcia o tej sprawie. Wiedział również, że Jolanta nie miała wcale zamiaru żartować.

Czuł, że Jolanta w ogóle nie rozumie, co to jest miłość i że na pewno nie zламаł jej serca. Nie powinna była jednak wiedzieć, że jest związany z inną. Nie, nie można dopuścić do tego. Należy koniecznie pomówić z Ewą-Marią i wyjaśnić jej wszystko. Uczyni to w taki sposób, aby nie kompromitować Jolanty.

Jolanta tymczasem opanowała się już.

— Tak, to bardzo trudno zmusić mężczyznę do takiego wyznania — rzekła.

— Proszę bardzo, aby pani nie wspominała o tym nikomu. Spojrzała na niego podejrzliwie.

—Muszę powiedzieć o tym kuzynce i dowieść jej, że wygrałam zakład.

—Tak, ale niech pani swoją kuzynkę poprosi o dyskrecję. Nie mogę się na razie oficjalnie zaręczyć ani ożenić, nie chciałbym więc, aby wiadano o tym. Koleżdy lubią sobie żartować z takich spraw...

Teraz Jolanta była przekonana, że jego serce nie należy do Ewy-Marii. Pomyślała, że kuzynka także będzie się musiała wyrzec Ralfa. To pocieszyło ją trochę i przeboleła doznaną porażkę.

— Oho, jaki pan tajemniczy, panie inżynierze!

— Tego rodzaju tajemnic nie zdradza się przecież całemu światu, pani rozumie to chyba, panno Jolanto.

Ruszyli dalej, a Jolanta udawała, że jest w doskonałym humorze, śmiała się i żartowała. Pocieszała się tylko myślą, że Ewa-Maria dozna także zawodu. Postanowiła, że nazajutrz pójdzie do niej i opowie jej, że

**8 Dziedzic-
two Roden-
bergów**

113

TLR

Ralf Bernd jest zaręczony. Jaka była ta dziewczyna, którą on pokochał? Musiała być uboga, skoro nie mógł jej na razie poślubić? Więc naprawdę istnieje na świecie bezinteresowna miłość?

Szkoda, że ona nigdy nie pozna takiego uczucia. Musiało to być bardzo piękne — kochać i być kochaną, całym sercem kochaną!

Tak, nowoczesne poglądy Jolanty zostały zachwiane, nie przyznała się jednak do tego, nawet wobec siebie.

W każdym razie skończyła z inżynierem Berndem, skończyła raz na zawsze. Mimo to była dość mądra, żeby gawędzić z nim jak zwykle; przybyli do domu na pozór w najlepszej zgodzie. Jolanta była zbyt próżna, aby dać poznać, że cierpi nad doznaną porażką. Gdy jednak Ralf pożegnał się, powiedziała, że głowa ją boli i schroniła się do swego pokoju. Tutaj usiadła w fotelu i zapaliła papierosa. Zła i zawiedziona, spoglądała przed siebie. Tak, była tylko zagniewana, nie zaś nieszczęśliwa. Zaczęła się także zastanawiać, kogo ma obecnie obdarzyć swoją łaską, ponieważ o Ralfie nie mogło już być mowy.

*

*

■; v

Ralf Bernd szedł powoli przez las w kierunku fabryki, zamierzał bowiem udać się wprost do swego mieszkania. Raz po raz oddychał z ulgą, był bardzo rad, że teraz nie potrzebuje się już obawiać dalszych prób zbliżenia się Jolanty. Mimo to czuł podczas całej drogi niepokój, lękał się, że Jolanta powtórzy Ewie-Marii, iż serce jego nie było już wolne, gdy zaczął pracować w fabryce Rodenbergów.

Spojrzenia jego biegły z tęsknotą ku willi na wzgórzu. O, gdyby mógł tam być, gdyby mógł spojrzeć w dumne oczy Ewy-Marii i wyjaśnić jej, że musiał Jolancie opowiedzieć taką bajkę! Mimo woli zboczył z drogi i znalazł się w pobliżu willi Rodenbergów. I oto — jakby wyczarowana jego tęsknotą — stanęła przed nim Ewa-Maria.

Spojrzeni na siebie, a oczy obojga zalśniły. Twarz dziewczyny oblała się rumieńcem. Ewa-Maria miała na sobie biały trykotowy kostium sportowy, a na głowie białą czapkę, spod której wymykały się jej złote włosy. Ralf pomyślał, że nigdy chyba nie była tak piękna, jak w tej chwili. Ostre zimowe powietrze zarumieniło jej policzki, a jej

TLR

smukła, młodzieńcza postać zdradzała zręczność i giętkość zdrowego ciała.

Ralf zdjął kapelusz i ukłonił się.

— Dzień dobry pani! Uważam to za szczególne szczęście, że spotykam panią właśnie w tej chwili. Zastanawiałem się właśnie nad tym, jakby to urządzić, żeby porozmawiać z panią kilka minut bez świadków.

Spojrzała pytająco na niego.

— To się natychmiast da zrobić, panie inżynierze. Spodziewam się, że nie będzie to jakaś zła wiadomość?

— Nie, nie... Nie wiem tylko, jak mam wyrazić to, co pragnę pani powiedzieć... Powracam właśnie z willi Melanii...

— Domyślałam się tego.

— I... i... po obiedzie poszedłem na spacer z panną Jolantą... Uśmiechnęła się figlarnie, wiedząc, że Ralf nie jest zbyt zachwycony tymi przechadzkami w towarzystwie Jolanty.

— Czy dobrze się pan bawił? — spytała żartobliwie.

Nie wpadło jej na myśl, żeby być zazdrosną o Jolantę. Była pewna miłości Ralfa, choć ani jednym słowem nie wyznał jej swoich uczuć.

Ralf westchnął, był bardzo zmieszany. Ach, było to jednak bardzo trudno powiedzieć jej to, co miał do powiedzenia.

— Panna Mertens jest bardzo inteligentna i dowcipna, nie można się nudzić w jej towarzystwie. Ale... powiedziała mi coś, w co nie mogę uwierzyć... I dlatego chciałbym zapytać panią, czy to prawda...

— Czy ja będę mogła powiedzieć panu, czy to prawda?

— Tak, tylko pani.

— W takim razie, niech pan pyta.

— Czy mogę zapytać nawet o sprawę dość drażliwą?

—Jesteśmy przecież przyjaciółmi, panie inżynierze. Przyjaciele mogą między sobą poruszać niekiedy drażliwe sprawy.

—A więc, jak powiedziałem — nie dałem wiary temu, co usłyszałem od panny Mertens...

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

—Jo nie zawsze trzyma się bardzo ściśle prawdy.

—Sprawa ta dotyczyła pani...

—Mnie? — spytała, zdumiona.

TLR

— Tak. Panna Jolanta powiedziała, jakoby panie rozmawiały ze sobą o tym, czy ja jestem zaręczony, czy też nie. Ona twierdziła że tak, pani zaprzeczała temu. I wreszcie założyły się panie o bombonierkę, po czym panna Jolanta oświadczyła, że dowie się prawdy...

Ewa-Maria spłonęła rumieńcem.

—Spodziewam się, że pan nie posądza mnie o taki brak taktu. Nigdy nie zakładałam się o to...

—Tak, panna Jolanta musiała zapewne sama wymyślić to wszystko — rzekł Ralf.

Ewa-Maria domyśliła się, że Jolanta na pewno czyniła Ralfowi awanse i zadała mu jakieś nietaktowne pytanie. Rozgniewała ją ta zmyślona historia o zakładzie, do której została wmieszana. Powiedziała gniewnie:

—Jo nie powinna była mówić nieprawdy. Przecież mógł jej pan równie dobrze uwierzyć. A co by pan sobie w takim razie musiał pomyśleć o mnie!

—Nie uwierzyłbym na pewno. Być może, że jest w tym także trochę mojej winy, iż panna Jolanta uciekła się do tej wymówki i opowiedziała o tym zakładzie. Nie mogę pani wyjaśnić wszystkiego... Pragnę pani powiedzieć tylko tyle, że... że ja także powiedziałem pani Jolancie coś, co nie jest prawdą...

—Musiał pan mieć do tego jakieś ważne powody.

—Tak, to prawda. A więc powiedziałem jej, że zanim zacząłem pracować w rodenberskiej fabryce — serce moje nie było już wolne...

Zbladła i spojrzała na niego z przestraszeniem. Zanim jednak mogła odpowiedzieć, Ralf ciągnął dalej:

— Zaznaczam, że to nieprawda. Musiałem to jednak uczynić, gdyż panna Mertens zadała mi pewne wielce niedyskretne pytanie, dotyczące pani. Nie mogłem więc odpowiedzieć inaczej...

Na twarz Ewy-Marii powróciły rumieńce. Zdawało się, że wie dokładnie jakiego rodzaju było to niedyskretne pytanie. Wobec tego między Jo a Ralfem musiało zapewne dojść do rozstrzygającej rozmowy. Serce dziewczyny biło mocno i głośno, wargi jej drżały z tłumionego wzruszenia.

— Jo bywa niekiedy bardzo niedyskretna. Pozwala sobie za dużo, bo uważa, że jej wszystko wolno, gdyż jest nowoczesną dziewczyną. Potrafi

TLR

wypowiadać nieprawdopodobne rzeczy.... A mimo to, żal mi bardzo mojej kuzynki. Nie ma żadnych złudzeń i rozpatruje wszystko na trzeźwo...

— Tak, pod tym względem zasługuje na współczucie. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że powtórzy pani to, co jej powiedziałem... A nie chciałem, by pani wierzyła, że moje serce nie było już wolne, gdy zacząłem tu pracować... Sprawiłoby mi to wielki ból...

Zauważyła jego niepokój, jego troskę. Spłynęło na nią nagłe uczucie ogromnego szczęścia. Wiedziała przecież od dawna, że Ralf ją kocha. Obrzuciła go spojrzeniem, przenikającym w głąb serca, po czym szepnęła:

— Ja bym w to i tak nie uwierzyła!

Wtedy Ralf nie był w stanie panować dłużej nad sobą.

— Ewo-Mario — zawołał z namiętą tkliwością.

Spuściła oczy, lecz tylko na chwilę. Potem podniosła wzrok i spojrzała na niego z dumną szczerością. Oczy jej wyrażały całą jej wielką miłość. Ujął jej rękę.

— Ewo-Mario?

Było to pytanie, pełne tłumionego szczęścia. Pozostawiła rękę w jego dłoni. Oczy obojga zatoneły w sobie nawzajem. Stali przez chwilę w milczeniu, rozmazani i szczęśliwi. Wreszcie Ralf przyciągnął ją ku sobie.

— Ewo-Mario, wiesz przecież jak bardzo cię kocham. Tak jak wiem, że ty mnie kochasz. Czy wolno mi w to uwierzyć?

Zarumieniła się, lecz wciąż patrzyła mu w oczy.

— Tak, tak! Kocham cię, Ralfie!

— Ewo-Mario!

Imię jej zabrzmiało w jego ustach jak okrzyk radości. Porwał ją w objęcia i przytulił spragnione wargi do jej ust. Ona pozwoliła na to, tuliła się tkliwie do jego serca. A gdy rozłączyły się niechętnie ich usta, spojrzeli sobie w oczy, - upojeni szczęściem.

—Ach, Ewo-Mario, więc jednak zdobyłem się na odwagę i wyznałem ci moją miłość!

—Czy potrzeba było na to odwagi, Ralfie?

—Tak, bo moja misja nie została jeszcze spełniona. Nie uwolniłem Janka, a nie chciałem myśleć o własnym szczęściu, póki sprawa nie

TLR

została załatwiona. A poza tym dlatego, że jesteś wnuczką Jerzego Rodenberga.

—Wiem, że dla ciebie nie ma to znaczenia. Mężczyzna taki, jak ty, nie liczy się z tym przy wyborze żony.

—Błogosławiona ta twoja wiara! Nieraz żałowałam, że jesteś tym, kim jesteś, gdyż obawiałem się, że będzie to przeszkodą między nami...

—Czy naprawdę obawiałeś się tego?

—Dawniej, tak... Wtedy, gdy jeszcze nie znałem cię bliżej.

—Więc kochasz mnie tak dawno?

—Od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. A od kiedy ty mnie kochasz?

—Nie wiem, zdaje mi się, że zawsze... Moje uczucie spotęgowało się tylko, gdy poznałam cię bliżej. Zaczęłam cię cenić i szanować, gdy zostałeś przyjacielem i przewodnikiem mego brata. Dziadek również był o tobie wysokiego mniemania, Ralfie. Jestem pewna, że pobłogosławiłby nasz związek.

—Cieszy mnie to bardzo, Ewo-Mario. Moja, moja Ewo-Mario! Czy doprawdy można być tak szczęśliwym? Trzymam cię w objęciach, marzyłem o tym zawsze... A ty spoglądasz na mnie tkliwie twymi cudnymi oczyma...

—Jestem szczęśliwa, Ralfie, że w twoich silnych ramionach, w twoim wiernym sercu znalazłam opiekę i cichą przystań.

—A co powie na to Janek?

—Janek? Och, dla niego nie będzie to niespodzianka. Niekiedy miewał taką dziwną minę, gdy opowiadał mi o tobie, a ja nie mogłam się dość nasłuchać.

—Sądysz, iż domyśla się naszej miłości?

—Dziwiłabym się, gdyby się nie domyślał.

—A jak sądzisz, czy będzie rad z takiego szwagra?

—Powinieneś sam odpowiedzieć sobie na to. Wiesz przecież, że Janek kocha cię i szanuje.

—Tak, jako przyjaciela. Ale dla ukochanej siostry żaden człowiek nie wyda mu się pewnie dość dobrym.

—Ty na pewno. Nie zadawaj mu jednak niemądrych pytań, bo stracisz u niego cały swój autorytet — żartowała.

. — Ewo-Mario, moja słodka Ewo-Mario, jakież ten świat jest piękny!

TLR

Westchnęła cichutko. ■*■.

— O ile piękniejszy mógłby być, gdyby z naszych serc spadł ten okropny ciężar. Powiedz mi, Ralfie, czy Mertens nie uknuł dziś nowego szatańskiego planu?

— Nie mówił nic takiego, co by wzbudzało podejrzenia.

— A Jo... Ralfie, co powie Jolanta, gdy się dowie, że zaręczyliśmy się? Zamyślił się głęboko.

— Ewo-Mario, moja pierwsza prośba zdziwi cię na pewno. Proszę cię, zachowajmy na razie w tajemnicy wiadomość o naszych zaręczynach.

— Ze względu na Jo?

— Nie, ze względu na ciebie. Obawiam się, że twoja kuzynka jest trochę mściwa.

Spojrzała na niego z powagą.

— Ralfie... ja przecież wiem, że Jolanta miała zamiar wyjść za ciebie.

Wahał się chwilę, po czym rzekł zdecydowany:

— Ponieważ wiesz o tym, więc nie zdradzę nic takiego, co by mogło skompromitować twoją kuzynkę. Między nami nie powinno być tajemnic. Musiałem dziś obrazić i dotknąć pannę Jolantę — byłem zmuszony powiedzieć jej, że serce moje należy do innej kobiety. Zapytała zaraz, czy to ty jesteś tą inną, a oczy jej zabłyśły przy tym niebezpiecznie. Pomyślałem sobie, że jest przecież córką swego ojca. Wtedy opowiedziałem jej tę bajkę. Gdyby się jednak dowiedziała

o naszych zaręczynach, właśnie teraz, gdy cierpi jej obrażona miłość własna — wówczas mogłaby się jakoś zemścić na tobie. Niech się najpierw przestanie złościć — wiem, że ta cała sprawa nie wywoła w niej innych uczuć, prócz gniewu, gdyż Jolanta ma zimne serce. Nie kocha mnie i sam nie wiem z jakiego powodu chciała poślubić właśnie mnie. Nie zabraknie jej na pewno konkurentów. Ułatwiłem jej w miarę możliwości zadanie, gdyż bądź co bądź było mi przykro, że musiałem urazić kobietę. Więcej nic nie mogę powiedzieć w tej sprawie, którą na

szczęście udało mi się załatwić w sposób pojednawczy. W każdym razie nie chcę, by wiedziała o naszych zaręczynach. A poza tym — także

1 przez wzgląd na Mertensa. Gdyby się dowiedział, że zostanę szwagrem Janka, przestałby mi ufać. Skoro mam pomóc Jankowi, muszę jeszcze

TLR

przez jakiś czas odgrywać komedię. Spodziewam się, że nie potrwa to już zbyt długo. Czy uznajesz moje powody?

— Tak, Ralfie, chociaż mi bardzo przykro, że z powodu mego brata musisz odgrywać tę wtrętą komedię. Rozumiem jednak, że to konieczne. Gdy się ma do czynienia z takim wrogiem, nie można walczyć szlachetną bronią, bo musiałoby się w końcu ulec. A ja lękam się tak bardzo o Janka!

Pogłaskał pieśczośliwie jej ręce.

— O, gdybym już mógł uwolnić cię od tej troski, moja Ewo-Mario! Więc zgadzasz się, aby nasze zaręczyny zostały zachowane w tajemnicy?

Skinęła głową i błagalnie spojrzała na niego.

— Ale Jankowi powiemy! Proszę cię, chodź ze mną zaraz do niego, abyśmy mogli go zawiadomić. On się tak ucieszy!

— Czy Janek jest w domu?

Czeka w lesie przed domem na mój powrót. Mieliśmy razem powrócić do domu. Ja miałam ochotę na dłuższą przechadzkę.

— Na szczęście droga twoja prowadziła do mnie. Zdaje mi się, że moja tęsknota wyczarowała cię, Ewo-Mario. Ale... czy Janek w lesie jest sam?

— Tak, wiedzieliśmy przecież, że jesteś dziś u Mertensów. Wobec tego nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo i chciał się trochę przejść po śniegu.

— Wobec tego, chodź Ewo-Mario, pójdziemy razem do niego. Zakochani, przytuleni szli przez zasypany śniegiem las. Mieli sobie

jeszcze wiele do powiedzenia. Ralf, nie mogąc jeszcze całkowicie pojąć swego szczęścia, przystawał raz po raz, brał w objęcia swoją kochaną i namiętnie całował Ewę-Marię.

W ten sposób posuwali się dość powoli naprzód. Wreszcie ujrzeli jednak Janka. Ralf zawołał go, on zaś odpowiedział radosnym okrzykiem.

— Ach, Ralfie, jak to dobrze, że cię Ewa-Maria przyprowadziła. Gdzie go znalazłaś, Ewo-Mario?

—Tam! Szłam sobie lasem i nagle stanął przede mną, jakby spadł z nieba —
zażartowała Ewa-Maria.

—A tymczasem nie wracałem wcale z nieba, tylko z willi Melanii — powie-
dział wesoło Ralf.

TLR

Janek spojrzał badawczo na oboje.

—Nie wiem, co się stało, wyglądacie oboje tak dziwnie. Jesteście tacy weseli, nie, to nie jest właściwe określenie, wyglądacie, jak byście byli bardzo szczęśliwi. Tacy jesteście rozpromienieni! Co to się dzieje?

—Masz bystre oczy, Janku, spotkało mnie naprawdę ogromne szczęście — powiedział Ralf.

—Mnie także, Janku! — dodała Ewa-Maria i śmiejąc się przez łzy, rzuciła się bratu na szyję.

Przytulił ją do siebie.

— Ewo-Mario! Ralfie! No, nareszcie! Macie moje błogosławieństwo!

—O co ci chodzi, Janku? Co masz na myśli? — spytała Ewa-Maria na pół żartobliwie, na pół zmieszana.

—No, pozwólże, moja droga, przecież to by zobaczył nawet ślepy bez okularów, że się ma tutaj przed sobą parę narzeczonych.

—A ty zgodzisz się, Janku, żeby twoja siostra została moją żoną? — spytał Ralf.

Janek serdecznie ucałował siostrę, po czym potrząsnął ręką Ralfa.

— Nikomu nie oddałbym jej z taką chęcią, jak tobie, Ralfie.

— I wcale nie byłeś zdziwiony? Janek roześmiał się głośno.

— Zdziwiony? Przecież już od miesięcy czekam na to. Dzieci, czemu zwlekacie tak długo z waszymi zaręczynami? Nie mogłem już patrzeć na waszą tęsknotę. Gdyby to miało trwać jeszcze dłużej, byłbym się wmieszał do tej sprawy. Ralfie, — o Boże, jakże się cieszę, że to ty będziesz moim szwagrem. Pocałuję cię za to jeszcze raz Ewo-Mario!

Tak żartował Janek, starając się pokonać wzruszenie. A później raz jeszcze uściskał i ucałował siostrę. Następnie ujął obie ręce Ralfa. Obydwaj patrzyli sobie z rozrzewnieniem w oczy. Jednocześnie objęli ramionami Ewę-Marię i stali tak przez chwilę we trójkę, złączeni wspólnym uściskiem.

— A teraz pójdziemy do domu i wyprawimy uroczyste zaręczyny z szampnem, jak to jest zwyczajem w podobnych szczęśliwych okolicznościach.

Ralf zatrzymał go.

— Stój! Nie tak gwałtownie, Janku! Najpierw posłuchaj, co ci powiem. Nasze zaręczyny są na razie tajemnicą dla wszystkich—powie

TLR

dział i przytoczył mu powody. Janek miał bardzo zawiedzioną minę, on pragnął opowiedzieć wszystkim, że Ralf zostanie jego szwagrem. Miał zwłaszcza wielką ochotę oznajmić tę nowinę Jolancie, wiedział bowiem, że kuzynka jest pewna, iż Ralf ożeni się z nią.

—No, ta się dopiero zdziwi! — myślał z zadowoleniem. Zrozumiał jednak, że należy poczekać, powody Ralfa przekonały go w zupełności. Powiedział tylko z prośbą w głosie:

—Ale malutką uroczystość wyprawimy sobie mimo wszystko, tylko dla nas trojga. Przecież muszę wypić za wasze zdrowie. Na szczęście Fryderyk jest dziś w mieście, poszedł do kina. Nie mamy potrzeby obawiać się, że będzie szpiegował. Ewo-Mario, nie puścimy Ralfa, prawda?

Ewa-Maria z uśmiechem pogłaskała czoło Janka, który zerwał czapkę, bo zrobiło mu się gorąco z radości. Wzrokiem pełnym miłości spojrział na Ralfa.

— Nie, Janku, nie puścimy go już nigdy. Czemu dał się złapać? Ralf przytulił wargi do jej rąk.

— Wiecie przecież oboje, jak chętnie zostanę. Wszyscy troje powędrowali na górę do willi.

Wyprawiono potajemnie miłą, pełną nastroju uroczystość zaręczynową. Janek był niemal tak szczęśliwy, jak para narzeczonych. Pił raz po raz ich zdrowie, a wreszcie wstawił się porządnie. Ścisnął, wzruszony, to siostrę, to Ralfa i oznajmił, że pragnie kiedyś być tak szczęśliwy jak oni. Zaręczyny to cudowna rzecz. A gdy około dziesiątej Ralf wstał, żeby się pożegnać, Janek powiedział:

— Nikomu nie oddałbym Ewy-Marii, nikomu, prócz ciebie. Ty uczynisz ją szczęśliwą, a ona ciebie, wiem o tym. A ja zostanę z wami i będę także strasznie szczęśliwy, zwłaszcza gdy mój opiekun przestanie być moim opiekunem. Daj Boże, aby stracił jak najprędzej swój urząd. Jeżeli chodzi o mnie, to mógłby zostać sobie nawet sułtanem w Maroku, albo wodzem Kafrów. Tam może sobie panować do woli. Ralfie, ty go przecież wkrótce wysadzisz z siodła, nieprawdaż?

Ralf pogłaskał tkliwie jego jasną, potarganą czuprynę.

— Daj Boże, aby to wkrótce nastąpiło, mój drogi chłopcze. Bóg pomoże mi wyzwolić ciebie i Ewę-Marię spod tego jarzma. Dobranoc, Janku, wyśpij się dobrze, abyś miał jutro świeży umysł. Dobra

TLR

noc, Ewo-Mario! I dziękuję ci raz jeszcze, że zgodziłaś się zostać moja żoną!

Szybko przycisnął wagi do jej ust, po czym wyszedł z pokoju.

Brat i siostra długo śledzili go wzrokiem. Nie chciał pojechać samochodem, pragnął wędrować sam przez las, sam — ze swoimi myślami. Przesyłali mu ręką pozdrowienia, dopóki Ralf nie zniknął w głębi zasypanego śniegiem lasu.

* *

Ludwik Rodenberg po bolesnym pożegnaniu z Dolores wyruszył w drogę do Niemiec. Przybył do Hamburga, skąd udał się wprost w głąb swojej ojczyzny. Ogarnęła go gorączkowa tęsknota, pragnął przynajmniej pomodlić się na grobie ojca. Wiedział, że zwłoki ojca zostały złożone w grobowcu, tam, gdzie spoczywała już snem wiecznym jego matka. Grobowiec znajdował się w lesie, za parkiem, otaczającym willę Rodenbergów.

Świadomość, że ojciec nie żyje, wywoływała w jego sercu płonący ból. Mimo to postanowił, że przede wszystkim pójdzie na grób rodziców. Ludwik byłby chętnie oddał całe swoje dzieciństwo, gdyby mógł ujrzeć ojca swego żywego i powiedzieć mu: Nie byłem winny śmierci tego człowieka!

Ludwik pragnął także odwiedzić te wszystkie miejsca, z którymi łączyły się wspomnienia szczęśliwej młodości. Wciąż zadawał sobie pytanie, jak też zostanie przyjęty przez swoich krewnych. Pomyślał, że jego siostrzeniec Janek, który wzrastał w mniemaniu, iż jest przyszłym szefem fabryki — na pewno nie ucieszy się z jego powrotu. Nikt w domu nie myśli chyba na serio o jego powrocie. Ogłoszenie było tylko prostą formalnością. Ojciec w swoim testamencie zarządził zapewne, aby podać je do gazet. A więc Jankowi jego powrót na pewno nie sprawi radości, a tak samo jego siostrze, Ewie-Marii. Byli małymi dziećmi, gdy opuszczał ojczyznę, nie mogli go wcale pamiętać.

A jego siostra Melania? Ona jeszcze żyje i ucieszy się może, widząc brata, którego uważała za zmarłego. Była zawsze poczciwym, dobrym stworzeniem, cichym i niepozornym, niepodobna zupełnie do starszej,

pięknej siostry, która zginęła tak okropną śmiercią. Tak, Melania ucieszy się, być może! A jej mąż? Nie lubił go nigdy, z jakiegoś niewiadomego powodu wydawał mu się niesympatyczny. Z całą pewnością nie zdoła go polubić i teraz. A dzieci Melanii? To także na pewno młodzi ludzie, w wieku Janka i jego siostry. Zapewne przyjmą obojętnie powrót wuja.

Ludwika ogarnął cichy lęk. Może najlepiej będzie nie pokazać się wcale rodzinie? Pomodli się na grobie rodziców i powróci do swej maleńkiej Dolo.

W każdym razie postanowił zachować na razie incognito i zorientować się w tamtejszych stosunkach. Dla ostrożności zapuścił sobie w ciągu ostatnich tygodni brodę, aby go nikt nie mógł poznać.

Wprost z Hamburga pojechał do swego rodzinnego miasta, w pobliżu którego znajdowała się fabryka. Zamieszkał w małym nieznanym hoteliku, gdzie zapisał się pod obcym nazwiskiem. Zaraz następnego ranka pojechał tramwajem do ostatniego przystanku, a stamtąd udał się pieszo do lasu. Park był otoczony tylko niskim żywopłotem. Ludwik przekradł się ostrożnie do parku i nie postrzeżony przez nikogo, stanął przed grobowcem.

Tutaj zrzucił nareszcie brzemie, jakie ciążyło mu na duszy. Zdawało mu się, że nareszcie jest w domu, że może pomówić ze zmarłym ojcem. Miał wrażenie, że ojciec jeszcze żyje, że zrozumiał go i pochwalił wszystko. Przeżył tu podniosłą godzinę, podczas której płakał jak dziecko i zrzucił z serca wszystkie udreki tylu lat. Ogarnęło go uczucie, jakby kochające ręce rodziców głaskały jego włosy. Dziwnie pocieszony i pokrzepiony na duchu, udał się w powrotną drogę.

Z daleka ujrzał fabrykę. Zdawało mu się, że wita go każdy komin, każde uderzenie młota. Zdawało mu się, że ojciec kroczy obok niego, że widzi jego dumną postać i dobrotliwe oczy.

— Ojczy, najdroższy ojczy! Witam cię w twoim królestwie.

Zdjął kapelusz, jakby naprawdę witał ojca.

Tam, w głębi stoi jeszcze jak dawniej wielki gmach dyrekcji, panując jakby nad wszystkim. Prócz starej maszynowni wybudowano nową halę maszyn, w ogóle powstało kilka nowych budynków.

Zauważył wiele zmian, a jednak miał wrażenie, że zna dokładnie całe to wielkie przedsiębiorstwo, które obecnie było jego własnością. Piers

TLR

jego wzbierała radosną dumą przy tej myśli. Ach tak, pracować tutaj, tworzyć, budować dalej to dzieło, rozpoczęte przez ojca. Wsłuchiwał się w melodię pracy, która brzmiała w jego uszach jak słowa powitania — Chodź do nas, jesteś przecież naszym panem, jesteś szefem fabryki Rodenbergów, którą założył twój dziadek, a twój ojciec doprowadził do stanu rozkwitu. Teraz twoja kolej! Przyjdź, weź w twoje ręce ster rządów, pracuj — pracuj razem z nami!

Westchnął głęboko, a oczy jego zwilgotniały. Wszystkie te głosy witały go w imieniu ojca, odczuwał to. Później drgnął nagle, bo usłyszał ryk syren, które obwieszczały przerwę obiadową. Robotnicy wychodzili tłumnie z hal, z szybów, z kopalni. Wszyscy powracali do domu, aby zjeść obiad i odpocząć godzinę.

Ludwik skrył się w zaroślach i czekał, aż tłum zniknie. Później drogą przejechał samochód. Siedział w nim Artur Mertens, który nie przeczuwał obok kogo przejeżdża. A Ludwik nie wiedział, kto siedział w aucie.

Odwrócił się powoli i zaczął iść w kierunku willi. Witał spojrzeniem zalesione góry, pokryte śniegiem. Jak często bywał tam u drzwi drwali, jadł śniadanie w ich chatach, pomagał im rąbać drzewa.

Teraz ujrzał przed sobą willę na wzgórzu. Przystanął i podniósł wzrok. I wtedy zobaczył na drodze wysoką, zręczną, młodzieńczą postać. Ukryty w zaroślach mógł się dobrze przyjrzeć nadchodzącemu. Był to Janek Dornau, który szedł do domu na obiad. Szedł, jak zwykle, szybkim i sprężystym krokiem, przeskakiwał po drodze różne drobne przeszkody. W pewnej chwili zerwał czapkę, jakby mu było za gorąco. Wtedy ukazała się jego gęsta, potargana, jasna czupryna. Przechodził teraz tak blisko kryjówki, że Ludwik mógł zobaczyć jego twarz. Wydało mu się nagle, że serce jego przestanie bić. Czyż on sam nie przeskakiwał w ten sposób wszystkich przeszkód po drodze, jak ten młodzieniec? Czy nie wyglądał niegdyś tak samo? I jemu opadały niegdyś włosy na wysokie czoło, jego oczy świeciły w tej młodej twarzy! Nie posiadał się ze zdumienia. Ten młody człowiek był do niego tak podobny, jak syn do ojca. Czy to Janek Dornau, przyszły szef fabryki? Czy też może Egon, syn Melanii? Obydwaj byli w jednym wieku. W każdym razie — ten młody chłopiec to prawdziwy Rodenberg.

I Ludwik poczuł, że ten młody człowiek stał się pociechą dla jego ojca, on zastępował mu po trosze straconego syna.

Miał wrażenie, że w osobie tego młodzieńca wita go miniona młodość. Tak, to był Rodenberg z krwi i kości, mniejsza o to, czy nazywa się Mertens czy Dornau!

Ludwik szedł przed siebie, pogrążony w głębokiej zadumie. Ocknął się dopiero, gdy zauważył na bocznej ścieżce jakiegoś człowieka. Mimo woli nasunął kapelusz głębiej na czoło, po chwili przekonał się jednak, że nie zna tego młodego człowieka. Musiał to zapewne być jeden z inżynierów, który po obiedzie wyszedł na spacer.

Tym nieznanym był Ralf Bernd. Zjadł obiad w kasynie i poszedł na przechadzkę do lasu, aby choć z oddali popatrzeć na willę Rodenbergów. Ze zdumieniem zauważył nieznanego. Tutaj rzadko zaglądał ktoś, kto nie pracował w fabryce. A ten nieznany mu mężczyzna wyglądał na cudzoziemca. Ralf chciał mu zejść z drogi, lecz coś uderzyło go w postaci tego obcego. Mimo woli obrzucił go badawczym spojrzeniem. A i Ludwik Rodenberg spoglądał na niego. Zbliżyli się do siebie i jednocześnie prawie każdy z nich zdjął kapelusz. Ralf ujrawszy obcego przybysza bez kapelusza, osłupiał. Patrzył na niego wielkimi oczyma, pełnymi niedowierzania i nie mógł postąpić ani kroku dalej. Ludwik zatrzymał się również.

— Czemu pan przygląda mi się tak dziwnie? Czy w tej części lasu wstęp dla obcych jest wzbroniony? — zapytał.

Ralf stał jak skamieniały. Głos obcego pana wydawał mu się równie znajomy jak jego twarz. Tak — przypominał przecież głos Jerzego Rodenberga. A te jasne włosy? A te oczy?

I nagle Ralf drgnął. Tam — pod prawym okiem, ta blizna dziwnego kształtu — tak, widział ją przecież na fotografii Ludwika Rodenberga! Ogarnęło go wielkie podniecenie.

— Przepraszam bardzo, że zatrzymuję pana i że się wpatruję w pańską twarz. Po lesie wolno chodzić wszystkim i nie z tego powodu spoglądam tak dziwnie na pana. Tylko, że pan jest tak podobny do kogoś, z kim łączą mnie przyjazne stosunki, a przy tym... Tak, ta blizna pod prawym okiem... O Boże, jeżeli pan nie jest tym, który podczas długich lat uchodził za zmarłego, w takim razie nie potrafię sobie objaśnić tego podobieństwa...

Ludwik drgnął.

— Z kim mam właściwie zaszczyt? — spytał przede wszystkim.

TLR

Ralf przedstawił się, po czym ciągnął dalej:

—Jestem przyjacielem młodego Janka DornarTa, który uchodzi za szefa fabryki, o ile nie powróci jego wuj, uważany za zmarłego. Janek Dornan i jego siostra dali ogłoszenie do pism i czekają na znak życia od swego wuja. Proszę, niech pan mi powie, czy to pan jest Ludwikiem Rodenbergiem? Nie pytam przez ciekawość, wchodzi tu w grę bardzo wiele. Proszę, niech pan powie mi prawdę.

—A gdybym nim był?

—Ach, panie, jest dwoje ludzi, którzy powitaliby pana z ogromną radością. A ja podzieliłbym tę radość przez wzgląd na moich młodych przyjaciół, chociaż pan pewnie zapyta, co mnie to może obchodzić.

Ludwik potrząsnął głową.

— Nie pojmuję tego. Powiada pan, że Janek Dornau jest pańskim przyjacielem. Jakże więc mógłby się pan cieszyć z powrotu człowieka, który odbierze mu dziedzictwo?

Oczy Ralfa zabłysły.

— Teraz już wiem, że mam przed sobą Ludwika Rodenberga! Chwała Bogu! A więc jednak przeczucie nie omyliło pana Jerzego Rodenberga. Nie chciał i nie mógł uwierzyć w śmierć swego jedyne go syna. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Ludwik żyje” O, proszę pana! Przecież to właśnie Janek i jego siostra umieścili to ogłoszenie, aby spełnić życzenie dziadka. Uczynili to wbrew woli dyrektora Mertensa, ich wuja, który sprzeciwiał się temu.

Ludwik pochwycił rękę Ralfa.

—Proszę mi powiedzieć jedno: czy Jerzy Rodenberg dowiedział się przed śmiercią, że jego syn był niewinny?

—Niestety, nie. W jakiś czas po jego śmierci Ewa-Maria Dornau przeczytała w jakiejś gazecie wyznanie, jakie uczynił przed zgonem radca Natusius. Prosiła ona wciąż swego wuja, aby umieścił w gazetach wiadomość, iż Ludwik Rodenberg został spadkobiercą swego ojca, gdyż takie było życzenie dziadka. Pan Mertens wierzył w śmierć swego szwagra i nie chciał się zgodzić, twierdząc, że nie

będzie trwonić pieniędzy na ogłoszenie. Gdy panna Dornau przeczytała wzmiankę

Orehabilitacji swego wuja, nic nie mogło jej powstrzymać. Wbrew woli

1bez wiedzy pana Mertensa dała ogłoszenie do pism. Ona i jej brat ponieśli do spółki koszt. Gdyby pan znał Janka, to wiedziałby pan, że

TLR

z radością odstąpi panu dziedzictwo, którego nigdy nie uważał za swoje. Przecież jego ukochany dziadek wierzył, że syn żyje i że ma jakieś powody, które skłaniają go, by nie dawać o sobie znaku życia. Ludwik wysłuchał tego ze wzruszeniem.

—Nie wiem, kim pan jest i co pana łączy z moją rodziną, lecz pan jest pierwszym człowiekiem, który powiedział mi coś o moim ojcu. Jestem panu bardzo zobowiązany. A więc tak — jestem Ludwik Rodenberg. Niech pan jednak na razie zachowa to w tajemnicy. Nie chcę, aby mnie ktoś poznał.

—Czy nie wolno mi powiedzieć o tym Jankowi i jego siostrze? Oni się tak ucieszą, gdy się dowiedzą, że pan żyje.

—Niech pan na razie nie wspomina im również o moim powrocie. Nie przypuszczałem, że zobaczę jeszcze kiedykolwiek moje strony rodzinne. Przysiągłem sobie, że nie powrócę tu nigdy. Chciałem w ten sposób odpokutować moją winę. Gdy przyjechałem, poszedłem przede wszystkim na grób rodziców. Pomyślałem sobie, że jeżeli mój powrót nie sprawi radości moim krewnym zniknę znowu. Niech myślą, że nie żyję!

—Na miłość boską, niech pan tego nie robi! O, gdybym mógł panu powiedzieć wszystko! Gdybym mógł wyjaśnić panu, jakie to ważne, że pan powrócił! Musi pan pozostać! Musi pan uratować mego przyjaciela Janka Dornau'a! Chodzi tu, być może, o jego życie...

—O jego życie?

—Tak! Skoro wypowiedziałem te słowa, nie cofnę ich już. Nie mogę panu tylko objaśnić tego tutaj. Wkrótce skończy się przerwa obiadowa, ludzie zaczną się schodzić, możliwe, że ktoś pozna pana. Gdzie moglibyśmy pomówić ze sobą? Uważam nasze spotkanie za pomyślne zrządzenie Opatrzności.

—Czy pan może przyjechać do miasta? Na przykład dziś wieczorem?

—Naturalnie!

—Niech pan przyjdzie do mnie do hotelu. Mam wrażenie, że pan udzieli mi wszelkich informacji o mojej rodzinie.

—O tak, proszę pana. Czy mogę przyjść do pana o ósmej?

—Będę czekać na pana o tej porze. Mieszkam w „Dworze Habsburgów”, zapisałem się tam jako pan Vanzita. Proszę o mnie zapytać pod tym nazwiskiem.

TLR

—Bo oskarżam o ciężkie przestępstwa tego człowieka, którego ojciec pański, niestety, mianował opiekunem prawnym Janka Dornau[^]. Nikt nie mógł pojąć, czemu pan Rodenberg, człowiek tak mądry, dobry i powszechnie szanowany, darzy takim wielkim zaufaniem dy-

**9 Dziedzic-
two Roden-
bergów**

129

TLR

rektora Mertensa. Jest on doskonałym kupcem, bardzo pożytecznym w fabryce, ojciec pański jednak przecenił go stanowczo jako człowieka.

—Mówi pan o tym z taką pewnością, że nie wątpię w prawdziwość tych słów.

—Tak, mówię szczerą prawdę. Otóż dyrektor Mertens uważa Janka Dornau'a za dziedzica fabryki, gdyż jest przekonany, że pan nie żyje. Sądzi, że Janek obejmie fabrykę i dlatego nienawidzi Janka.

— Oho! Więc Artur Mertens wierzy mocno w moją śmierć?

— Tak! Ojciec pański nigdy nie wierzył w śmierć swego jedynaka, a pan Mertens uważał to za dziwactwo i słabość z jego strony. Nie chciał też w żaden sposób dać ogłoszenia do pism, choć Ewa-Maria i Janek kilkakrotnie przypominali mu, aby spełnił życzenie dziadka. Wreszcie oni sami umieścili tę notatkę.

I Ralf opowiedział Ludwikowi, jak doszło do tego.

—Więc Janek zadawał sobie tyle trudu, aby przywołać do kraju człowieka, który odbierze mu dziedzictwo? — spytał Ludwik.

—Gdyby pan znał Janka, nie dziwiłby się pan takiemu postępowaniu. W każdym razie Mertens został opiekunem Janka, a ojciec pański naraził tym samym swego wnuka na wielkie niebezpieczeństwo.

—Jak pan to rozumie? Proszę, niech pan mówi bez ogródek. Muszę przecież wiedzieć o co chodzi. Jeżeli memu siostrzeńcowi grozi jakieś niebezpieczeństwo, to rzecz jasna, że wystąpię w jego obronie. Cieszę się bardzo, że dzieci mojej starszej siostry są takie dobre i szlachetne. Mam wrażenie, że dziś w południe widziałem Janka Dornau'a. Ujrzałem młodego człowieka, idącego do willi. Był do mnie bardzo podobny. Patrząc na niego, poczułem dziwną tkliwość. Był to prawdziwy Rodenberg z krwi i kości...

—Tak, ja właśnie poznałem pana po tym podobieństwie. Janek jest naprawdę wspaniałym chłopcem, a jego siostra szlachetną istotą, pełną niewieściej dobroci. Opowiem panu zaraz jakie niebezpieczeństwo grozi Jankowi ze strony Mertensa... Pragnie on zgubić Janka, a później samemu zająć jego miejsce w fabryce.

—Ależ to niesłychane, co pan mówi! : — Proszę, niech pan słucha!

.! I Ralf opowiedział szczegółowo wypadek i zajście w hali maszyn.

Powtórzył także dokładnie swoją rozmowę z Mertensem i z jaką propozycją zwrócił się do niego dyrektor. Nie zataił niczego. Na zakończenie dodał:

— Wiem, że dzięki tej relacji, oddałem się całkowicie w pańskie ręce. Może pan wątpić w to, bo nie widział pan nigdy z jaką nienawiścią Mertens patrzy na Janka, jak mu dokucza i jak stara się go poniżyć. Tak, w ostatnich czasach, po owym zajściu w hali maszyn okazuje mu ogromną miłość, ale to właśnie wzbudza we mnie wielki niepokój. Udaje, aby nie narazić się na podejrzenie, w razie, gdyby Jankowi się coś stało. O, ileż to razy Janek wołał z utęsknieniem: „Gdyby wuj Ludwik powrócił! Wtedy przynajmniej Mertens przestałby mnie prześladować swoją nienawiścią!” Już to samo powinno pana przekonać, jak się Janek ucieszy z pańskiego powrotu.

Ralf opowiedział także, iż odgrywa komedię przed Mertensem, aby go móc zdemaskować.

— Na razie nie mam w ręku bezspornych dowodów, bo Mertens jest szczwany jak lis, a śliski jak węgorz. Jestem pewny, że znowu godzi na życie Janka. Układa znowu plany, mające na celu nowy „wypadek”. Toteż Janek i jego siostra ucieszą się bardzo z pańskiego powrotu. Panna Ewa-Maria cierpi ogromnie nad tym stanem rzeczy. Wyznam panu coś, o czym jeszcze nikt nie wie. Oto zaręczyliśmy się z Ewą-Marią. Kochamy się od dawna, lecz dopiero kilka dni temu zdobyłem się na odwagę i wyznałem jej moją miłość. Teraz pan zrozumie, jak bardzo obchodzi mnie ta sprawa...

Ludwik spoglądał płonącymi oczyma na Ralfa. Potem wyciągnął do niego rękę.

— Wierzę panu, jestem przekonany, że pan mówi prawdę. Nigdy nie lubiłem Mertensa, musiał w tym być jakiś podświadomy powód. Dziękuję panu, że z takim zaufaniem zwrócił się do mnie, na to trzeba odwagi. Zdaje mi się, że powróciłem w samą porę, że będę tu potrzebny. Muszę odpocząć kilka dni, zbadać warunki, później zaczniemy działać. W każdym razie będziemy się wciąż komunikowali. Sądzę, że za kilka dni Janek oraz pańska narzeczona pozbędą się swego niepokoju. Wtedy ja wystąpię. Nie będę mógł oczywiście użyć całego rygoru, wskazanego w tej sprawie, bo Mertens jest mężem mojej siostry i należy go oszczędzić. W każdym razie uczynię go nieszkodliwym, może pan pod tym

TLR

względem polegać na mnie. Podczas mojej wędrówki miałem do czynienia z różnymi szumowinami, potrafię sobie także poradzić z Mertensem.

— Czy wolno mi wiedzieć, gdzie pan przebywał i w jaki sposób uratował się pan? — spytał Ralf.

Ludwik opowiedział mu swoje dzieje, powiedział mu również o swoim ślubowaniu. Wspomniał także, jakie wrażenie wywarła na nim notatka w pismach.

—Gdyby nie notatka, nie powróciłbym do kraju. Jestem wdzięczny Ewie-Marii i Jankowi, a także i panu. Cierpiałem ogromnie, mając świadomość, że zabiłem człowieka. Ogłoszenie to, z którego dowiedziałem się, że nie ciąży na mnie wina, sprawiło mi ogromną ulgę. Nikt tego nie zrozumie, kto nie znajdował się w podobnym położeniu.

—Rozumiem pana, pojmuję, jak bardzo cierpiał pan nad rozłąką z ojcem, w poczuciu rzekomej winy. Ojciec wierzył do końca, że pan żyje. Ewa-Maria opowie panu wszystkie szczegóły. Powiedział raz: „Wiedziałbym na pewno, gdyby Ludwik nie żył, takie rzeczy się przecież przeczuwa!”

—Ach, pragnąłbym już porozmawiać z Jankiem i Ewą-Marią o moim ojcu. Poczekam jednak jeszcze kilka dni. Gdy stałem dziś nad grobem mego ojca, doznałem wrażenia, że żyje. Powiedziałem mu wszystko. To mnie trochę pokrzepiło.

Mężczyźni długo rozmawiali ze sobą. Ludwik wypytywał o stosunki w fabryce. Ralf wspomniał mu o tym jak bardzo nielubiany jest dyrektor Mertens.

—Za życia pańskiego ojca wszyscy byli zadowoleni, bo pan Ro-denberga uwzględniał potrzeby robotników. Każdy wiedział, że może dochodzić swoich praw. Teraz sarkają, a gdy Mertens obchodzi fabrykę, robotnicy śledzą go nienawistnym wzrokiem. Wszyscy natomiast kochają Janka i marzą o chwili, gdy on stanie się samodzielnym. Ja jednak spodziewam się, że i pan poprowadzi fabrykę w duchu swego ojca!

—Może pan polegać na mnie!

Ralf wyszedł od Ludwika o północy. Umówili się, że będą się komunikować ze sobą. Gdy Ralf wychodził z hotelu, pierś jego uniosła się westchnieniem ulgi.

Następnego ranka Artur Mertens wszedł do gabinetu Ralfa. Janek na zlecenie Ralfa, udał się do kreślarni. Mertens nie zaglądał tam nigdy, więc Ralf pozwolił tam pójść Jankowi.

—No, gdzie jest Janek? — spytał ze słodkim uśmiechem Mertens. — Znowu zasnął? Zdawało mi się wczoraj po północy, że słyszę samochód na szosie. Czy był wczoraj w mieście?

—Nie, panie dyrektorze, o tej porze ja powróciłem wczoraj z miasta. Pojechałem, ale sam. Czy pan dyrektor słyszał samochód?

—Tak, otworzyłem na chwilę okno, bo chciałem wypuścić z pokoju dym cygar. Wtedy usłyszałem z daleka warkot motoru. A więc to był pan? Mała hulanka, co?

Ralf roześmiał się, ale nie zaprzeczył.

— Zdaje się, że Janek stał się znowu solidny. Widzi pan, wyszumiał się, a teraz nabiera rozsądku. Mam wrażenie, że już od dawna nie wyjeżdżał w nocy?

Powiedział to łagodnie i słodko, lecz Ralf zauważył niesamowity błysk jego oczu, ukrytych za szklami binokli. Ralf postanowił, że będzie się miał na baczności.

—W czwartek chce znowu pojechać do miasta, ale sam. Wiem to od szofera — powiedział na pozór spokojnie, lecz obserwując przy tym pilnie Mertensa. Ten ostatni drgnął. Na krótką chwilę znikł z jego ust uśmiech poczciwca. W oczach pojawił się przyczajony wyraz. Później uśmiechnął się nieszczerze i spytał:

—Więc jednak nie jest taki bardzo solidny? W czwartek pragnie znowu wyfrunąć i to bez pana?

—Tak, zdaje się, że nie życzy sobie mego towarzystwa.

Ralf rzeczywiście zamówił na czwartek samochód. Janek miał udawać, że jedzie do miasta, aby sprawić przyjemność Mertensowi. Rzecz oczywista, że Janek nie miał bynajmniej zamiaru pojechać naprawdę. Chodziło tylko o to, by wprowadzić Mertensa na fałszywy trop.

Mertens zaśmiał się teraz, na pozór ubawiony. Twarz jego wykrzywiła się jednak, w oczach pojawił się drapieżny wyraz, który ostrzegał Ralfa. Pragnął ostrożnie wy badać Mertensa i zapytał:

TLR

—O ile mi wiadomo, to finanse pana Janka są znowu w opłakanym stanie. Jeżeli pojedzie w czwartek do miasta, to będzie musiał zaciągnąć u mnie pożyczkę. Czy nie byłoby wskazane, gdybym mu odmówił kredytu?

—Nie, nie! — zawołał gwałtownie Mertens — pozwólmy, żeby się jeszcze bawił przez całą zimę. Później pomówię z nim rozsądnie. Nie może przecież narażać swego zdrowia, takie hulaszczę życie mogłoby mu zaszkodzić. A więc niech mu pan w czwartek da pieniądze.

I Mertens zaczął teraz mówić z Ralfem o sprawach handlowych, udając, że tylko w tym celu przyszedł do jego biura. Ralf doznawał jednak uczucia, iż Mertens pragnął się dowiedzieć, kiedy Janek zamierza pojechać do miasta.

Mertens, odchodząc już, przystanął na progu i spytał od niechcienia:

—Czy Janek jeździ zawsze tą samą taksówką?

—Tak, panie dyrektorze. Samochód czeka zawsze w tym samym miejscu, jak panu wiadomo.

—Pewno podaje ładne rachunczki ten pan szofer! — zaśmiał się Mertens.

—Cóż, darmo nie pojedzie, każe sobie dobrze płacić.

—Domyślałem się. Cóż to za człowiek ten szofer? Spodziewam się, że jest ostrożny podczas jazdy, co?

—Nie, to szalona pałka, bywa niekiedy bardzo lekkomyślny. Jeżeli jedzie ze mną, to staram się go zawsze hamować. Pan Janek natomiast popędza go zawsze, i wtedy jedzie jak wariat.

Ralf nie wiedział sam, dlaczego to mówi. Słowa jego bynajmniej nie były zgodne z prawdą. Szofer był bardzo ostrożnym człowiekiem, nie dałby się namówić na szaloną jazdę. Ralf opowiadał to wszystko, aby powiedzieć cokolwiek. Nie uszło jednak jego uwagi, że w oczach Mertensa pojawił się znowu niesamowity błysk. Gdy wreszcie wyszedł z pokoju, Ralf zamyślił się głęboko.

— To mi zakrawa na jakiś nowy szatański pomysł. Czemu zaczęło go nagle interesować, jak jedzie nasz szofer?

Nie mógł się już pozbyć tej myśli. Gdy Janek nadszedł, powtórzył mu rozmowę z Mertensem.

— Wierzaj mi, Janku, że Mertens ma jakieś nowe plany. Ten złośliwy błysk w jego oczach ostrzega mnie zawsze. Naturalnie, że w czwartek nie

TLR

pojedziesz do miasta. Podejdiesz do samochodu i będziesz udawał wsiadacz. Aha, muszę jeszcze uprzedzić szofera, żeby uważał, czy ktoś nie podkrađa się potajemnie do auta. Może ktoś zechce uszkodzić samochód. Nie mogę się jakoś otrząsnąć z tej myśli, ciągle mi się zdaje, że Mertens zamierza zainscenizować katastrofę samochodową. Janek energicznie skinął głową.

—Tak, powiedziałem ci to już przecież po wypadku w hali maszyn.

—Będę rad, gdy minie kilka następnych dni — powiedział Ralf.

—Czemu właśnie najbliższe dni, Ralfie?

Ralf nie mógł naturalnie zdradzić, że Ludwik Rodenberg niespodziewanie powrócił, powiedział więc tylko:

—Nie wiem, mam tylko wrażenie, że Mertens wymyślił coś na przyszły czwartek. Będziemy się jednak wystrzegali, mój chłopcze, przyrzeknij, że będziesz bardzo ostrożny. W czwartek wieczorem przyjdę również na umówione miejsce, aby czuwać nad twoim bezpieczeństwem. Schowam się już uprzednio w zaroślach i będę uważał.

—Przyrzekam ci największą ostrożność, Ralfie, ale Bóg mi świadkiem, że ta cała sytuacja staje się nie do wytrzymania.

' — Miej jeszcze trochę cierpliwości, może tym razem przyłapiemy Mertensa.

—Ach, jakby to było dobrze pochwycić za gardło tego obłudnego potwora. Mam wrażenie, że walczymy wciąż z jakimś nieuchwytnym wrogiem.

—Odwagi, mój chłopcze! To minie, znacznie prędzej nawet, niż się tego spodziewasz.

Janek spojrzał badawczo na Ralfa. - — Ralfie, zdaje mi się, że ukrywasz coś przede mną. Ralf ujął rękę Janka i spojrzał na niego z powagą.

— Wyczuwasz zawsze, Janku, gdy nie mogę z tobą być szczery. Wiesz jednak, że jeśli coś ukrywam, to czynię to dla twego dobra. Ufaj mi i wierz, jak dotychczas. Za kilka dni, ty i Ewa-Maria, pozbędziecie się troski i niepokoju. Pomagaj mi i bądź podwójnie ostrożny. Za kilka dni przestanie ci grozić niebezpieczeństwo.

Chłopiec uściskał mocno rękę Ralfa.

— O, gdybyś miał rację, Ralfie! Cieszyłbym się bardzo, już choćby ze względu na Ewę-Marię, czuję bowiem, że moja siostra jest ogromnie

TLR

zaniepokojona, lęka się wciąż o mnie. Ty zresztą także, Ralfie. Wy dwoje obawiacie się bardziej, niż ja sam, choć muszę powiedzieć, że i dla mnie nie jest to rozkoszą czuć ciągle obok siebie tego obłudnego zbrodniarza. Tylko w domu, w naszych czterech ścianach mam poczucie zupełnego bezpieczeństwa. To okropne uczucie, mój drogi! \

—Jeszcze tylko parę dni! Cierpliwości Janku! I bądź ostrożny!

—Przyrzekam ci to, Ralfie!

Wieczorem Ralf siedział w swoim pokoju przy oknie. Było tu zupełnie ciemno. Nigdy jeszcze Ralfowi nie było tak ciężko na duszy, nigdy jeszcze nie drżał tak o Janka, jak obecnie. W ostatnich dniach czuł się za niego bardziej odpowiedzialny, niż kiedykolwiek. Myślał o wszystkim, co się wydarzyło wczoraj i dziś.

Ralf miał zwyczaj siadywać w ciemnościach, ilekroć myślał o czymś ważnym. Doznawał wrażenia, że w mroku umysł jego pracuje znacznie lepiej. Łamał sobie głowę nad tym, co Mertens zamierza uczynić w czwartek.

Postanowił ostrzec szofera i powiedzieć mu, aby jechał bardzo powoli i ostrożnie. Mertens na pewno nie cofnie się przed niczym, aby osiągnąć swój cel. Gotów także narazić na niebezpieczeństwo drugie życie ludzkie. Jeżeli jednak przypuszczenia okażą się trafne — jeżeli planuje katastrofę samochodową — w takim razie i szoferowi grozi niebezpieczeństwo. Janek przecież nie wsiądzie do samochodu, natomiast szofer siedzi przy kierownicy. Tak, gdyby się wiedziało na czym polega plan Mertensa!

Ralf rozważał wszelkie możliwości. Wreszcie doszedł do wniosku, że jeżeli Mertens naprawdę pragnie wywołać katastrofę samochodową, to w rachubę wchodziłby tylko ten odcinek jezdni, który prowadził od bocznej bramy fabryki do szosy. Tutaj wieczorem był mały ruch. Tramwaj kursował tylko do jedenastej, niekiedy urzędnicy powracali z miasta samochodami. Samochód, którym Janek rzekomo jeździł do miasta, musiał przejeżdżać po tym właśnie odcinku. Na szosie natomiast był wielki ruch, szosa więc nie mogła odgrywać roli w planach Mertensa.

Jakie są jednak zamiary Mertensa?

Ralf patrzył przez okno, jakby chciał wzrokiem przeniknąć ciemność. Noc była bezgwiezdna, niebo zasnuwane gęstymi chmurami, za którymi skrywał się księżyc. Oczy Ralfa, przyzwyczajone do ciemności, rozróż

TLR

niały jednak kontury budynków i wielkich pieców, które były w ruchu dniem i nocą.

Nagle zauważył coś, co przykuło uwagę. Zauważył słabą, migocącą smugę światła, która płynęła z okna dużej szopy. W szopie tej przechowywano rozmaite materiały. Ralf zdziwił się ogromnie. Skąd wzięło się światło w zamkniętej na klucz szopie? A może się omylił? Nie. W mroku znowu zamigotało światło. A może ktoś przez nieostrożność zaproszył ogień w szopie? A może do fabryki zakradli się złodzieje?

Ralf wstał, wziął swój rewolwer i wyszedł z pokoju. Zszedł po cichu ze schodów, otworzył ostrożnie drzwi Domu Inżynierskiego i równie ostrożnie zamknął je za sobą. Pomimo ciemności ukrywał się za drzewami, zdążając pośpiesznie w kierunku szopy. Zakradł się pod okno, z którego płynęła smuga światła, i zajrzał teraz ostrożnie do wnętrza przez pół ślepe szyby. W tej samej chwili światło zamigotało znowu, błąkało się po całej szopie, w ten sposób jednak, że nie oślepiło Ralfa.

Młody człowiek spostrzegł wreszcie jakąś krepą postać, która szukała czegoś przy pomocy latarki kieszonkowej. Ralf śledził uważnie ruchy tej postaci, która pośród kręgu światła wyglądała jak cień. Spostrzegł, że postać miała na sobie ciemny płaszcz, oraz kapelusz o szerokim rondzie, nasunięty głęboko na czoło. Nie można było rozpoznać twarzy tego człowieka.

Światło latarki błąkało się po całej szopie, a wreszcie spoczęło na spiętrzonych zwojach drucianych lin. Ralf zauważył, że położono z boku na linach latarkę kieszonkową, która teraz oświetliła dwie ręce. Ręce te zaczęły szybko odwijać zwój drucianej liny, w ten sposób, że jedna ręka nawijała linę wkoło przegubu i łokcia drugiej. Później spostrzegł w jednej z rąk obcęgi, które odcięły nawinięty kawałek liny. Ralf zwrócił uwagę, że na ręce tej błyszczał ogromny sygnet, nie były to więc ręce robotnicze. Ralf sądził z początku, że chodzi tu o zwykłą kradzież drucianej liny, teraz jednak przekonał się, że jest inaczej. Człowiek o białych, wypielegnowanych rękach, z wielkim sygnetem na palcu nie miał przecież potrzeby kraść ciemną nocą kawałek liny — chyba, że miał zamiar użyć ją do jakiegoś tajemniczego celu. Widział wyraźnie w mroku te białe, tłuste ręce o krótkich palcach.

Postać w szopie wyprostowała się teraz, schowała drucianą linę pod płaszczyz. Później światło zgasło.

TLR

Ralfa ogarnęło niesamowite uczucie. Kim był ten człowiek w szopie? I w jakim celu ukradł kawałek drucianej liny? Mogło tego być najwyżej jakieś dwadzieścia pięć metrów...

Musi się dowiedzieć kim jest ten człowiek i na co mu ta drucziana lina. Krępa postać, białe tłuste ręce, sygnet na palcu? Ralf mimo woli przypomniał sobie Artura Mertensa. On także miał takie ręce i posiadał pierścień z brylantem, podarunek od zmarłego teścia.

Teraz w Ralfie zbudziła się czujność i energia. Zakradł się wśród ciemności na drugą stronę szopy, tam gdzie znajdowały się drzwi. Tutaj ukrył się za stosem drzewa. Z tego miejsca miał widok na drzwi. Czekał bez ruchu. Wreszcie ktoś ostrożnie otworzył drzwi szopy, przez które wyslizgnęła się ciemna postać mężczyzny.

Zamknął on cicho drzwi i zaczął się uważnie rozglądać wokoło. Ralf wstrzymał oddech, żeby się nie zdradzić. Zobaczył teraz, że człowiek odszedł, starając się ściszyć swoje kroki.

Tymczasem zza chmur wyrzął księżyc i rozjaśnił mrok. Ralf śledził nieznanego. Tak, znał przecież ten chód, te ściszone, skradające się kroki drapieżnego zwierzęcia. Przecież to na pewno Mertens!

Mężczyzna szedł wciąż przed siebie, starając się skrywać w cieniu. Zmierzał w kierunku bocznego wejścia do fabryki.

Co to miało znaczyć? Czemu Mertens wyszedł w nocy z domu, aby jak złodziej zabrać kawałek drucianej liny? Czemu nie uczynił tego otwarcie wśród białego dnia? Po co była mu ta lina? Na pewno zamierza coś złego!

Ralf Bernd, nie namyślając się długo, poszedł w ślad za Arturem Mertensem. Skradał się za nim, starając się również ukrywać w cieniu. Zobaczył, że Mertens wyszedł przez boczną bramę, miał klucz do niej, i na pewno wszedł także tą drogą. Ralf, jak wszyscy inżynierowie, posiadał również klucz do tej bramy. Poczekał chwilę. Mertens wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Wtedy Ralf otworzył je znowu i wysunął się po cichu. Pomimo mroźnej nocy nie czuł zimna. Było mu gorąco z wielkiego zdenerwowania. Bez tchu niemal nadśluchiwał i po chwili usłyszał oddalające się kroki. Ralf podążył w tym właśnie kierunku. Po chwili spostrzegł Mertensa, wychodzącego zza drzew. Ku jego wielkiemu zdumieniu

dyrektor nie zmierzał bynajmniej w kierunku willi Melanii. Ciemna postać w szerokim płaszczu odbijała się wyraźnie na tle

TLR

zasypanej śniegiem drogi. Ralf szedł wciąż za nim, ukrywając się za drzewami i zachowując się jak najciszej.

Mertens szedł teraz brzegiem jezdni, która prowadziła od bocznego wejścia fabryki na główną szosę. Tutaj pościg stał się utrudniony, gdyż cienie drzew nie były już tak ciemne. Ralf zmuszony był przemykać się bezszelestnie od drzewa do drzewa.

Mertens szedł jakieś pięć minut wzdłuż jezdni, po czym zatrzymał się nagle i zaczął się ostrożnie rozglądać wokoło. Ralf, oddalony zaledwie o jakieś piętnaście kroków, ukrył się za pnem wielkiego buka, skąd mógł doskonale widzieć każdy ruch Mertensa. Zbliżył się teraz do wielkiego kopca śniegu, stojącego na uboczu. Tutaj wyjął spod płaszcza drucianą linę i rzucił ją na ziemię. Obiema rękami wykopał w kopcu śniegu głęboką dziurę, włożył do niej zwiniętą drucianą linę, po czym zasypał znowu otwór śniegiem. Mertens musiał poprzednio wiedzieć, że w tym miejscu znajduje się ów kopiec, zapewne upatrzył go sobie na schowek dla liny. A że zabrał potajemnie linę drucianą z szopy więc na pewno nie chciał, aby ktoś wiedział, że ją posiada.

Skończył teraz swoje dzieło, a Ralf usłyszał, że z ust jego dobywa się westchnienie ulgi. Zdjął kapelusz i zaczął chustką ocierać głowę, podobną do okrągłej kuli, na której nie było ani jednego włosa. Zdawało się, że mu jest za gorąco. Ralf ujrzał teraz w jasnym blasku księżyca zupełnie wyraźnie twarz Mertensa.

Dyrektor włożył znowu kapelusz, lecz nie nasunął go już tak głęboko na czoło, jakby teraz nie miał już potrzeby nic ukrywać. Po chwili odszedł w kierunku swego domu.

Ralf przestał go śledzić, bo nie miało to już sensu. Pograżony w zamyśleniu, spoglądał jak urzeczony na kopiec śniegu. Co też Mertens zamierzał uczynić z ukrytą tam, drucianą liną?

Przypomniał sobie swoją rozmowę z Mertensem i nie trudno było odgadnąć, co skłoniło dyrektora do tej nocnej wyprawy. Przyniósł tutaj drucianą linę, aby ją 'w czwartek wieczorem mieć pod ręką. Był przekonany, że tego wieczoru Janek pojedzie samochodem do miasta. Na wszelki wypadek ukrył już dziś linę w śniegu, bo później może nie będzie miał do tego sposobności. Ralf przypuszczał, że

Mertens użyje drucianej liny na zgubę Janka. Jeżeli końce liny przywiąże do dwóch drzew przez całą szerokość drogi, wówczas bardzo łatwo o katastrofę

TLR

samochodową. Miejsce zostało obrane z szatańską przewrotnością, gdyż właśnie tutaj był zakręt. Szofer mógł wcale nie zauważyć cienkiej liny, albo też spostrzec ją za późno, gdy nie będzie już można zahamować auta. Dlatego Mertens interesował się tak bardzo, czy szofer jeździ prędko, czy też powoli. Im szybsze tempo, tym pewniejsza katastrofa i śmierć Janka Dornau'a. Szofer także mógł przy tym zginąć, lecz cóż to obchodziło zbrodniarza, na pół opętanego w swojej żądzy władzy?

Po wypadku Mertens mógłby prędko usunąć linę, zanim tutaj na samotnej drodze ktoś spostrzeże, że stało się nieszczęście. A gdyby nie udało mu się zabrać liny? Wtedy także nic mu się nie stanie. Któżby się ważył posadzić o takie przestępstwo kochającego wuja, który okazuje wielką czułość i względy swemu siostrzeńcowi? W takim wypadku powstałoby przypuszczenie, że chodziło po prostu o cel rabunkowy. Jakiś przestępca przewiązał linę między drzewami, aby napaść na pasażerów w samochodzie i ograbić ich. Takie rzeczy zdarzają się przecież dość często. Mertens potrafiłby na pewno umyć ręce od tej sprawy. Chwała Bogu jednak, że Ralf odkrył uplanowaną zbrodnię, zanim została wykonana. Janek wprawdzie nie pojechałby samochodem, więc nie groziło mu niebezpieczeństwo, natomiast mógł uratować życie szoferowi. No — i tym razem przyłapie in flagranti Mertensa.

Ralf oparł się o drzewo, miotany różnorodnymi uczuciami. Zaprawdę, był to szatański zamach, jaki mógł powstać tylko w głowie Artura Mertensa. Jakież to człowiek! W jakże okrutny sposób zamierzał zgładzić swego niewinnego siostrzeńca! I był przy tym zupełnie pewny swego. Ten plan musiał być już od dawna obmyślony i przygotowany.

— Szatan! Zbrodniczy szatan! — wykrztusił Ralf. Postacią jego wstrząsnął nagły dreszcz. Teraz dopiero spostrzegł, że wybiegł z domu w cienkiej marynarce. Poczul chłód. Szybko powrócił do swego mieszkania. Tutaj padł na fotel i zaczął się zastanawiać, co uczynić, aby tym razem przyłapać Mertensa, a przede wszystkim, aby nie doszło do „katastrofy samochodowej”

Rozważywszy wszystko dokładnie, wstał, bardzo zadowolony, i udał się na spoczynek. Poprzednio napisał jeszcze kilka słów do „senhora Yanzity”. Poprosił, aby Ludwik nazajutrz wieczorem czekał na niego

w hotelu, ponieważ musi mu zakomunikować coś niezmiernie ważnego. Liścik ten postanowił jutro posłać do miasta przez gońca.

*

Ralf na razie nie powiedział Jankowi ani słowa o swoim odkryciu. Poprosił go tylko, aby w żadnym razie w czwartek wieczorem nie wsiadał do samochodu. Zanim Ralf udał się do Ludwika odszukał jeszcze w mieście szofera, który zawsze zajeżdżał przed boczną bramę fabryki. Powiedział mu, żeby czekał znowu w czwartek wieczorem, lecz w żadnym razie nie ruszał z miejsca. On sam nadjedzie trochę później i powie mu, kiedy ma odjechać do miasta.

Szofer obiecał spełnić to życzenie, to też Ralf odszedł uspokojony. Póki Mertens nie ujrzy jadącego samochodu, w którym, jak sądził, siedzi Janek — temu ostatniemu nie może grozić żadne niebezpieczeństwo.

Ludwik powitał Ralfa serdecznym uściskiem ręki. W ciągu tych kilku dni zaciągnął o nim informacji i otrzymał o Ralfie jak najlepszą opinię. Zgadzało się to z wrażeniem, jakie wywarł na nim młody inżynier.

Ralf ze zwykłym sobie spokojem i powagą opowiedział Ludwikowi, co uważał wczoraj wieczorem i jakie wyciąga z tego wnioski. Ludwik słuchał z napięciem, po czym groźnie zmarszczył czoło.

—Jeżeli to wszystko ma taki związek, jak pan przypuszcza i w co, zresztą, ja sam także nie wątpię — w takim razie, doprawdy wielki czas, żeby związać ręce Mertensowi — powiedział.

—Musimy go przyłapać, proszę pana! — zawołał Ralf w podnieceniu.

— Ale jak?

— Dość długo łamałem sobie nad tym głowę, teraz jednak mam gotowy plan. Tym razem nie pomogą mu żadne wykręty.

I Ralf opowiedział Ludwikowi, co obmyślił, żeby pochwycić Mertensa.

— Liczę na pański współudział w tej sprawie — zakończył swoją relację. — Gdybym zajął się tym sam, Mertens na pewno usiłowałby się wykręcić z tej afery. Janek również nie wystarczy jako świadek, a obcego człowieka nie chciałbym do tego mieszać, aby uniknąć skandalu. Ze

TLR

względu na pańską siostrę i na nazwisko Rodenbergów, sprawa ta nie powinna dostać się pod pręgierz opinii publicznej. Twarz Ludwika wyrażała żelazną konsekwencję.

—Zupełnie słusznie, załatwimy to sami z Mertensem. Wszystko musi pozostać między nami, choć w tym wypadku oszczędzanie przestępcy nie będzie właściwe. Naturalnie, pomogę panu, może pan polegać na mnie. Teraz już czas, żebym zaczął działać. Jestem pewny, że gdybym się nagle zjawił, Mertens nie wykonałby swego zbrodniczego zamierzenia, takich ludzi jednak należy osadzić. Dlatego też wykonamy pański plan, który uważam za bardzo dobry.

—Cieszę się bardzo, że będę miał pana jako świadka. Zobaczy pan sam, że Mertens jest gładki jak wąż. Tym razem jednak nic mu to nie pomoże, przyłapiemy go, a później zmusimy go do rozmaitych zeznań. Wyobrażam to sobie w ten sposób...

I Ralf objaśnił Ludwikowi, do czego należy zobowiązać Mertensa i jak zmusić go do tego. Ludwik potakująco skinął głową.

— Pański plan jest dobry, bardzo dobry. W ten sposób pochwycimy go w jego własne sidła. O Boże, moja biedna siostra! Jeżeli jej mąż jest naprawdę takim potworem, a nie można wątpić w to — w takim razie żałuję jej całym sercem. A jego dzieci? Niech Bóg broni, aby miały odziedziczyć charakter swego ojca!

Ralf wzruszył ramionami.

—Nigdy nie wiadomo co drzemie w człowieku, dopóki jego wszystkie instynkty nie utorują sobie drogi. Sądzę jednak, że ani panna Jolanta, ani pan Egon nie byliby zdolni do popełnienia zbrodni. Wyrosli w dostatku, zapewne do końca życia będą wolni od trosk i kłopotów, a poza tym uważam ich oboje za ludzi bardzo płytkich w dobrym czy złym. Nie mają skłonności do wielkich uczuć. Nie są jednak źli, najwyżej trochę złośliwi.

—Moja biedna siostra! Więc i u dzieci nie znajdzie także pociechy! — rzekł Ludwik, głęboko zasmucony.

Obydwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w głębokim milczeniu. Następnie omówili szczegółowo plan Ralfa. Wreszcie młody inżynier pożegnał się z Ludwikiem. Pojechał tramwajem do ostatniego przystanku, pozostałą część drogi

odbył pieszo. Przekonał się, że wielki kopiec śniegu stoi nieporuszony, pozostanie tu na pewno aż do odwilży. Byłby

TLR

się chętnie przekonał, czy drucziana lina pozostała ukryta w śniegu, lecz wolał przejść obok kopca, udając, że nic nie wie o jego zawartości.

Był bardzo niespokojny. Czy też jego podejrzenia okażą się słuszne? Jeżeli okaże się, że się omylił — wówczas Ludwik Rodenberg będzie mógł uważać go za oszczercę. Ryzykował bardzo wiele od chwili, gdy powiedział pierwsze słowo Ludwikowi. Nie miał przecież dowodów. Wszystko to były tylko przypuszczenia. Miał niezłomne przekonanie, że Mertens godzi na życie Janka, ale nie mógł tego dowieść. Ogarnęła go nagle trwoga, po chwili jednak uspokoił się i podniósł dumnie głowę. Uczynił wszystko, aby uchronić Janka, aby zapobiec zbrodni, o ile taka została uplanowana. To powinno mu wystarczyć. Mniejsza o to, co się stanie jutro wieczorem — przecież Ludwik Rodenberg żyje, powrócił, a jutro odwiedzi już swoich krewnych.

Z chwilą, gdy pojawi się, jako prawy dziedzic fabryki Rodenbergów — Jan-kowi przestanie grozić niebezpieczeństwo. A wtedy Ewa-Maria odzyska spokój. Jego ukochana Ewa-Maria! Myśli Ralfa pobiegły ku niej z utęsknieniem!

Jolanta w ostatnich czasach była w złym humorze. Dziś także, w czwartek rano, siedziała dość skwaszona naprzeciwko swoich rodziców przy śniadaniu. Ojciec zdawał się również być w niedobrym nastroju, był zdenerwowany i krytykował wszystko. Odpowiadał niechętnie na pytania swej żony, a wreszcie poprosił, aby mu dała spokój, bo czuje się dobrze, lecz miał przykrości w fabryce.

— Pewno masz znowu kłopoty z Jankiem? — spytała pani Melania.

— Ależ nie, bynajmniej, Melanio. Janek ostatnio ustatkował się, sprawia mi pociechę. Cieszę się, że mogę ci to powiedzieć, bo cierpiałbym nad tym, gdyby chłopiec wreszcie nie nabrał rozumu. Przecież kocham tego chłopca i nie chciałbym, aby się zmarnował.

Pani Melania ucieszyła się serdecznie z tej wiadomości. Ona lękała się bardzo o Janka. Jolanta natomiast spojrzała z lekkim zdziwieniem na ojca, jego nagła miłość dla Janka wydawała się jej podejrzaną.

?*_

TLR

— Co się stało, że mój stary mówi z taką czułością o moim kuzynie? — pomyślała i wypowiedziała jakąś uszczypliwą uwagę na ten temat. Wtedy Mertens wybuchnął złością i oświadczył, że córka zachowuje się niemożliwie. Nie tylko w stosunku do rodziców używa tego tonu, ale także wobec inżyniera Bernda. I w ogóle dlaczego ta cała sprawa z Berndem trwa tak długo? Powinien się już oświadczyć, takie zwlekanie nie ma sensu.

Jolanta pozostawiła rodziców w mniemaniu, że ona sama postanowi, kiedy Ralf ma oświadczyć się o jej rękę. Pytanie ojca rozzłościło ją i oznajmiła z gniewem:

— Rozmyślałam się, ojcze, widzę, że nie pasujemy do siebie. Bernd ma przerażliwie przestarzałe poglądy, jest nudny, nie chcę go wcale!

Ojciec spojrział na nią, skonsternowany.

— Nie chcesz go? Teraz go nie chcesz? Przecież całym swoim zachowaniem musiałaś obudzić w jego sercu nadzieję? To naprawdę za wiele!

— Czego się denerwujesz, ojcze? Przecież z początku ty sam nie chciałeś się zgodzić, żebym wyszła za niego. Doszłam do wniosku, że miałeś słuszność i rzecz skończona!

— Wcale nie skończona! Dość mam twoich kaprysów! Najpierw powiadasz, że go chcesz, męczysz mnie o pozwolenie, wreszcie zgadzam się, zapraszam go do domu, a ty nagle rozmyślałaś się. Przecież Bernd zrozumiał, że pozwalam mu starać się o ciebie. A teraz wiatr powiał w inną stronę? W jakim świetle wystawię się teraz? To niesłychane, że dla jakiegoś kaprysu zmieniłaś twoje postępowanie!

Jolanta zerwała się i zaczęła nerwowo szarpać chusteczkę.

— Wobec tego powiem ci prawdę, abyś nie myślał, że to kaprys z mojej strony. A więc omyliłam się, Bernd wcale nie miał zamiaru starać się o mnie. Opowiedział mi w niedzielę, że nie był już wolny, gdy zaczął pracować w fabryce. Teraz już wiesz, czemu się rozmyślałam. Nie mogę przecież narzucać się Berndowi, skoro mnie nie chce!

I płacząc ze złości, Jolanta poszła do swego pokoju. Mertens osłupiał. To, co usłyszał, było dla niego zbyt nieoczekiwane. Więc Bernd nie chciał wcale zostać jego zięciem, zależało mu tylko na wysokim stanowisku w fabryce? Mniejsza o

to! Czy jednak nie powiedział mu za wiele? Nie, nie! — uspokoił się Mertens.
Zachował dostateczną ostroż-

TLR

ność. Jak to dobrze, że ostatnio zaznaczył wobec Ralfa, że kocha Janka jak syna. Należy się teraz mieć na baczności, ponieważ Bernd nie wejdzie do rodziny.

Wiadomość ta nie wpłynęła dodatnio na humor Mertensa. A gdy w dodatku żona zaczęła się żalić, że Jolanta zachowywała się zbyt wyzywająco w stosunku do Ralfa — Mertens krzyknął gniewnie:

— Załatwiajcie sobie same wasze babskie sprawy! Ja mam inne kłopoty na głowie! Wychowuj lepiej twoje dzieci, droga Melanio, to moja jedyna rada. Do widzenia!

Pani Melania po odejściu męża udała się do Jolanty. Ostatecznie Jo lubiła bardzo inżyniera Bernda, na pewno doznała rozczarowania, jest przecież młodą dziewczyną, chociaż wciąż opowiada o swoim nowoczesnym światopoglądzie. Dobra matka pragnęła pocieszyć córkę.

Nie zastała jednak Jolanty, a służąca powiedziała, że panienka poszła odwiedzić pannę Dornau.

Jolanta szybkim krokiem szła przez las. Potrzeba jej było kogoś, na kim mogłaby wyładować swój zły humor. Nie widziała już od niedzieli swojej kuzynki i nie miała sposobności zawiadomić jej, że inżynier Bernd jest zaręczony z inną. Wiedziała, że sprawi jej przykrość. Ewa-Maria udawała obojętną, lecz Jolanta czuła, że jej kuzynka kocha Ralfa.

Zastała Ewę-Marię w jej małym saloniku. Zajęta była porządkowaniem nut. Powitała Jolantę bardzo serdecznie i spytała, co ją sprowadza o tak wczesnej porze.

— Ach, właściwie zły humor ojca, przed którym uciekłam. Ojciec był dziś bardzo zdenerwowany i nieznośny. Ach, Ewo-Mario, ty wcale nie wiesz, jak ci jest dobrze. Nie potrzebujesz znosić cudzych kaprysów.

Ewa-Maria spojrzała na nią z powagą.

— Ach, Jo. Jakże chętnie znosiłabym wszystkie kaprysy, gdybym mogła mieć rodziców!

Jolanta wzruszyła ramionami.

—Dlaczego właściwie nie wyjeżdżasz nigdzie na narty Ewo-Mario? Przecież tobie nikt nie może zabronić tego.

—Nie, Jo, ale cóż bym poczęła sama na szerokim świecie? W domu mogę także uprawiać sporty. Nie chcę się rozłączać z moim bratem.

Jolanta ze zdumieniem potrząsnęła głową.

10 **Dziedzic-
two Rodenber-
gów**

.--
145

> T

TLR

—Dziwna z ciebie dziewczyna! Cóż by mnie obchodziła rozłąka z bratem? Przecież Janek nie jest dzieckiem w powijkach.

—Ty także wydajesz mi się niekiedy dziwna, droga Jo. Mamy zupełnie inną naturę.

—Chwała Bogu! Nie chciałabym być taką cnotliwą i nudną, jak ty. Powiedz mi, zdaje się, że inżynier Bernd bywa u was ostatnio dosyć często?

Jolanta stwierdziła z zadowoleniem, że Ewa-Maria zarumieniła się przy tym pytaniu.

—Owszem, Janek lubi z nim rozmawiać.

—A kiedy był tutaj ostatnim razem?

—W niedzielę wieczorem, gdy powracał od was. Spotkaliśmy go przypadkiem, a Janek poprosił, aby wstąpił do nas na godzinkę.

—A ty byłaś z tego naturalnie bardzo niezadowolona? — zadrwiła Jolanta.

Ewa-Maria zmusiła się do spokoju.

—Nie, dlaczego, Jo? Jest przecież bardzo miłym towarzyszem.

—Nie uważam. Ma ogromnie przestarzałe poglądy. , — Wobec tego, zmieniłaś o nim zdanie.

—Zupełnie! Traci bardzo przy bliższej znajomości. Jest nudnym filistrem i właściwie byłby odpowiednim mężem dla ciebie. Nie łudź się jednak nadzieją, bo dowiedziałam się, że jego serce nie jest już wolne.

Oczy Jolanty zabłyśły złośliwie, a Ewa-Maria spłonęła rumieńcem. Wiedziała, że kuzynka pragnie jej dokuczyć tą wiadomością. Dzięki wyznaniu Ralfa mogła spokojnie słuchać dalej i rzekła z uśmiechem.

— Wiem o tym już od dawna, Jo. • Jolanta wybuchnęła gniewem.

—Wiedziałaś o tym i nie ostrzegłaś mnie? Przecież ci powiedziałam, że pragnę wyjść za niego!

—Wtedy nie wiedziałam jeszcze na pewno, a poza tym nie uwierzyłabyś mi.

—Uważam, że nie postąpiłaś jak dobra krewna. Powinnaś była powiedzieć mi o tym.

Ewa-Maria spojrzała z powagą na kuzynkę.

— Pomówmy otwarcie, Jo. Czy ty postępujesz zawsze jak dobra

TLR

krewna? Jak sądzisz? A poza tym była to przecież tajemnica inżyniera Bern-
da, nie mogłam jej zdradzić.

—Być może, iż nie postąpiłabym inaczej, ale też ja nie przechwalam się nig-
dy moimi cnotami.

—Ja także tego nie robię. To tylko ty wyśmiewasz się zawsze z moich cnót.

—W każdym razie, jestem bardzo zdumiona. Nie przypuszczałam, iż znie-
siesz spokojnie myśl, że inżynier Bernd kocha inną. Przyznaj się, byłaś w nim
zadurzona po uszy. Wiem o tym na pewno.

—Tak? Wiedziałaś o tym?

—Naturalnie! Dlatego właśnie bawiło mnie to i chciałam go zdobyć dla sie-
bie.

Na ustach Ewy-Marii ukazał się uśmiech.

—W ten sposób nie postępuje także dobra krewna. Ale jesteś przynajmniej
szczerą.

—Nie znoszę tego czułościowego zakłamania. Uczciwość jest znacznie wy-
godniejsza.

o ■— Czy naprawdę jesteś zawsze uczciwa?

Jolanta zaczęła się śmiać. ' — No, nie. Niekiedy dobre kłamstwo bywa wy-
godniejsze.

Ewa-Maria poczuła do Jolanty ogromną litość. Wstała i zbliżyła się do ku-
zynki. Gładząc łagodnie ręką jej włosy, powiedziała z właściwą sobie dobrocią:

— Biedna Jo! Zdaje mi się, że dręczysz się ogromnie twoim nowoczesnym
światopoglądem. W gruncie rzeczy jesteś prawdopodobnie o wiele lepsza, niż
wmawiasz to ludziom. Kokietujesz, co mogłoby wyglądać na uczucie. Powinnaś
być bardzo zadowolona, że inżynier Bernd nie jest wolny. Gdybyś wyszła za nie-
go za mąż, nie byłabyś szczęśliwa.

Te dobrotliwe słowa wprawiły Jolantę w lekkie zmieszanie.

—Dlaczego? — spytała, broniąc się przed tym uczuciem.

—Dlatego, że nie kochasz.

—Ach, zostaw te głupie sentymenty! Cóż to jest miłość? Tylko złudzenie.

—Nie, Jo, miłość to uczucie wielkie, piękne i podniosłe. Życzę ci, abyś kiedyś pokochała całym sercem jakiegoś człowieka i abyś pozyskała jego wzajemność. Żeby kochał ciebie! Tylko ciebie, a nie doskonałą

10'

147

TLR

partię. Wierzaj mi, że zmieniłabyś się wtedy, droga Jo. Stałabyś się szczęśliwą, a tym samym i lepszą. Wyzbyłabyś się wszystkich głupstw, a także twojej chłodnej trzeźwości. I byłabyś bardzo zadowolona, że tak jest i że możesz kochać i być kochaną!

Ewa-Maria wypowiedziała to tak serdecznie i poważnie, że Jolanta przez chwilę patrzyła na nią bez słowa. Nagle jednak zerwała się, jakby w obronie przed tym szlachetniejszym uczuciem, jakie ją nagle opanowało.

—Ach, Ewo-Mario, mnie się zdaje, że ja nie potrafię nigdy tak zakochać się!

—Nie zakochać, lecz kochać — całym sercem, kochać całym sercem, kochać!

—Takiej miłości wcale nie ma. Przypatrz się tym wszystkim małżeństwom, zawartym z tak zwanej miłości... Kłamstwo po pewnym czasie wychodzi na jaw. Weź na przykład małżeństwo moich rodziców. Podobno miało to być małżeństwo z miłości. Mama dziś jeszcze w to wierzy. A czymże jest ta miłość? Mama co prawda ubóstwia ojca wciąż jeszcze — po prostu z przyzwyczajenia, bo chce wierzyć w swoją miłość. Ale ojciec? Bądźmy szczerze, Ewo-Mario, mój ojciec odgrywa nędzną komedię, gdy zapewnia wciąż mamę o swoim przywiązaniu. Kocha tylko siebie, po za tym nikogo, nawet i nas nie kocha. Udaje, aby zachować mamie jej złudzenia, a raczej aby w ten sposób panować nad nią. Ja już od lat odczuwam, że to wszystko jest udane. Czemu ludzie dręczą się takimi kłamstwami? Gdyby byli uczciwi, powiedzieliby sobie: chcemy połączyć nasze interesy i spróbujemy żyć w zgodzie. Czy to nie byłoby znacznie rozsądniejsze?

—Biedna Jo, jakże mi ciebie żal! Małżeństwo twoich rodziców nie było dla ciebie dobrym przykładem. To wpłynęło na ciebie. Życzę ci, aby twoje własne małżeństwo przekonało cię, że można być bardzo szczęśliwą, gdy się kocha.

Jolanta odgarnęła włosy z czoła.

—Niestety, mam bystre oczy i widzę życie takim, jakim jest. Zazdroszczę ci po prostu tej twojej wiary w miłość. Powiedz szczerze, czy kochałaś inżyniera Bernda?

Twarz Ewy-Marii powlokła się ciemnym rumieńcem. Podniosła jednak odważnie wzrok i patrząc kuzynce w oczy, odpowiedziała:

—Tak!

—I co teraz powiesz?

—Miłość ta zawsze będzie wypełniać moje serce. Mniejsza o to, czy pan Bernd odwzajemniłby to uczucie, czy też nie: za nic nie chciałabym się wyrzec mojej miłości.

Jolanta potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

—Nie pojmuję tego! Ja także lubiłam go bardzo, ale z chwilą, gdy się dowiedziałam, że kocha inną, skończyłam z nim raz na zawsze.

—Dlatego, że nie kochałaś go nigdy.

—Zdaje się, że wcale nie umiem kochać, tak jak ty to rozumiesz.

—Nauczysz się, gdy się zjawi właściwy człowiek.

Jolanta zamyśliła się głęboko i przez chwilę spoglądała w milczeniu na Ewę-Marię. Później wzruszyła ramionami.

— Zapewne nigdy nie spotkam takiego właściwego człowieka. Wszyscy mężczyźni, których poznałam, nie podobali mi się wcale. Najbardziej interesującym wydawał mi się jeszcze inżynier Bernd. Mimo to serce nie pękło mi z bólu, gdy się dowiedziałam, że kocha inną. Jak to dobrze, że nie kochałam go naprawdę, tak, jak ty to rozumiesz. Ty musisz być przecież okropnie nieszczęśliwa z tą nieodwzajemnioną miłością w sercu.

Ewa-Maria odwróciła się.

—Odpowiem ci na to kiedyś, Jo, w tej chwili nie mogę.

—O, ja mogę poczekać. Ale teraz pójdę już do domu. Prawdę mówiąc, przyszłam tylko po to, żeby ci przekazać tę wiadomość. Byłam bardzo zła i chciałam cię także rozgniewać. Podzielony smutek jest połową smutku. Nie chcę cię dziś okłamywać, bo byłaś dla mnie taka dobra.

—Szkoda tej dobroci, która w tobie drzemie, Jo. Chciałabym żebyś zawsze była taka uczciwa, jak dziś.

Jolanta roześmiała się.

—Nie wiem, czy byłoby to zawsze tak dobrze.

—Ja jednak mam nadzieję, że zbliżymy się w przyszłości do siebie. Jestem pewna, że prędzej czy później pozbędziesz się twego nowoczesnego światopoglądu, oby to nastąpiło jak najprędzej.

—Mówisz zupełnie, jak mama. Masz zapatrywania, jak stara babcia, nie idziesz wcale z postępem. A więc—do widzenia! Zobaczymy się wkrótce! .

TLR

I nagle Jolanta pocałowała Ewę-Marię, po czym szybko wyszła. W jej ciemnych oczach pojawił się wyraz dziwnej zadumy, jakiego Ewa-Maria nigdy dotąd nie widziała u kuzynki.

Jolanta w zamyśleniu odbyła powrotną drogę. Słowa Ewy-Marii stanowczo wywarły na niej wrażenie. A w duchu mówiła sobie, że to jednak musi być bardzo przyjemnie, gdy się ma człowieka, którego się całym sercem kocha.

■ • ■ ■ ■ • . . ■ * . , i

Ralf był dziś ogromnie roztargniony i niespokojny. Nie odpowiadał wcale na pytania Janka. Janek wiedział, że poprzednio Mertens był w biurze u Ralfa. Idąc tutaj spotkał Mertensa, który skinął mu głową ze słodkim uśmiechem. Ralf nie wspominał mu jednak nic o odwiedzinach Mertensa, toteż Janek milczał.

Dyrektor Mertens rzeczywiście był rano u Ralfa. Mówił z nim znowu

O Janku, przy czym wyrażał się o nim jak najlepiej. Ralf zdawał sobie sprawę, że czyni to umyślnie, aby zadokumentować swoją miłość dla siostrzeńca. Gdyby Jankowi zdarzyło się coś złego, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że jego wuj nienawidził go. Nikt nie powinien był wątpić w to, że wypadek siostrzeńca zmartwił go bardzo.

Mertens nie przeczuwał, że Ralf przejrzał go na wskroś i że wie dokładnie o jego zbrodniczych planach. Żegnając się z Ralfem, powiedział:

—A więc, drogi panie inżynierze, niech pan dziś raz jeszcze zaopatrzy w mamonę naszego szalawile. Czy prosił już pana o pożyczkę?

—Tak, panie dyrektorze. Powiedział mi zupełnie otwarcie, że pragnie dziś wieczorem o dziesiątej pojechać sam do miasta. Prosił, abym się nie gniewał na niego, umówił się bowiem z jakąś panią, a w takich razach trzecia osoba przeszkadza.

Mertens roześmiał się.

— A to hultaj! Ale nie należy mu przeszkadzać. Najdzielniejsi

I najlepsi ludzie to właśnie tacy, którzy wyszumieli się w młodości. Spodziewam się, że Janek będzie w przyszłości doskonałym szefem fabryki. A będzie to miał tylko nam dwóm do zawdzięczenia. Postaram

TLR

się w każdym razie, aby pan otrzymał wkrótce awans. Tylko niech pan nie mówi Jankowi, że ja się pobłażliwie zapatruję na te sprawy. Na razie powinien mieć szacunek do opiekuna.

Uśmiechając się nieszczercze, podał Ralfowi swoją mięsistą rękę, na której i teraz połyskiwał wielki soliter.

Rafał z głęboką odrazą ujął jego rękę. Później zamyślił się głęboko i trwał jeszcze w swej zadumie, gdy nadszedł Janek. Ralf wiedział już teraz, że Mertens dziś wieczorem wykonałby swój zbrodniczy zamach, gdyby on i Ludwik Rodenberg nie przeszkodzili mu w jego zamiarach.

Cały dzień minął spokojnie. Pod wieczór Ralf powiedział do Janka:

—Teraz posłuchaj, mój drogi chłopcze! Dziś o dziesiątej wieczorem udasz się jak zazwyczaj w to miejsce, gdzie zwykle zatrzymuje się samochód. Nie wsiądziesz do auta, lecz także nie odejdziesz. Ukryjesz się w zaroślach i będziesz czekał. Nie wiesz, czy Fryderyk pójdzie cię śledzić?

—Nie, Ralfie! Fryderyk poprosił wczoraj, aby go zwolnić na dwa dni. Podobno chciał pojechać na wesele do swojej siostry.

Ralf pomyślał, że za tym zwolnieniem ukrywa się na pewno Mertens. Prawdopodobnie wolał, aby dziś wieczorem nie było Fryderyka. Nie chciał mieć świadków, gdy zdarzy się „nieszczęście”. Ralf nie podzielił się z Jankiem swoim podejrzeniem, lecz ciągnął dalej:

— A więc będziesz czekał tak długo, aż usłyszysz gwizdanie.

I Ralf wyjął z kieszeni mały srebrny gwizdek, którego używał, gdy miewał nadzór nad robotnikami i chciał im dać jakiś znak. Przyłożył go do ust i zagwizdał. Janek spojrzał zdumiony na przyjaciela.

—Więc co będzie, gdy usłyszę gwizdanie?

—Wtedy natychmiast ruszysz z miejsca i pobiegiesz ulicą, która prowadzi do głównej szosy, w tym kierunku, skąd usłyszysz gwizd. Uważaj jednak, żebyś nie pobiegł wcześniej, zanim usłyszysz mój znak. Pamiętaj o tym, Janku! Gdy usłyszysz mój sygnał, odpowiesz mi głośnym okrzykiem i pobiegiesz, jak ci powiedziałem. Czy zrozumiałeś?

—Tak, Ralfie.

—Daj mi słowo, że zastosujesz się dokładnie do moich wskazówek. Janek spojrzał na niego z niepokojem, lecz nie pytał o nic.

—Dobrze, Ralfie, daję ci słowo.

TLR

Uścisnęli sobie dłonie. Po chwili Ralf powiedział z tkliwością:

—Pozdrów ode mnie Ewę-Marię. Powiedz jej w moim imieniu, żeby nie kładła się dzisiaj spać, zanim ty nie powrócisz do domu. Prawdopodobnie wstąpię z tobą na górę, bo chciałbym pomówić z Ewą-Marią.

—Powtórzę to, Ralfie.

—Dobrze, mój drogi chłopcze, a teraz idź już do domu. Gdy Bóg zechce, będziesz już jutro miał lekkie serce, a Ewa-Maria także.

—Ralfie — powiedział Janek, zatroskany — powiedz mi tylko jedno: czy nie narażasz się dla mnie na żadne niebezpieczeństwo? Czuję, że masz jakieś specjalne plany. Czy nie lepiej, żebym pozostał w pobliżu? Pragnę tylko wiedzieć, czy nie potrzebuję się obawiać o ciebie.

—Możesz być spokojny, Janku. Daję ci słowo, że cię zawołam w razie potrzeby. Szofer także otrzymał instrukcje. Najlepiej nie mów z nim wcale o tej sprawie. Niech to zostanie między nami.

Uścisnęli sobie ręce i rozstali się. Janek poszedł do domu, a Ralf do swego mieszkania. Odświeżył się tam, przebrał i poszedł do kasyna na kolację. Niepokój jego wzrastał z minuty na minutę. Kilku panów, którzy siedzieli z nim przy stoliku, żartowało z jego roztargnienia. Przeprosił ich, a natychmiast po zjedzeniu wstał i pożegnał się. W szatni wziął swój płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie, jakiego zwykle nie używał. Nasunął go głęboko na czoło i podążył w kierunku bocznego wyjścia. Rozglądał się ostrożnie wokoło. Nie było żywej duszy. Zbliżył się do grupy jodeł i po cichu zagwizdał. W tej samej chwili pomiędzy drzew wysunęła się wysoka postać mężczyzny.

Niebo było znowu zasnute chmurami. Obydwaj mężczyźni jednak, pomimo ciemności poznali się i uścisnęli sobie ręce.

— Jestem! — szepnął Ludwik Rodenberg.

Obydwaj ruszyli przed siebie, starając się zachowywać jak najciszej. Skrywając się w cieniu drzew, rozglądali się wokoło. Wreszcie Ralf zatrzymał Ludwika i wskazał mu ręką wielki kopiec śniegu, oddalony zaledwie o kilka kroków od nich, a znajdujący się z boku jezdni. Ludwik skinął głową na znak, że rozumie.

Zaczęli się obydwaj rozglądać za jakąś kryjówką i zdecydowali się wreszcie na zarośla na skraju lasu.

Ostrożnie przedzierali się przez gąszcz. Z gałęzi opadło na nich trochę śniegu.

-IK?

TLR

Kryjówka ta była doskonała. Mogli stąd obserwować odcinek jezdni, zasypanej śniegiem, drzewa, po obu stronach szosy, a także kopiec stojący w pobliżu. Ich samych nikt nie mógł dojrzeć w tych ciemnościach.

Ralf wyjął zegarek i spojrzął na świecący cyferblat. Było piętnaście minut po dziewiątej.

— Będziemy czekać jakieś pół godziny — rzekł Ralf — gdyż według moich obliczeń musi tu najpierw przyjechać samochód z miasta. Wtedy Mertens natychmiast przystąpi do dzieła. Umyślnie kazałem szoferowi przyjechać nieco wcześniej, niż zazwyczaj, aby Mertens wiedział, że ma czas. Wie, że Janek przed dziesiątą nie wsiądzie do samochodu.

—Dobrze, poczekamy.

—Czy pan ma wszystko?

—Wszystko, tak, jak zostało umówione. A pan?

—Naturalnie.

. — Czy tylko Janek nie sprawi nam zawodu? v* — Wykluczone! Zrobi wszystko według moich wskazówek. Cicho! Czy pan widzi? Tam, naprzeciwno?

Obydwaj panowie wlepili wzrok w las, gdzie Ralf spostrzegł jakiś poruszający się cień. Ludwik również zauważył zbliżającego się człowieka, który ostrożnie krył się w cieniu.

— Mam nadzieję, że nie zechce się schować w naszych zaroślach — szepnął Ralf, zdenerwowany.

— Cicho! — odparł szeptem Ludwik.

Trwali teraz w bezruchu, nie śmieli prawie oddychać. Cień przybliżył się, zmierzając wyraźnie w kierunku kopca. Teraz był już tak blisko, że obydwaj mężczyźni mogli wyraźnie rozpoznać krępa postać, otuloną szerokim, czarnym płaszczem. Twarz była nakryta kapeluszem o szerokim rondzie. Bezwiednie ujęli się za ręce, drżąc z podniecenia. Przekonawszy się, że wszędzie jest cicho, postać prześlizgnęła się do kopca, zaczęła odgarniać śnieg i wydobyła zwiniętą drucianą linę.

Serce Ralfa waliło jak młotem. Ścisnął mocno dłoń Ludwika Roden-berga, a ten odpowiedział na ten uścisk.

Mertens nie miał pojęcia, że jest śledzony. Otrząsnął śnieg, schował zwój liny pod płaszcz, a następnie zasypał starannie otwór w kopcu. Tym razem miał na rękach grube rękawiczki. Później przekradł się cicho

TLR

w głąb lasu swoim krokiem drapieżnego zwierzęcia, znanym tak dobrze Ralfowi. Przesunął się tuż obok zarośli, w których ukryli się spiskowcy. Zdawało im się, że Mertens obierze sobie tę kryjówkę, na szczęście jednak minął ją i ukrył się o kilka kroków dalej, za grubym pniem jakiegoś drzewa.

Tak upłynęło kilka minut, które Ralfowi i Ludwikowi wydawały się wiekiem. Nie ruszali się. Wreszcie usłyszeli warkot motoru. Ziemia lekko zadrżała. Na jezdni zamajaczyła smuga światła z lamp samochodowych. W świetle tym ujrzeli bladą twarz Mertensa, wychylającego się ostrożnie zza drzewa. Ralf widział go zupełnie wyraźnie.

Szofer nie mógł w żaden sposób dostrzec Mertensa, nawet gdyby spojrzął w jego stronę. Mężczyźni widzieli go tylko dlatego, że stali do niego bokiem.

Teraz samochód przejechał, światło lamp zniknęło za zakrętem. Wtedy to w ciemną postać, ukrytą za drzewem, wstąpiło nagle życie. Zręcznie jak kot pośpieszył Mertens przez jezdnię, wyjmując już w biegu linę drucianą spod płaszcza. Podeszedł do jednego z drzew przy szosie i przywiązał do pnia koniec liny. Ludwik i Ralf nie mogli dojrzeć dokładnie co robi, widzieli tylko jego ruchy. Po kilku minutach lina została umocowana z jednej strony. Mertens powrócił na przeciwną stronę, ciągnąc za sobą linę. W pobliżu kryjówki obu panów zbliżył się do innego drzewa i zaczął na jego pień nawijać drugi koniec liny, podciągając ją ku sobie, aby mocno naprężona ciągnęła się w poprzek jezdni. Dyszał ciężko przy tej pracy. Kilkakrotnie owinał linę wokoło pnia, a pozostały jej kawałek przytwierdził do następnego drzewa, aby trzymała mocno. Druciana lina, napięta jak struna, ciągnęła się przez całą szerokość jezdni na wysokości pół metra nad ziemią.

Właśnie, gdy skończył zadanie, obydwaj panowie wyskoczyli ze swej kryjówki, a każdy z nich mocnym chwytem ujął ramię obezwładnionego ze strachu Mertensa. Ralf zabrał ze sobą mocny powróż, którym spętano ręce Mertensa. Następnie przywiązano końce powrozu do tego samego drzewa, do którego była przymocowana lina. Mertens w żaden sposób nie mógł zbiec. Wszystko to stało się tak prędko, że Mertens nie mógł po prostu pojąć, co się z nim dzieje. Zdawał sobie jedynie sprawę, że jego trzeci zamach na siostrzeńca także się nie udał.

Ludwik Rodenberg wyjął z kieszeni latarkę kieszonkową i oświetlił nią twarz Mertensa, sam jednak pozostał skryty w cieniu. Ralf natomiast zbliżył się do uwięzionego i powiedział głośno:

— Tym razem, panie dyrektorze, nie pomogą panu żadne wykręty, tym razem nie znajdzie pan wymówki. Trzeciego zamachu na siostrzeńca nie będzie pan mógł przedstawić jako przypadku.

Mertens poznał Ralfa i zdawało mu się, że w drugiej postaci, która pozostała w cieniu, poznaje swego siostrzeńca Janka. Siłąc się na spokój, starał się uratować sytuację:

— Co panu wpadło do głowy, panie Bernd, jak pan śmie napadać na mnie, pan i mój miły siostrzeniec! Co to za komedie? Chciałbym wiedzieć, co pan tu robi? Przechodziłem tędy przypadkiem i ku memu przerażeniu spostrzegłem drucianą linę, rozpiętą nad jezdnią. Naturalnie, że chciałem ją odwiązać. Może to pan przywiązał linę do drzew, aby straszyć spokojnych ludzi? Jak mam sobie to wytłumaczyć? I co to ma znaczyć, że pan urządził napad na mnie i związał mi ręce? Zachowujecie się obydwaj, jak zwyczajni rabusie.

Wyrzucając z siebie te słowa, nabierał powoli pewności siebie.

— Niech pan się nie trudzi obmyślaniem takich wymówek, panie dyrektorze. Tym razem nie pomogą panu najsprytniejsze wykręty. Mamy tu na miejscu świadków, obserwujemy pana przeszło godzinę, widzieliśmy, że to pan przywiązał końce liny do drzew. Chciał pan zaaranżować katastrofę samochodową, aby usunąć z drogi swego siostrzeńca Janka. Chciał się pan go pozbyć, o czym już świadczą pierwsze nieudane zamachy na niego.

— Bezczelny! Jak pan śmie przemawiać do mnie w ten sposób? Wymawiam panu natychmiast posadę!

— Na szczęście decyzja nie będzie zależała od pana! Niech pan sobie oszczędzi tych wielkich gestów! Jak pan widzi, postarałem się o świadków. Ten pan — to nie Janek. Janek Dornau nie wie jeszcze wcale, jaką miłą niespodziankę wymyślił pan dla niego. Wie tylko, że pan go raz chciał zmiażdżyć kafarem, a drugi raz pchnąć między tryby dużej maszyny. Wie także, iż pan starał się o to, by prowadził rozwiązłe życie, co miało go zniszczyć fizycznie i moralnie. To zamie-

rzenie nie doszło jednak do skutku. Janek spędzał noc w moim pokoju i spał sobie spokojnie na kanapie, podczas gdy samochód przejeżdżał obok pana

TLR

— pusty! Dziś także nie byłoby w nim nikogo, ofiarą pańskiego zamachu mógł najwyżej paść szofer, ostrzegłem go jednak. Aby pan nie zadawał sobie trudu na obmyślanie nowych bajeczek, powiem panu, że widziano pana przedwczoraj, gdy pan wynosił z szopy linę i zakopywał ją w śniegu. Na wszystko mamy świadków, panie dyrektorze! A na przyszły raz powinien się pan postarać o odpowiedniejszego pomocnika dla swoich łotrowskich sprawek. Ja chciałem pana zabić, gdy wystąpił pan ze swoją brudną propozycją, jeżeli nie uczyniłem tego, to tylko przez wzgląd na Janka. Musiałem grać wobec pana wstrętą komedię, bo pan jest niebezpiecznym człowiekiem, łotrem bez sumienia, którego można tylko pobić jego własną bronią. Chwała Bogu, nareszcie udało mi się przyłapać pana na gorącym uczynku.

Mertens pojął, że sprawa była przegrana, próbował się jednak jeszcze ratować. Wciąż jeszcze sądził, że człowiek ukryty w ciemności to Janek. Spodziewał się, że uda mu się go onieśmielić:

— Rozwiąż mi wreszcie ręce, ty smarkaczu i skończ z tą komedią, nie rozumiem tych głupstw, jakie gada inżynier Bernd. Czy sądzisz, że się złękę tych wszystkich kłamstw? Jakich macie świadków? To wszystko blaga! Inżynier Bernd wyleci z fabryki jak z procy. Urządziliście tę całą komedię, aby ze mnie coś wymusić drogą szantażu. Chciałbyś mnie pozbawić opiekuństwa, co, bratku? Nie podoba ci się, że cię zbyt krótko trzymam! Ale to ci się nie uda, o nie! Rozwiąż mi natychmiast ręce, bo mnie popamiętasz, ty gagatku!

Teraz Ludwik Rodenberg oświetlił jasno swoją twarz.

— Proszę, niech się pan przekona, że nie jestem pańskim siostrzeńcem Jankiem.

Mertens z niepokojem spojrział na twarz nieznanego. Teraz opuściła go odwaga.

— Kim pan jest? Niech pan rozwiąże mi ręce! — powiedział żałośnie.

— Proszę się przyjrzeć dokładniej, panie dyrektorze. Czy nie uderza pana moje podobieństwo do Janka Dornau'a? I niech pan spojrzy na moją bliznę pod prawym okiem, Ludwik Rodenberg miał taką bliznę. Tak, panie dyrektorze, umarli zmartwychwstają! Mój zacny ojciec złożył w pańskie ręce urząd opieku-na, ach, ale jak źle wykonał pan swoje obowiązki! Przybyłem w samą porę, aby

panu związać ręce. Nie pańska to zasługa, że się dowiedziałem, iż wolno mi powrócić do kraju. Mój

TLR

powrót na pewno będzie panu nie na rękę! — mówił głośno, surowym tonem Ludwik.

Mertens wlepił w niego przerażone oczy, jakby naprawdę wierzył, że umarli zmartwychwstają. Szczekał zębami ze strachu, zrobiło mu się niedobrze. Teraz wiedział już z całą pewnością, że wszystko stracone.

—Ludwik Rodenberg! To... to... przecież... niemożliwe...! —wyjąkał.

—Przecież pan widzi, że stoję przed panem! A teraz połóżmy kres tej nędznej komedii. Niechże się pan przynajmniej zdobędzie na tyle odwagi, aby się przyznać do swego przestępstwa. Oddamy teraz pana w ręce policji.

I teraz dopiero wyszło na jaw całe nędzne tchórzostwo Artura Mertensa. Zaczął lamentować jak stara baba, błagał o łaskę, prosił, aby miano wzgląd na jego niewinną rodzinę, aby nie narażać żony i dzieci na hańbę, oddając go w ręce policji. Przecież to był tylko żart, przywiązał tę linę, aby nastraszyć Janka i odzwyczaić go od nocnych wycieczek do miasta.

Obydwu mężczyzn ogarnęła głęboka odraza.

—Dość tego — rzekł Ludwik, wzdrygając się ze wstrętu — to ohydne, gdy bezlitosny zbrodniarz, który chciał zniszczyć dwa młode życia, skomle jak stara baba. Jeżeli nie przekazemy pana władzom, to stanie się tak jedynie przez wzgląd na moją biedną siostrę. Właściwie jednak powinno się pana uczynić nieszkodliwym, już za to samo, że pan tak haniebnie zawiódł zaufanie mego ojca...

—Co pan zamierza uczynić ze mną? — jęknął Mertens, zupełnie załamany.

—Zaraz się pan dowie! Panie inżynierze, proszę zawołać Janka. Za wszystkie udreki należy mu się zadośćuczynienie.

Ralf wyskoczył na środek jezdni i gwizdnał. Odpowiedział mu głośny okrzyk. W chwilę później ujrano Janka Dornau'a na zakręcie drogi. Zbliżał się w pełnym biegu.

— Co się stało, Ralfie?

Ralf pochwycił go w ramiona tuż przed samą liną. Przytulił do siebie Janka.

— Obejrzyj sobie tę drucianą linę, mój chłopcze, była przeznaczona, żeby położyć kres twemu życiu. Samochód, który rzekomo miał cię zawieść do miasta, byłby się zaczepił o linę i rozbił na szosie.

TLR

Janek pobladł i spojrzał na Ralfa.

—Mertens! — zawołał bezdźwięcznie.

—Tak, Janku, zbliż się i przyjrzyj się twemu opiekunowi. Teraz błaga o łaskę! Tym razem mamy bowiem świadka.

Zaprowadził Janka do drzewa, do którego był przywiązany Mertens. Ludwik znowu skrył się w ciemności. Janek wielkimi oczyma spoglądał na wuja.

—Po raz trzeci godziłeś na moje życie, wuju! Pierwszy raz ocaliłem się sam, drugi raz ocalił mi życie mój Ralf, któremu poleciłeś zniszczyć mnie fizycznie i moralnie. Teraz chciałeś, abym zginął w katastrofie samochodowej, a wraz ze mną niewinny szofer. Jesteś łajdakiem, łotrem bez czci i wiary. Uderzyłbym cię w twarz, lecz nie chcę sobie brudzić rąk! — wykrztusił Janek ochryple.

—Panie inżynierze, zechce pan dyrektorowi Mertensowi podać do podpisu ów dokument, który został przez nas zredagowany — powiedział Ludwik Rodenberg. — Ja tymczasem usunę z drogi linę, aby zwolnić drogę dla szofera.

Ralf wyjął jakiś papier, oświetlił go latarką i pokazał Mertensowi. Janek, drżąc jeszcze ze wzburzenia, śledził ruchy nieznanego, który

odwiązał linę i zaczął ją zwijać. Potem spojrzał znów na Mertensa, który blady, z wykrzywioną twarzą czytał dokument:

„Przyznaję się, że trzy razy usiłowałem godzić na życie mego siostrzeńca Jana Dornau'a. Trzy razy został ocalony i nie padł ofiarą moich zbrodniczych zamierzeń. Przyznaję się, że trzykrotnie stałem się winny usiłowania zabójstwa.”

—I ja to mam podpisać? — krzyknął Mertens.

—Tak, musi to pan podpisać, abyśmy mieli przeciwko panu jakąś broń w ręku. Tylko w takim wypadku nie wezwiemy policji — odparł spokojnie i stanowczo Ralf.

—Proszę mi tego oszczędzić, przysięgam, że już nigdy nie będę szkodzić memu siostrzeńcowi!

—Albo pan podpisze, albo też oddamy pana w ręce sprawiedliwości!

—Niechże się pan zmiłuje! Przecież będę zgubionym człowiekiem!

—Tak czy owak jesteś pan zgubiony. Pańska obietnica nie może mieć dla nas znaczenia, ten dokument obroni nas lepiej. Jeżeli w przyszłości nie będzie się pan zachowywał tak, jak my tego wymagamy

TLR

— wówczas przedstawimy ten papier policji. O ile będzie pan prowadził nieskazitelny tryb życia, wówczas nie będzie pan miał powodów do obawy. Czynimy to wszystko przez wzgląd na pańską rodzinę. A więc proszę, czy pan podpisze?

— Jeśli podpiszę, nie będę miał już ani jednej spokojnej godziny.

— Spodziewam się, że pańskie sumienie nie pozwoli, aby miał pan kiedykolwiek spokój. Teraz proszę nie zwlekać. Albo pan podpisuje, albo oddamy pana w ręce policji.

— A czy pan nie zrobi użytku z tego dokumentu?

— Nie zrobimy, dopóki pan się będzie zachowywał przyzwoicie. My dotrzemy słowa. Jutro przystąpimy do dalszych układów. Zawezwie-my pana w razie potrzeby. Aż do tego czasu pozostanie pan w swoim mieszkaniu. Może pan przecież powiedzieć żonie, że się pan źle czuje.

Ostatnie słowa wypowiedział nieznajomy, który wciąż jeszcze stał ukryty w ciemności. Janek ze zdziwieniem wsłuchiwał się w jego głos, który wydawał mu się bardzo znajomym. Kto to jest ten człowiek? I dlaczego Ralf zawezwął go na świadka?

Janek nie miał jednak czasu na dociekanie, bo dalszy przebieg wypadków przykuł jego uwagę.

— Dobrze — powiedział Mertens, zdruzgotany — podpiszę, nie mam innego wyjścia. Proszę mi rozwiązać ręce.

Ludwik poświecił latarką, a Ralf rozluźnił pęta. Następnie podał Mertensowi wieczne pióro. Położył dokument na paczce złożonych gazet, które przyniósł ze sobą jako rekwizyt. Mertens miał teraz wolne ręce, wciąż jednak był przywiązany do drzewa.

Z jękiem na ustach podpisał ten dowód swojej hańby. Ralf podał Jankowi ten dokument.

— Schowaj to dobrze, Janku, to bardzo cenny dokument. Ralf rozwiązał także powróż i uwolnił Mertensa.

— Jest pan wolny, panie dyrektorze! Może pan teraz powrócić do domu.

Mertens odszedł bez słowa. Idąc przez las, zgrzytał zębami ze złości, wiedział jednak, że nic mu nie pomoże, że losy jego spoczywają w rękach tych mężczyzn.

Ralf i Janek patrzyli w ślad za nim. Wreszcie Janek zwrócił się do Ralfa:

TLR

— Bądź tak dobry i przedstaw mnie temu panu! Chciałbym wiedzieć komu zawdzięczam pomoc i kogo wtajemniczyłeś w moją sprawę.

Ralf położył rękę na jego ramieniu.

— Mam do ciebie prośbę, Janku. Chodźmy teraz razem z tym panem do willi Rodenbergów. Pragnie on powiedzieć coś bardzo ważnego tobie i twojej siostrze. Dlatego właśnie prosiłem, aby Ewa-Maria przed twoim powrotem nie kładła się spać. Ten pan powie wam wtedy jak się nazywa. Jest on człowiekiem, zasługującym w pełni na zaufanie.

Janek skłonił się Ludwikowi.

— Będzie pan u nas mile widziany. Przede wszystkim dlatego, że mam dla pana wiele wdzięczności, a po wtóre — bo mój przyjaciel Ralf prosi mnie o to. Ralf od kilku dni jest bardzo zagadkowy, lecz ufam mu bezgranicznie. A przy tym jestem mu ogromnie wdzięczny, bo po raz drugi ocalił mi życie i przyniósł mi wyzwolenie.

Powiedziawszy te słowa, Janek rzucił się w objęcia Ralfa. Nieznajomy tymczasem odpowiedział ze wzruszeniem:

— Tak, panie Dornau, zawdzięcza pan życie wyłącznie inżynierowi Berndowi. Ja pomogłem mu tylko przy wykonaniu jego planów. Dziękuję panu, że pan mnie zaprosił do swego domu. Spodziewam się, że nie pożałuje pan tego.

Wszyscy trzej ruszyli w drogę, a Ralf zabrał ze sobą zwiniętą linę. Udali się przede wszystkim do szofera i powiedzieli mu, że może już odjechać do miasta. Szofer, który dotąd drzemał przy kierownicy, był bardzo rad, że może już powrócić. Bez wahania ruszył, nie mając pojęcia, że zawdzięcza Ralfowi życie. Nie zauważył wcale zajścia, jakie się rozegrało w pobliżu niego.

Ewa-Maria była bardzo niespokojna, gdy Janek o dziesiątej wychodził z domu. Przechadzała się, pełna lęku, po oświetlonych pokojach. Zapaliła wszędzie lampy. Czowała, podobnie jak Janek, że Ralf zamierzał uczynić coś niezwykłego.

Z trwogą nadśluchiwała, wyglądając co chwila przez okno. Minuty wlokły się w nieskończoność. Odetchnęła z ulgą, gdy przy blasku lampy ujrzała wreszcie trzech mężczyzn, wchodzących na górę. Nie domyślała się, kim jest ten trzeci

pan, spostrzegła jedynie, że ma gęstą brodę i że jego twarz ocienia kapelusz o szerokim rondzie. A co ma znaczyć ten zwój liny, którą niesie Ralf?

TLR

Zanim zdołała sobie uświadomić to wszystko, trzej panowie zniknęli w głębi domu. Pełna oczekiwania, stanęła na środku pokoju. Ktoś otworzył drzwi; pierwszy wszedł Janek.

— Przepraszam, że ci o tak później porze przyprowadzam gościa. Stało się to jednak na życzenie Ralfa.

Ralf zostawił w przedpokoju zwój liny, a także swój płaszcz i kapelusz. Tylko obcy przybysz pozostał w kapeluszu i w płaszczu. Ewa-Maria zdziwiła się, że ukłonił się jej, nie zdjęwszy kapelusza z głowy.

— Przepraszam bardzo, że przeszkadzam o tak późnej porze, ważne wypadki jednak pozwalają niekiedy na odstępianie od utartego zwyczaju — rzekł Ludwik.

Ewa-Maria ukłoniła się.

— Nie ma za co przepraszać; skoro przychodzi pan w towarzystwie inżyniera Bernda, będzie pan zawsze mile widziany. Czy nie zdejmie pan płaszcza?

Janek był także bardzo zdziwiony, że obcy nie zdjął kapelusza przynajmniej przy powitaniu z Ewą-Marią. Na ogół sprawiał przecież wrażenie dobrze wychowanego człowieka.

Ludwik stał teraz pod zapalonym żyrandolem. Powoli zdjął kapelusz tak, że światło padało mu prosto na twarz. Z uśmiechem spoglądał na Ewę-Marię i Janka.

— Czy mam się przedstawić, czy też poznajecie zaginionego, którego wasze ogłoszenie przywołało zza morza?

Brat i siostra stali jakby sparaliżowani. Pomimo brody spostrzegli, jak nieznajomy podobny jest do Janka. I oto Ewa-Maria pierwsza spostrzegła bliźnę pod prawym okiem.

— Wuj Ludwik! — krzyknęła. — Wuj Ludwik! Dobry Boże, więc ty żyjesz, wuju? Janku, czy nie widzisz bliźny? To przecież Ludwik!

Słaniając się, podeszła do wuja, który przyciągnął ją ku sobie.

— Ewo-Mario, moja śliczna, ukochana siostrzeniczko! Więc poznałaś mnie jednak?

Skinęła głowę, płacząc i śmiejąc się zarazem.

— Tak, po podobieństwie do Janka i po tej bliźnie. Ach, wuju, Ludwiku, jak to cudownie, że żyjesz i powróciłeś do nas. I jakie to smutne, że dziadzio nie dożył tej chwili!

**11 Dziedzic-
two Rodenber-
gów**

161

TLR

I powiedziawszy te słowa, wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem. Teraz Janek również otrząsnął się ze zdumienia. Zbliżył się do wuja i uścisnął jego ramię.

—Wuju Ludwiku, to ty? O Boże, ile razy marzyłem o twoim powrocie! A teraz nagle stoisz przede mną!

—Czy nie żałujesz, Janku, że powróciłem? Twój przyjaciel Ralf powiedział mi, że tak nie jest, ja jednak pragnę to usłyszeć z twoich ust. Czy nie weźniesz mi za złe, że odbiorę ci twoje dziedzictwo?

Janek zaśmiał się z ulgą.

—Chwała Bogu, że powróciłeś! Cieszę się całym sercem, że otrzymasz fabrykę, przecież dziadek przeznaczył ją dla ciebie. Ach i dla mnie to bardzo bolesna myśl, że dziadek nie dożył chwili twego powrotu! A teraz opowiedz mi jak się spotkałeś z Ralfem i to właśnie w tej chwili, gdy... Nie, musimy to bardzo ogłędnie opowiedzieć Ewie-Marii...

—Co się stało, Janku? — spytała Ewa-Maria, blednąc.

—Usłyszysz wszystko — rzekł Ludwik Rodenberg — teraz nie ma już powodu do obawy. Dzięki energii pana Bernda, którego mam przyjemność znać już od kilku dni, Janek stoi przed tobą zdrów i cały. Wybrałaś sobie bardzo dzielnego i dobrego towarzysza na drogę życia.

Ewa-Maria, rumieniąc się, spojrzała na Ralfa, który z uśmiechem spoglądał na wszystkich.

—Więc i o tym już wiesz, wuju Ludwiku?

—Tak, od pana Bernda. Usiądźmy sobie teraz, a ja opowiem ci wszystko po kolei, abyś wiedziała, co wydarzyło się od czasu mego powrotu. A później musicie mi opowiedzieć o moim ojcu. Niestety, nie zastałem go przy życiu i jest to jedyna kropla goryczy w tym kielichu radości...

I Ludwik usiadł, po czym zaczął się rozglądać po pokoju. Była to bawialnia, w której każdy sprzęt stał na tym samym miejscu, co niegdyś — gdy był tutaj po raz ostatni przed ucieczką. Odżyło nagle wspomnienie owego dnia. Sądził, że jest winny, musiał uciekać przed karą więzienia. Widział przed sobą wykrzywioną bólem twarz ojca...

Ewa-Maria z wrodzoną sobie subtelnością zrozumiała, co się dzieje w jego duszy. Położyła mu rękę na ramieniu i rzekła pocieszająco:

— Drogi wuju, wielkie to szczęście, że żyjesz i że powróciłeś do kraju. Wierzej mi, że duch dziadka przebywa w tej chwili z nami. Przeczucie nie

TLR

omyliło twego ojca. Zawsze mówił, że może jednak żyjesz. Aż do końca nie chciał wierzyć w twoją śmierć. Ludwik przytulił do twarzy jej rękę.

— Musisz mi wszystko opowiedzieć, Ewo-Mario! Inżynier Bernd wspomniał, że mój ojciec rozmawiał o mnie tylko z tobą i z Jankiem. Najpierw jednak powinnaś się dowiedzieć z jakiego niebezpieczeństwa twój narzeczony wyratował Janka.

Wszyscy trzej zaczęli opowiadać na przemian przebieg wydarzeń. Ewa-Maria mieniła się na twarzy. Zerwała się i uściskała brata, jakby go jeszcze teraz musiała bronić; później rzuciła się w objęcia Ralfa.

— Mój najdroższy Ralfie, już po raz drugi zawdzięczam ci życie mego brata. Jakże ci się odpłacę za to?

Ralf przytulił ją mocno do siebie, nie mógł powiedzieć w tej chwili ani słowa. Oczy jego błyszczały radośnie, czuł się niezmiernie szczęśliwy, że Ewa-Maria pozbyła się nareszcie wszelkich trosk. Ludwik spojrział z uśmiechem na oboje.

— Będiesz miała dość okazji do wdzięczności, gdy zostaniesz jego żoną.

I panowie zaczęli opowiadać dalej, jak ten łotr się wił i prosił o zmiłowanie. — Z początku próbował zaprzeczać! — zawołał Janek wzburzony.

— Tak, zamilkł jednak, gdy Ludwik Rodenberg pojawił się jako świadek — dodał Ralf. — Zaryzykowałem bardzo wiele, dzieląc się moim podejrzeniem z twoim wujem, Ewo-Mario. Nie miałem przecież w ręku żadnych dowodów. Gdyby się coś stało, gdybyśmy nie przyłapali Mertensa? Pan Rodenberg uważałby mnie za oszczercę.

Ludwik uścisnął jego dłoń.

— Znam dobrze ludzi, panie inżynierze i nigdy nie posądziłbym pana o oszczerstwo. Uwierzyłem panu od razu.

— Biedna ciocia Mela! — zawołała ze współczuciem Ewa-Maria. — Jakie to nieszczęście być żoną takiego człowieka.

— Nie martw się o nią, Ewo-Mario! Nie dowie się nigdy, że jej mąż jest przestępcą. Zataimy to przed nią. Jej szczęście polegało zawsze na złudzeniu, nie od-

bierzemy jej tej ułudy. Postaram się, żeby Mertens prowadził w przyszłości nieskazitelny tryb życia — rzekł Ludwik.

TLR

—Zgadzam się z tym, rodzina nie powinna się dowiedzieć o tym. Mertens zasługuje wprawdzie na surową karę, należy jednak oszczędzić bólu pani Melanii. To najważniejsze — powiedział Ralf.

—Jak postąpisz z Mertensem, wuju? — zapytał Janek.

—Muszę się nad tym zastanowić. Teraz jednak, gdy wasza sprawa została załatwiona, opowiedzcie mi o moim ojcu.

Obydwoje młodzi opowiedzieli teraz wszystko, co Ludwik chciał wiedzieć.

Słuchał z głębokim wzruszeniem. Powtórzyli mu także, jaki dziadek miał sen. Ludwik usłyszawszy o tym, że śnił się ojcu na werandzie egzotycznego domu, westchnął głęboko.

—To senne widziadło mogłoby odpowiadać rzeczywistości — powiedział.

—Widział cię w towarzystwie dorastającej dziewczynki, która miała złote włosy i nazywała cię ojcem — opowiadała Ewa-Maria.

Ludwik siedział przez chwilę, oszołomiony, po czym powiedział cicho:

—Moja mała Dola ma tylko wtedy złote włosy, gdy pada na nie blask słońca. Zazwyczaj są kasztanowate.

—Więc ożeniłeś się wuju i masz córkę?

Ludwik opowiedział o swoim ocaleniu, szczęśliwym małżeństwie i przedwczesnej śmierci swej żony. Później zaczął z wielką czułością opowiadać o swojej pasierbicy. Wyjął z portfela dwie fotografie: jedna przedstawiała Helenę, druga Dolores. Było to zupełnie nowe zdjęcie, zrobione w dniu jej urodzin. Ewa-Maria przyglądała się z zachwytem pięknej, łagodnej twarzy Heleny Rodenberg. Janek natomiast zapatrzył się w śliczną twarzyczkę Dolores Vanzity.

Doznawał przy tym jakiegoś dziwnego, nieznanego uczucia. Ogarnął go nieokreślony smutek, a zarazem radość. Nie odrywał wzroku od rysów dziewczęcia, zdawało się, że pragnie zgłębić jakąś zagadkę w tej twarzy. Z wahaniem podał fotografię siostrze, która także pragnęła ją zobaczyć.

—Czy przywiozłeś ją do Niemiec? — spytał, siłąc się na spokojny ton.

—Nie, Janku, zostawiłem ją w Armandzie, bo nie wiedziałem, czy tu zostanie. Sprowadzę ją jednak, musicie się z nią zaprzyjaźnić. Jest to

TLR

miła, śliczna istotka, trochę dzika i nieopanowana, lecz o złotym sercu. Byłbym rad, Ewo-Mario, gdybyś ją wzięła pod swoją opiekę. Uczyłem ją sam, a później wraz z przyjaciółkami pobierała nauki u pewnej nauczycielki, brak jej jednakże pewnej ogłady towarzyskiej. A ty będziesz dla niej najlepszym przykładem.

— Bardzo chętnie, drogi wuju. Cieszę się ogromnie, że twoja córeczka przyjedzie.

Janek milczał. Nie potrafił jakoś wyrazić swej radości. Nie przyznał się także, że fotografia Dolores Vanzity wywarła na nim tak głębokie wrażenie.

Dużo jeszcze mieli sobie wszyscy czworo do opowiedzenia. Opowiadali i zadawali sobie pytania. Noc mijała, oni zaś nie myśleli o rozstaniu. Janek słuchał z ogromną uwagą, gdy wuj Ludwik opowiadał o swojej pasierbicy. Udawał jednak obojętnego, nie chciał by spostrzeżono, jak bardzo interesuje go ta młoda dziewczyna.

Stary służący Herman zasnął w holu. Zapomniano o nim. Dopiero gdy postanowiono udać się na spoczynek, Ewa-Maria zastała śpiącego Hermana.

Ludwik miał naturalnie pozostać już w willi Rodenberg.

— Janek pożycz ci pizamę, a jutro każemy przynieść z hotelu twoje walizki. Nie puścimy cię, to wykluczone — powiedziała Ewa-Maria.

Następnie zwróciła się do Hermana:

—Biedny Herman musiał całą noc spędzić w fotelu. Zapomnieliśmy o Hermanie, ale Herman zrozumie to, gdy się dowie dla kogo mamy przygotować pokój.

—Pewno dla tego obcego pana, panienko?

—Tak, ale Herman się zdziwi, gdy się dowie kto to jest? Czy Herman przyjrzał się temu panu?

—Nie, panienko.

—To Ludwik Rodenberg!

—Pan Ludwik? O Boże mój! Pan Ludwik? To przecież niemożliwe!

—Niech mu się Herman dobrze przypatrzy. Proszę wejść ze mną, przecież Herman musi się z nim przywitać.

—Ach Boże, a nasz pan nieboszczyk nie dożył tego! — zawołał ze smutkiem służący.

TLR

Poszedł jednak za Ewą-Marią, a gdy Ludwik z uśmiechem podał mu rękę, wtedy Herman poznał go natychmiast.

—Pewno się Herman nie spodziewał, że kiedykolwiek powrócę? Prawda?

—Nie, paniczu... chciałem powiedzieć, wielmożny panie! Nikt nie miał nadziei, oprócz nieboszczyka pana. A ja poprzednio wcale nie poznałem pana.

—Jutro Herman ogoli mi brodę, której i tak pragnę się pozbyć, bo mi przeszkadza. A wtedy poznacie mnie na pewno.

—Kiedy teraz to już widzę, że to nasz panicz.

Dla Ludwika przygotowano pokój, w którym mieszkał, będąc młodzieńcem. Ewa-Maria sama sprawdziła czy wszystko jest w porządku. Na nocnym stoliku postawiła dużą fotografię dziadka — ostatnie zdjęcie, zrobione przed jego śmiercią. Później zeszła znowu na dół.

—Wszystko już gotowe, wuju.

—Wobec tego pożegnamy się na dziś. Dobranoc panie inżynierze, jutro wypijemy bruderszaft, jak przystało na dobrych przyjaciół i krewnych. Pan będzie mi i jednym i drugim. Jutro w fabryce omówimy resztę, przyjdę tam rano razem z Jankiem.

Ludwik i Ralf uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Tak została przypieczętowana przyjaźń, która miała trwać całe życie.

— Zaprowadzę cię na górę, wuju Ludwiku — powiedział Janek. Pożegnał się z Ralfem i chciał, aby Ralf i jego siostra mogli się pożegnać bez świadków.

Gdy narzeczeni pozostali sami, Ralf przytulił do siebie Ewę-Marię.

—Czy wszystkie troski pierzchły? Czy uspokoiłaś się, moja najdroższa Ewo-Mario?

—Dzięki tobie, mój kochany Ralfie! Tak mi lekko i błogo na duszy!

—Zapominasz, że wskutek powrotu twego wuja pozbyłaś się i tak twoich obaw. Jego przybycie przekonałoby przecież Mertensa, że niepotrzebnie chciał usunąć ze swej drogi Janka.

—Ty jednak zapominasz, że wuj Ludwik zamierzał jeszcze przez tydzień pozostać niepoznany, aby się zorientować w stosunkach. Zjawiłby się więc za późno, aby uratować Janka i jestem ogromnie szczęśliwa, że to właśnie ty pomogłeś nam. Nie wiem tylko, w jaki sposób dać ci dowody mojej wdzięczności bez granic.

TLR

— Kochaj mnie, Ewo-Mario, twoja miłość to najpiękniejsza nagroda. Z czującym uśmiechem spojrzała mu w oczy.

— Muszę cię przecież kochać, czy chcę czy nie chcę. Nie potrafię inaczej... Kocham cię, kocham mój najdroższy Ralfie...

Ucałował ją tkliwie i namiętnie.

— A teraz nie mamy już potrzeby ukrywać naszych zaręczyn, Ewo-Mario. Możemy się już przyznać do naszej miłości.

Dziewczyna cichutko westchnęła.

— Jo była u mnie dziś rano. Chciała mi powiedzieć, że kochasz inną. Oświadczyła, że podzielony smutek — to połowa smutku. Zdaje się że mimo wszystko, sprawi jej to drobną przykrość, gdy się dowie o naszych zaręczynach. Było mi bardzo ciężko, gdy musiałam zataić przed nią, że to ja właśnie jestem tą inną kobietą. Bo jednak lubiła cię bardzo, chociaż temu zaprzecza...

Pogłaskał jej włosy.

—A ta świadomość gnębi moją Ewę-Marię. Nie martw się o twoją kuzynkę, kochanie, nie wzięła sobie tej sprawy tak bardzo do serca. Nie jest zdolna do głębokich uczuć...

—Ach, gdyby tylko poznała właściwego człowieka! Jolanta ma dużo zalet, ale drzemią one w niej, ukryte pod powłoką rozmaitych dziwactw, jak na przykład jej nowoczesny światopogląd. Gdyby się zakochała, zapomniałaby o tych wszystkich głupstwach.

—Tak sądzisz?

—Tak, Ralfie. Dziś doznałam wrażenia, że Jolanta nie zasługuje na potępienie, lecz na współczucie.

—Powiesz może, że jestem człowiekiem bez serca, ale mnie to w tej chwili wcale nie obchodzi. Te minuty spędzone z tobą są zbyt cenne, aby je marnować.

Po chwili kroczył już przez ciemny, zasypany śniegiem las. Pierś jego unosiła się głębokim westchnieniem. Jemu także było teraz lekko i błogo na sercu. Janowi przestało grozić niebezpieczeństwo, Ewa-Maria pozbyła się obaw, znalazł

dozgonnego przyjaciela. A poza tym nie miał już potrzeby odgrywać komedii, co przychodziło mu z tak wielkim trudem.

•!'

*

TLR

Mertens powrócił do swego mieszkania. Trudno opisać uczucia, jakie nim miały. Od wielu lat miał oddzielną sypialnię, więc udało mu się niepostrzeżenie wymknąć z domu i powrócić. Złamany na ciele i duszy, rzucił się na swoje posłanie, nie mógł jednak zasnąć. Jego ambitne plany obróciły się w niwecz, został upokorzony do głębi i musiał podpisać dokument, dzięki któremu stał się na zawsze zależny od tych trzech mężczyzn. Powtarzał w duszy raz po raz treść tego dokumentu i zgrzytał zębami z rozpaczy i wściekłości.

Później zaczął sobie wyobrażać ze zgrozą, co by się stało, gdyby jego plan się dziś udał, gdyby Janek zginął, a później nagle zjawił się Ludwik. Wtedy byłby mordercą, a jednak nie osiągnąłby swego celu. Przy tej myśli wstrząsnął nim dreszcz. Janek przestał go już zajmować, to nie było już ważne, nienawidził natomiast całą duszą Ludwika i Ralfa. Dusił się po prostu z nienawiści. Miał związane ręce, bo podpisał dokument. Zresztą, cóż mógłby zrobić, aby zniszczyć Ludwika? Jego nie można było tak łatwo usunąć z drogi, jak tego młokosa. Ale Ralf? Jego nienawidził najbardziej, jemu zawdzięczał swoją porażkę i to upokorzenie. Jakże go oszukał, prowadził z nim podwójną grę! A on pozwolił się zwodzić, nie przeczuwając niczego. Tak, nie mógł także wystąpić przeciwko Ralfowi, był bezsilny. Jak to się stało, że Ralf zetknął się z Ludwikiem Rodenbergiem? Ludwik bez wątpienia powrócił, przeczytawszy to przekłete zawiadomienie w pismach. Mógł teraz śmiało patrzeć ludziom w oczy, był przecież niewinny, został zrehabilitowany. Gdyby nie to, można by na nim coś wymusić.

Co też jutro postanowią w tej sprawie? Na szczęście liczą się z Melanią i jego dziećmi. Tylko przez wzgląd na nich nie oddali go w ręce policji. Nie powiedzą Melanii ani dzieciom o jego przewinieniu, chcą ich oszczędzać, co do tego mógł być pewny. To jedyna pociecha w tej całej sprawie. W ten sposób zachowa autorytet przynajmniej we własnym domu, inaczej jego życie stałoby się nie do zniesienia. Tak czy inaczej — będzie to okropne życie!

Mertens nie przypisywał sobie winy w tej sprawie. Nie trapiły go wcale wyrzuty sumienia — winni byli Ludwik i inżynier Bernd.

Przewracał się niespokojnie na swoim łóżku, nie mogąc zasnąć. Nazajutrz nie potrzebował wcale udawać, że się źle czuje. Czuł się naprawdę niedobrze i oznajmił żonie, że zostanie kilka godzin w łóżku.

Pani Melania pielęgnowała go czule, badała puls, dręczyła go tysiącem pytań, przynosiła rozmaite lekarstwa i chciała koniecznie zawezwać lekarza. Ta czuła opieka żony wydawała mu się dziś dobrodziejstwem. Toteż darzył ją dziś najczulszymi imionami, jakich już dawno nie słyszała z jego ust. Pani Melania była szczęśliwa. Nie miała pojęcia, że jej mąż to łotr i tchórz, który chronił się za nią przed następstwami swojej zbrodni.

Około jedenastej zatelefonowano z fabryki, aby pan Mertens przybył, gdyż są ważne sprawy do omówienia. Pani Melania chciała powiedzieć, że mąż nie przyjdzie, on jednak wyrwał jej słuchawkę z ręki i oznajmił, że przybędzie natychmiast.

Szybko ubrał się i kazał, aby samochód zajechał. W pół godziny później był już w fabryce, w dawnym gabinecie Jerzego Rodenberga, dokąd go zawezwano.

W fabryce tymczasem dowiedziano się już o powrocie Ludwika Rodenberga, a wiadomość ta wzburzyła wszystkie umysły. Wszyscy prawie, oprócz kilku zaszników Mertensa, cieszyli się z przyjazdu Ludwika. Pojmowali, że Mertens przestanie być teraz wszechmocnym panem fabryki, że jego władza została złamana.

Nikt jednak nie miał pojęcia o tym, jak dalece została zniszczona jego władza. O tym wiedzieli jedynie Ralf i Janek, którzy od rana konferowali z Ludwikiem. W konferencji brało także udział kilku wyższych urzędników. Ludwik Rodenberg mógł bez przeszkód „wstąpić na tron”.

Ludwik powiedział Jankowi i Ralfowi co postanowił uczynić w sprawie Mertensa. Teraz właśnie oczekiwali go. Wszedł, ogromnie zmieszany, starając się jednak zachować spokój. Teraz przy świetle dziennym było mu trudniej stanąć wobec swoich oskarżycieli, niż wczoraj wśród mroków nocy.

Ludwik kazał sobie rano zgolić brodę, toteż ludzie, którzy pracowali w fabryce od wielu lat, poznali go natychmiast.

Nie pozostawił on Mertensa długo w nieświadomości, lecz od razu przystąpił do rzeczy:

— Mój ojciec na szczęście nie pozostawił w swoim testamencie żadnych wskazówek, kogo wolno mi zwolnić z posady, a kogo nie. Zaznaczył on tylko,

aby nie zwalniać zasłużonych, długoletnich urzędników. Po tym, co zaszło, nie mogę pana uważać za zasłużonego

TLR

urzędnika. Jest pan wprawdzie doskonałym handlowcem, lecz po śmierci mego ojca popełnił pan wiele błędów w stosunku do robotników. Są oni bardzo rozgoryczeni, ponieważ odebrał pan im rozmaite przywileje, jakich udzielił im mój ojciec. W każdym razie postaramy się w krótkim czasie o zastępcę. Twarz Mertensa pobladła.

— Więc pan chce zwolnić mnie z mego stanowiska? — wykrztusił. Ludwik surowo spojrzał na niego.

— Czy pan sądził, że zgodzilibyśmy się pracować z człowiekiem pańskiego pokroju? Zasluguje pan na zwolnienie już choćby dlatego, że zawiódł pan tak haniebnie zaufanie mego ojca. Moglibyśmy po prostu wypędzić pana, lecz nie uczynimy tego przez wzgląd na moją siostrę. Powie pan swojej żonie, że pan nie chce pracować pod moim kierunkiem, bo jestem młodszy od pana i przykro panu będzie być w zależności ode mnie. Moja siostra to zrozumie. Dziedzictwo Melanii jest dość duże, aby uchronić was do końca od trosk materialnych. Majątek Melanii został wprawdzie ulokowany w fabryce, gotów jednak jestem wypłacić panu jedną piątą kapitału, aby pan mógł przystąpić do jakiejś spółki lub stworzyć sobie w inny sposób nową firmę. Willę Melanię chętnie odkupię. Ponieważ willa Rodenbergów należy do moich siostrzeńców, więc zamieszkać w willi Melanii. Może pan zabrać ze sobą wszystkie meble, ja urządzę sobie dom według mego gustu. Dopóki pan nie zmieni miejsca zamieszkania ja pozostanę w willi Rodenbergów.

Mertens próbował się buntować.

—I pan postanowił wszystko o losie moim i mojej rodziny, nie zapytawszy mnie o zdanie?

—Przykro mi bardzo, że pańska rodzina musi dzielić pańskie wygnanie, nie może pan jednak pozostać tutaj. Nie dałoby się przecież na zawsze ukryć, co sądzę o panu. Jeżeli pan woli, to może pan wyjechać sam, a ja powiem siostrze, jakie są powody tego wygnania.

Mertens przerażony podniósł rękę.

—Na miłość boską, niechże mnie pan nie upokarza wobec mojej rodziny!

—Dobrze, ale w takim razie musi się pan zastosować do moich życzeń. Może pan powiedzieć, że pan sam powziął takie postanowienie. A więc — czy pan się zgadza?

TLR

—Nie pozostaje mi przecież nic innego — władza spoczywa w pańskich rękach.

—Poza tym, zasłużył pan na surową karę. Niech pan dziękuje Bogu, że mamy względy dla pańskiej rodziny.

—Co powie na to żona? Jak mam jej wyjaśnić to wszystko? —jęknął Mertens.

—Przecież pan zawsze był doskonałym aktorem, więc i tym razem przyjdzie to panu bez trudu. Niech Melania zachowa przynajmniej złudzenie swego szczęścia. Niech pan będzie dobry dla dzieci i dla żony, niech pan nie zapomina, że pan żyje tylko dzięki niej. Będę z oddali czuwał nad moją siostrą. Biada, gdyby miała kiedykolwiek mieć powody do skargi. To już wszystko! Zapewne zechce pan załatwić jeszcze niejedno w swoim biurze, a także pożegnać się z personelem. Pragnę uniknąć rozgłosu ze względu na moją siostrę. Rozstajemy się rzekomo w największej zgodzie. Ja tymczasem pójdę do mojej siostry i powiem jej, że widzieliśmy się już wczoraj, lecz ja prosiłem, aby . . . n nie wspominał o moim powrocie. Następnie przygotuję ją oględnie, że pan zamierza pracować na własną rękę. Moja siostra nie powinna wiedzieć

O naszym wzajemnym nieprzyjaznym stosunki'.. Postaramy się więc nie spotykać w jej obecności. A teraz nie mam już nic powiedzenia. Załatwię wszystko, co potrzeba.

I w ten sposób został wyu,.k>ny dotychczasowy **pan** i władca fabryki. Wyszedł z pokoju, obrzuciwszy nienawistnym spojrzeniem Ludwika

1 Ralfa. Młody inżynier odezwał się:

—Nie chciałbym za żadne skarby świata stać kiedyś przed człowiekiem tak, jak on stał dziś przed nami. Gdyby nie to, że znam jego nikczemność, byłoby mi go żal.

—Mój drogi Ralfie, ty przecież na szczęście jesteś ulepiony z innej gliny — powiedział Ludwik.

Dziś rano już przeszedł z Ralfem na „ty”, a Ralf ucieszył się z tego. Ludwik wzbudził w nim tak wielką sympatię, że uważał jego przyjaźń za wyróżnienie.

Ludwik pojechał natychmiast do willi Melanii. Jego siostra przechadzała się właśnie po ogrodzie, gdy zajechał samochód. Zdumiona spojrzała na Ludwika, który wszedł do ogrodu, nie zwracając uwagi na służącego. Zbliżył się do siostry:

TLR

— Melanio!

Przestraszona, spojrzała na niego. Jakim prawem ten obcy człowiek nazywa ją po imieniu? Przyjrzała mu się dokładniej i nagle zbladła i otworzyła szeroko oczy:

— Ludwik? To ty? O Boże wszechmocny! Ludwik! Więc ty żyjesz? I z płaczem rzuciła się w jego objęcia.

Jolanta ujrzała tę scenę przez okno. Zdumiona, zeszła na dół. Zaśmiała się do siebie. Jej matka — w ramionach obcego mężczyzny, to doprawdy zabawne! Któż to jest, ten obcy?

W tej chwili matka zawołała, zbliżając się z Ludwikiem:

— Jo, chodź tu prędko! Jo, zobacz! Wujaszek Ludwik żyje! Powrócił do nas!

Jolanta nie straciła równowagi ducha.

— Widzę, mamo, że żyje! A więc jesteś wujem Ludwikiem? Dziwiłam się właśnie, że mama całuje obcego mężczyznę, powinnam się była domyśleć, że to nie jest nielegalna sprawa. A więc, cześć wujaszku, my przecież możemy się spokojnie cieszyć z twego powrotu! Za to Jankowi na pewno wydłuży się twarz!

Mówiła to wszystko swoim zwykłym, trochę rubasznym tonem, który niezbyt podobał się Ludwikowi. Nie znał dotychczas dziewcząt tego rodzaju, wpadł jednak natychmiast w ton Jolanty.

—Nie, Jo, wyobraź sobie, że Janek ucieszył się bardzo z mego powrotu, a Ewa-Maria także!

—Ach tak, więc w willi Rodenbergów bomba już pękła? No, mój kuzyn i moja kuzynka to dziwni ludzie; możliwe, że się naprawdę cieszą. Jakie to komiczne, że mamy nagle wujaszka, który uchodził dotąd za umarłego! Co ojciec powie na to?

—Wypowiedział się już w tej sprawie, Jo. Tak, Melanio, już wczoraj wieczorem spotkałem się potajemnie z twoim mężem. Prosiłem, by ci nie mówił o tym, bo chciałem ci sprawić niespodziankę.

—Aha, to pewnie wytrąciło ojca tak z równowagi, że dziś rano chorował!

Pani Melania zaniepokoiła się trochę.

— Zapewne widziałeś się z Arturem w fabryce? — spytała brata. Domyśliła się natychmiast, że mąż nie podziela radości z powrotu Ludwika.

TLR

— Tak, Melanio, mieliśmy do omówienia wiele ważnych spraw

— Wejźmy do domu, Ludwiku! O Boże, jestem zupełnie nieprzytomna z radości!

Ludwik zauważył, że siostra jest trochę zmieszana. Domyślał się że Melanię gnębi niepokój o męża. Wolał już bezwzględną szczerłość Jolanty, niż tę przyćmioną łękiem radość siostry.

Weszli wszyscy troje do willi, a pani Melania jako dobra gospodyni, kazała natychmiast przynieść zakąski. Ludwik uważał, że siostra zmieniła się ogromnie. Tak, Ralf miał słuszość, twierdząc, że Melania jest dobrowolną niewolnicą swojej miłości. Czuł, że nie potrafiłaby żyć, gdyby zdjęto jej opaskę z oczu.

Powiedział jej w oględny sposób, iż Artur postanowił odejść z fabryki i pragnie pracować samodzielnie. On rozumie dobrze, iż jej mąż nie chce zajmować drugiego miejsca, skoro po śmierci ojca stał na czele fabryki. Potrafił się podporządkowywać ojcu, jemu jednak nie może, nie chce być zależny od człowieka młodszego, niż on sam.

— Omówiliśmy to spokojnie i wspólnie powzięliśmy to postanowienie. Artur ewentualnie wstąpi do innej firmy, może przeniesie się do jakiegoś dużego miasta.

Pani Melania odetchnęła z ulgą. Ucieszyła się, że brat i mąż rozstają się w zgodzie. Reszta nie obchodziła jej wcale. Zastosuje się do wszystkiego, co postanowi jej mąż.

Jolanta klasnęła w dłonie.

— Ach, mam, może przeniesiemy się do Berlina! To byłoby cudownie! Bo tutaj jest okropnie, wujaszku, nudzę się strasznie. Zwłaszcza teraz, w okresie żałoby. Wyobraź sobie, jakiego mam pecha! Dziadek na krótko przed śmiercią obiecał mi podróż do St. Mo-ritz, no i naturalnie nie mógł już dotrzymać przyrzeczenia. Może sądzisz, że ojciec dałby na to pieniądze? Wykluczone! I teraz sterczę tutaj. Mama miała pojechać ze mną, jej także przydałaby się zmiana powietrza.

Ludwik zamyślił się. Tu przecież nadarza się okazja, żeby wysłać na jakiś czas siostrę i Jolantę. W ten sposób nie zauważą, jaki jest jego stosunek do Mertensa.

— Pragnę pozyskać twoje względy, Jo, i okazać się dobrym wujasz-kiem. Wyślę więc ciebie wraz z matką na kilka tygodni do St. Moritz. Ja

TLR

poniosę te koszty! Tam jest jeszcze dość śniegu, chociaż tutaj już wkrótce mi nie zima. Jolanta z okrzykiem radości rzuciła się wujowi na szyję.

—Cudownie! Jesteś wspaniałym człowiekiem, wuju! Kiedy jedziemy?

—Ależ, Jo, pozwól mi najpierw przyjść do siebie, przecież i tak w głowie mi się kręci. Nie chcę się tak od razu rozstawać z wujem Ludwikiem. A poza tym — będę teraz na pewno potrzebna ojcu. Przecież w naszym życiu zajdzie wielka zmiana...

—Ach, nie, mamó! Gdy mężczyźni załatwiają między sobą interes, wtedy kobiety przeszkadzają im tylko. A ty powinnaś się trochę wzmocnić i nabrać sił przed tą przeprowadzką. Pozwalam, żebyś jeszcze przez osiem dni cieszyła się twoim bratem. Potem jednak wyruszymy do St. Moritz!

Ludwik poparł prośbę Jolanty. Obliczył, że siostra pozostanie w St. Moritz do czasu, aż on wyjedzie z kraju po Dolores. Wtedy w jej obecności nie spotka się z Mertensem.

Melania byłaby się chętnie zgodziła na to, lecz nie umiała decydować sama, nie zasięgnąwszy rady męża. Wreszcie rzekła:

—Dobrze, wyjedziemy, jeżeli ojciec pozwoli!

—Ach, wobec tego sprawa jest przegrana! — rzekła Jolanta z westchnieniem.

—Ja ręczę za to, że twój ojciec pozwoli ci wyjechać, Jo! — oświadczył Ludwik.

—Imponujesz mi wuju, jesteś pierwszym człowiekiem, który mi zaimponował. Szkoda, że nie można wyjść za wuja. A może jesteś żonaty?

—Byłem. Niestety, moja żona umarła.

I opowiedział w zwięzłych słowach o swoim ocaleniu i obecnym życiu. Uczynił to jednak w inny sposób, niż wobec Janka i Ewy-Marii. Z nimi potrafił mówić szczerze o swoich najgłębszych przeżyciach.

Z wielkim żalem stwierdził, że siostra zmieniła się ogromnie. Dla niej istniał tylko mąż i dzieci. Nie brał jej tego za złe, nie potrafił jednak odsłonić jej tajni-

ków swojej duszy. A Jo? Ona przecież nie ukrywała wcale, że nie chce mieć nic wspólnego z wszelkim objawem uczucia.

Melania zapytała teraz:

TLR

—Więc byłeś u Ewy-Marii i Janka? Zapewne i dla nich była to wielka niespodzianka?

—Poszedłem przede wszystkim do mego rodzicielskiego domu, rozumiesz to chyba, Melanio.

W tej chwili przypomniało mu się, że Ewa-Maria prosiła go dziś rano, aby w możliwie najogłędniejszy sposób opowiedział o jej zaręczynach. Dlatego też dodał:

—Trafiłem tam zresztą na uroczystość rodzinną.

—Matka i córka zdziwiły się.

—Uroczystość rodzinna? Co masz na myśli, wuju? Przecież teraz nie przypadają urodziny Ewy-Marii ani też Janka.

—Nie obchodzono tam urodzin, lecz zaręczyny.

—Zaręczyny? Czyje? Czy Ewa-Maria się zaręczyła? Bo chyba o Janku nie może być mowy?

—Tak, Ewa-Maria.

—Nie rozumiem tego. Tak prędko? Z kim się zaręczyła, wuju?

—Z inżynierem Berndem.

Jolanta drgnęła i zacisnęła mocno wargi. Ludwik, który wiedział od Ewy-Marii, że Jolanta pragnęła poślubić Ralfa — podziwiał teraz w duchu jej opanowanie. Pani Melania natomiast spojrzała zatroskana na córkę. Jolanta jednak udawała obojętną, chociaż w duszy jej szalała burza. A więc była to jednak Ewa-Maria? Dlatego też zachowała spokój, dowiadując się, że Ralf kocha inną. Ralf Bernd nie chciał jej tylko powiedzieć, że kocha Ewę-Marię. Kocha? O nie, ktoś by wierzył w miłość? Po prostu wołał Ewę-Marię, ponieważ ona objęła już swój spadek.

— No, błogosławię temu związkowi! — powiedziała głośno Jolanta. Postanowiła nie okazywać kuzynce, że jest zła z tego powodu. Phii!

Pojedzie przecież teraz do St. Moritz, gdzie nie zabraknie jej adoratorów. Niech tam sobie Ewa-Maria będzie szczęśliwa ze swoim nudnym inżynierem.

Czeka ją z pewnością wielki zawód — Bernd jest takim samym obłudnikiem, jak wszyscy mężczyźni. I Jolanta przeboleła zaraz swoje rozczarowanie.

Gawędziła z wujem Ludwikiem, który podobał się jej coraz bardziej. Gdy po godzinie wstał, aby się pożegnać, zaproponowała mu, że go odprowadzi. Idąc obok niego zapytała:

TLR

— Powiedz no, wuju, czy naprawdę rozstałeś się w takiej zgodzie z moim ojcem? Czy bez walki wystąpił z fabryki? A może doszło do awantury?

Spojrzał na nią rozbawiony.

— Nie, do awantury nie doszło, ale mieliśmy poważną przeprawę. Między nami mówiąc, twój ojciec nie był zbyt zachwycony moim powrotem.

Skinęła głową.

—Domyślam się tego.

—Zdaje się, Jo, że jesteś bardzo rozsądną dziewczyną, pomimo twoich nowoczesnych poglądów. A ponieważ powiedziałaś sama, że pragniesz mi złożyć dowody wdzięczności za tę podróż do St. Moritz, więc wezmę cię za słowo. Czy chcesz mi wyświadczyć pewną przysługę?

—Bardzo chętnie, wuju.

—A więc postaraj się zatrzymać twoją matkę jak najdłużej w St. Moritz, chętnie przeznaczę na to parę tysięcy. Powiem ci w tajemnicy, że chociaż nie doszło do awantury, to jednak z pewnych powodów poszło niezupełnie gładko.

—Ach, tak! Krótko mówiąc, ojciec jest zły, że przestaje być panem i władcą fabryki. Rozumiem!

—Dajmy na to, że masz rację! Ja jednak nie chcę, aby twoja matka zauważyła, że się trochę posprzeczałem z twoim ojcem. Wiesz, że jest osobą, miłującą zgodę, po co więc robić jej przykrość, gdy można tego uniknąć. Dlatego też w obecności twej matki nie chciałbym się często spotykać z twoim ojcem. Czyż możesz mi w tym pomóc?

Spojrzała z namysłem na wuja.

—No, gotowa jestem założyć się, że mój papa coś przeszkrobał. Ta cała sprawa wygląda mi bardzo na przesiedlenie karne. No, ale nie chcę nic wiedzieć, chciałabym zachować tę odrobinę szacunku, jaką mam dla ojca. Mama nie powinna dowiedzieć się o tym; jeżeli nie będzie mogła ubóstwiać swego tyrana, to świat się dla niej skończy...

—Jesteś niesamowicie mądra, Jo! — powiedział ze zdumieniem.

—Przecież właśnie dlatego musiałam się uciec do mego nowoczesnego światopoglądu! Nie chcę być w przyszłości niewolnicą, jak moja matka, nie chcę się łudzić. Wiem, że u nas w domu odgrywa się wciąż wstrętną komedię — nie chcę powiedzieć, kto... Dlatego też stałam się

TLR

zła i uszczypliwa. Ostatnio jednak Ewa-Maria przemówiła mi do sumienia. Spłatała mi wprawdzie figła, ale to nic nie szkodzi, ja na jej miejscu postąpiłabym tak samo. Otworzyła mi jednak oczy i zwróciła uwagę na to, że w ostatnich czasach stała się bardzo niedobra. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, skąd pochodzi ta zmiana. To jednak w gruncie rzeczy tylko oburzenie. Tak, oburza mnie, że moja matka znosi to wszystko bez szemrania. Ach, nie mówmy już o tym, to się nie zda na nic... Uczynię wszystko, aby zatrzymać matkę jak najdłużej w St. Moritz. To bardzo zabawne, ale gdy mama przez dłuższy czas nie przebywa pod wpływem ojca, wtedy zmienia się zupełnie, zdawałoby się, że swobodniej oddycha. Przyda jej się ten pobyt. Musisz się tylko wystarać o pozwolenie ojca, inaczej się nie ruszy...

— Pomówimy o tym, Jolanto! A co się tyczy Ewy-Marii, to możesz mi wierzyć, że twoja kuzynka kocha cię bardziej, niż przypuszczasz. Gdybyś słyszała, jak mówiła o tobie. Powiada, że drzemie w tobie wiele dobrego. Ja, zresztą, jestem tego samego zdania. A o pozwolenie na wyjazd wystaram się na pewno.

Spostrzegł, że Jolanta walczy ze wzruszeniem i że ukradkiem ociera łzy. Opanowała się jednak szybko i rzekła swoim zwykłym tonem:

—Ciekawam, czy ci się to uda. Nie przyrzekaj zbyt wiele, ojciec jest bardzo uparty.

—Ja także. A jeżeli coś przyrzekam, to dotrzymam na pewno słowa.

—Powtarzam, wuju, że mi imponujesz. Szkoda, że nie mogę wyjść za ciebie.

—O, moja droga Jo, jestem przede wszystkim za stary dla ciebie. A po wtóre musiałabyś pozbyć się twego nowoczesnego światopoglądu.

—Kto wie, może warto go się pozbyć dla człowieka, takiego jak ty. Zobaczmy co się da zrobić w tym kierunku. W każdym razie postaram się zatrzymać mamę jak najdłużej w St. Moritz, choćbym się miała położyć do łóżka i udawać chorą.

—Spodziewam się, że to nie będzie potrzebne.

Gawędzili jeszcze chwilę. Ludwik opowiedział jej o Armadzie, o szerokich stepach i o kopalni srebra, należącej do jego pasierbicy. Słuchała uważnie, a oczy jej błyszczały.

—Chciałabym tam kiedyś spędzić wakacje — powiedziała.

—Sprzykrzyłoby ci się to samotne życie.

12 **Dziedzic-
two Rodenber-
gów**

777

TLR

—A ja sądziłam, że w tych stepach mieszka mnóstwo ciemnookich Portugalczyków, że pędzą tam jeźdźcy na nie osiodłanych koniach...

—Owszem, pastuchy, którzy pasą konie. Nawet i moja mała Dolo, która jest zawołaną amazonką, umie jeździć na oklep i zarzucać lasso. Pasterze nie byłiby jednak w twoim guście, a eleganckich młodzieńców tam nie ma.

—Och, w takim razie, dziękuję!

Rozmawiali jeszcze chwilę. Z oczu Jolanty nie znikł jednak wyraz zadumy.

*

∴ ■

Jolanta rzeczywiście już w kilka dni później pojechała z matką do St. Moritz. Ku jej wielkiemu zdumieniu ojciec zgodził się natychmiast. Mertens był zadowolony, że przez jakiś czas nie będzie słyszał troskliwych pytań swej małżonki. Gdy zapytała go, dlaczego tak prędko zrzekł się swego stanowiska, odpowiedział jej:

— Pragnę być niezależny. W moim wieku człowiek niechętnie ugina się przed nowym panem, zwłaszcza o tyle młodszym ode mnie. Postaram się znaleźć coś w Berlinie. Jo pragnęłaby przecież mieszkać w Berlinie. Może tam znajdzie łatwiej odpowiedniego męża. Trzeba przecież zrobić coś dla swoich dzieci.

Pani Melania była bardzo wzruszona, Jolanta natomiast zdziwiła się bardzo. Znała dobrze swego ojca i czuła, że ma jakieś nieczyste sprawki na sumieniu.

Przed wyjazdem odwiedziła Ewę-Marię. Zaniosiła jej wiązanek kwiatów i powinszowała z okazji zaręczyn. Ucałowała kuzynkę bardzo serdecznie i powiedziała:

—Zdaje się, że będziecie dobraną parą. A ja będę druhną na twoim weselu.

—Cieszę się, że wypowiedziałas to życzenie, kochana Jo.

Po wyjeździe żony Artur Mertens prowadził samotne życie. Wyjeżdżał tylko kilkakrotnie do Berlina, aby nawiązać nowe stosunki. Jeździł zawsze swoim sa-

mochodem, aż wreszcie spotkał go los, jaki zamierzał zgotować swemu siostrzeńcowi. Samochód, przejeżdżając przez tory,

TLR

zderzył się z pociągiem towarowym. Szofer ocalał jakimś cudem, lecz Mertensa wydobyto martwego spod szczątków auta. Wiadomość o tym nieszczęściu zameldowano do fabryki.

Ludwik, Janek i Ralf, usłyszawszy o tej katastrofie, spojrzeli z powagą na siebie. Widzieli w tym wyrok Boży.

Ludwik odłożył swój wyjazd i udał się do St. Moritz, aby zawiadomić swoją siostrę i Jolantę. Pani Melania odczuła okropnie ten cios, jaki ją dotknął. Była właśnie w tak dobrym nastroju, bo Jo poznała pewnego młodzieńca, który ją pokochał i zdobył jej wzajemność. Oświadczył się jej, a pani Mertens napisała list do męża, prosząc o zezwolenie na ten związek. Mertens nie otrzymał już tego listu.

Narzeczonego Jolanty nazywał się Henryk Vollmer, pochodził z dobrej rodziny i był jedynym synem bogatego fabrykanta, a przy tym sympatycznym chłopcem. Spodobał się bardzo Ludwikowi.

Wieść o śmierci ojca rzuciła cień na młode szczęście Jolanty. Zmieniła się ona bardzo, stała się bardziej kobieca i tkliwa. Dlatego zapewne zdołała pozyskać serce narzeczonego. Zbliżyła się także do matki, stała się dla niej prawdziwą pociechą i podporą.

Wesele Ewy-Marii miało się odbyć dopiero po powrocie Ludwika z Bryzylu. Postanowiono przeczekać okres żałoby po dziadku. Inżynier Bernd został dyrektorem fabryki i miał ją prowadzić razem z Jankiem podczas nieobecności Ludwika. Zaangażowano również nowego dyrektora handlowego, który okazał się doskonałym fachowcem.

Ewa-Maria i Ralf zgodzili się, aby przesunąć o kilka miesięcy termin ich ślubu. Okres ich narzeczeństwa był tak rozkoszny, że nie odczuwali zbyt ciężko tej zwłoki. Janek cieszył się bardzo myślą o przyjeździe Dolores Vanzity. Udawał jednak zawsze wielką obojętność, gdy była o niej mowa.

Podczas nieobecności wuja Ludwika kupił sobie wierzchowca i zaczął się uczyć jazdy konnej. Słyszał przecież, że Dolores jest doskonałą amazonką. Janek w ogóle czuł się jak nowo narodzony. Nie mógł tylko spokojnie patrzeć na czułości pary narzeczonych. Raz powiedział do Ralfa i siostry:

— Narzeczeni to straszne towarzystwo dla rozsądnych ludzi. Ciekaw jestem, czy ja także będę stapał po obłokach, gdy zostanę kiedyś narzeczonym.

12'

779

TLR

Mówiąc te słowa, pomyślał o Dolores. Zaś Ralf i Ewa[^]Maria roześmiali się i spojrzeli sobie w oczy, upojeni szczęściem.

n

KONIEC

TLR